KWIECIEŃ 1930

NASZA PRZYSZŁOŚĆ

WOLNA
TRYBUNA
ZACHOWAWCZEJ
MYSLI
PAŃSTWOWEJ

TOM I

NAKŁADEM STRONNICTWA PRAWICY NARODOWEJ
REDAKTOR: Dr. JAN BOBRZYŃSKI

Drukarnia Mazowiecka, Warszawa, Szpitalna 1, tel. 49-04

TREŚĆ:

Inicjatywa niniejszego wydawnictwa wyłoniła się z żywiołowo — rzecz można — odczuwanej oddawna potrzeby szerszych sfer zachowawczych i zachowawczo - gospodarczych posiadania własnego pisma perjodycznego, w którem myśl zachowawcza mogłaby wyrażać się w sposób otwarty, zdecydowany, niezależny od jakichkolwiek taktycznych względów i politycznemi konjunkturami narzucanych hamulców. Z tymi względami musi się liczyć zwykle prasa codzienna i dlatego wyżej wskazanego zadania nie jest w stanie pełnić w stopniu, pożądanym dla konsekwentnej, systematycznej rozbudowy programu oraz propagandy nowoczesnej idei zachowawczej, w jej zastosowaniu do wszelakich dziedzin życia publicznego i różnych postulatów państwowych, na dłuższą sięgających metę.

Dlatego to świat zachowawczy w Polsce, zaktywizowany przed kilku laty do wybitniejszego udziału w życiu politycznem i publicznem wogóle, domaga się oddawna powołania do życia organu publicystycznego, któryby był wyrazem prawdziwej, niczem niezmąconej, państwowej idei zachowawczej, tak, aby za jego pośrednictwem rządy państwa i społeczeństwo mogły się dowiedzieć, czego w istocie żąda dla państwa obóz zachowawczy w różnych dziedzinach, jak sobie wyobraża rozwiązanie różnych ważnych zagadnień i jakie są jego główne wytyczne programu państwowo-twórczego nietylko na najbliższą, ale i na dalszą przyszłość.

Ta przyszłość państwa polskiego i jego mocarstwowego rozwoju najbardziej wszystkich poważnie myślących ludzi obchodzi i obchodzić powinna, jako niezbędna wytyczna szczegółowych prac i wysiłków codziennych. Brak takich właśnie ogólnych wytycznych daje się u nas dotkliwie odczuwać przy nadmiarze szczegółowych wskazań, prac i projektów, usiłujących zaradzić raczej tylko doraźnym bolączkom — w sposób dorywczy, bezplanowy, nieskoordynowany, nazbyt „dziennikarsko-aktualistyczny", a więc i mało skuteczny. Dlatego **Przyszłość** firmuje niniejsze wydawnictwo, jako wyraz tej piekącej, powszechnie odczuwanej potrzeby — wyrąbania w dotychczasowym chaosie krótkowzrocznego oportunizmu i doktrynerstwa pewnych dalej sięgających dróg, zgodnych z misją historyczną i postulatami mocarstwowego rozwoju naszego państwa. A czynić to należy, kierując się wyłącznie własnem przekonaniem i wznosząc się nieco ponad efemeryczne fluktuacje konjunktur i emocjonalnych walk partyjnych.

Zadaniu temu pragniemy zadość uczynić w miarę sił i możności, nie nakładając współpracownikom wydawnictwa żadnych innych więzów, jak tylko warunek szczerego wypowiedzenia swych myśli i możliwie objektywnego — a więc prawdziwie konserwatywnego — ujmowania traktowanych tematów.

Niech więc nikt w świecie zachowawczym — politycznym czy gospodarczym — nie skarży się więcej na „brak możności niezależnego wypowiadania się w duchu prawdziwie konserwatywnym!" Wydawnictwo nasze czyni bowiem zadość tym żądaniom, a Redakcja postawiła sobie za specjalne, oczywiście bardzo trudne zadanie, przez odpowiedni dobór autorów oraz tematów, powiązanych między sobą pewną wspólną nicią przewodnią, wykrystalizować stopniowo owe wytyczne państwowego programu w różnych kierunkach.

Redakcja uważa sobie za miły obowiązek złożyć na tem miejscu najszczersze podziękowanie tym wszystkim

Szanownym Współpracownikom, którzy, w zrozumieniu potrzeby i doniosłości sprawy, raczyli umożliwić realizację pierwszego tomu wydawnictwa opracowaniem szeregu artykułów, z których wszystkich jakaś wybitna a praktyczna dla państwa myśl się przebija. Mamy nadzieję, że wszyscy, których wspólna z naszą idea państwowa ożywia, dopomogą nam w dalszym rozwoju i szczegółowem doskonaleniu wydawnictwa.

REDAKCJA.

POD ZNAKIEM KONSOLIDACJI.

Objektywny, wolny od uprzedzeń sąd historyczny, wydając kiedyś wyrok o pierwszem dziesięcioleciu dziejów wskrzeszonej Polski, stwierdzi niewątpliwie, że demokracja—czy to razem wzięta jako całość, czy w poszczególnych swych odcieniach, nieraz bardzo rozbieżnych — nie była w stanie podołać sama naczelnemu i oczywistemu zadaniu: stworzenia młodemu państwu racjonalnych, zdrowych podstaw ustrojowych, społecznych i gospodarczych. A główną przyczyną tego ujemnego faktu było nietylko wielokrotne poświęcenie przez różne stronnictwa demokratyczne najżywotniejszych interesów państwa oraz postulatów trzeźwej logiki rządzenia na rzecz doktryn i utopji, a często nawet prostej demagogji, ale również wyeliminowanie przez szereg lat z życia publicznego tego niezbędnego w każdem żywotnem państwie czynnika równowagi politycznej, jakim jest myśl zachowawcza. Szale rozwoju państwowego przechylone były zawsze nazbyt na lewo, co od samego początku wywołać musiało wypaczenie zdrowego rozwoju stosunków w państwie. Ideologja zaś polityczna, skierowana stale na lewo, może tylko burzyć istniejący stan rzeczy i, o ile w tym stanie rzeczy znachodzą się normy przestarzałe, tamujące pożądany rozwój państwa, to działanie ideologji radykalnej może wprawdzie swym destrukcyjnym charakterem oddać pewne usługi państwu i społeczeństwu, ale nie jest w stanie zbudować samodzielnie na gruzach dawnego porządku czegoś trwałego, gdyż narzędzie destrukcji nie może równocześnie twórczo działać. Dlatego niezbędnym jest w życiu i w polityce państwa pierwiastek czysto konstruktywny, z natury rzeczy zachowawczy.

Tem się też tłomaczy w pierwszym rzędzie, bez potrzeby uciekania się do szczegółowej analizy naszych walk

i zmagań partyjno - politycznych ubiegłego dziesięciolecia, dlaczego po pewnym szeregu lat porywczych eksperymentów, dokonywanych na organiźmie państwowym kolejno przez różne ugrupowania demagogiczne, musiał przyjść do głosu, takim czy innym sposobem, czynnik zachowawczy, przynajmniej w pewnym stopniu.

Z różnych powstał czy odrodził się źródeł i różnemi rozwijał się drogami, pod różną firmą i programem, w starszem i młodszem pokoleniu. Ale od początku wystąpienia elementu zachowawczego na szerszą arenę publiczną przed kilku laty było rzeczą oczywistą, że wszystkie te kierunki czy odcienia ideologji i organizacji zachowawczej, powstałe w zróżniczkowaniu raczej tylko pod wpływem pewnych różnic dzielnicowych i resztek atmosfery rozbiorowej, będą żywiołowo ku sobie zmierzać, dążąc do stopniowego stworzenia jednolitego obozu i programu ideologji zachowawczej, opartej już wyłącznie na nowoczesnych warunkach i żywotnych postulatach moralnych, ustrojowych i materjalnych odrodzonego państwa.

Pod znakiem tej konsolidacji wszystkich żywiołów zachowawczo myślących stoimy obecnie. A powolność i zarazem trudności w rozwoju tego procesu tłomaczą się tem, że świat zachowawczy w Polsce nie ogranicza się bynajmniej do kilku, pod względem politycznym wyraźnie sprononsowanych i zorganizowanych stronnictw, których formalna konsolidacja, gdyby tylko o formę zewnętrzną chodziło, nie przedstawia już dzisiaj żadnych trudności. Jest nawet w zasadzie już faktem dokonanym. Główna trudność leży jednak w tem, że nasz świat zachowawczy zawiera także — i to w znacznej przewadze liczebnej — elementy czy warstwy zawodowe, politycznie jeszcze nie zorganizowane w sposób zdecydowany, należące niewątpliwie, bo z racji swego zawodu i swej kultury, do obozu myśli zachowawczej, ale zahipnotyzowane z dawnien dawna hasłami stronnictw demokratycznych, co stanowi dla nich pewną psychologiczną przeszkodę w stanowczem wypowiedzeniu się po stronie te-

go światopoglądu, który przecież jedynie odpowiada ich przekonaniom i interesom.

Należą do tych żywiołów przedewszystkiem sfery gospodarcze i wogóle wyższej inteligencji, którym wieloletnie rządy demokracji postępowej dotkliwie dały się we znaki, a częściowo podważyły wogóle ich byt w państwie i sprowadziły nad brzeg ruiny. To też bardziej zdecydowane jednostki, czy nawet grupy w tych sferach opowiedziały się już stanowczo za obozem zachowawczym, który, jedyny ze wszystkich, może z całą szczerością, bez żadnego konfliktu programowego czy propagandowego, bronić ich interesów — w związku z całokształtem interesów państwa. Ale ogół zbyt jeszcze jest bierny, czy niezdecydowany, a chroniczny kryzys gospodarczy, absorbujący umysły przedewszystkiem codzienną walką o chleb powszedni, utrudnia tym sferom spokojną refleksję nad wyraźnem, zdecydowanem obraniem najwłaściwszego dla nich kierunku społeczno - politycznego.

Należyte więc uświadomienie tych wszystkich, dość szerokich sfer, w istocie konserwatywnie myślących, o ich prawdziwej ideowej przynależności i przekonanie ich o konieczności zajęcia w tym względzie wyraźnego stanowiska i zaważenia wzmocnionym w ten sposób frontem gospodarczo - zachowawczym na prawej szali losów państwa, jest teraz głównem zadaniem akcji koncentracyjnej i konsolidacyjnej obozu zachowawczego. Musi się poczuć konserwatystą każdy, kto nim jest w istocie z racji swej sfery społecznej, swej mentalności i żywotnych interesów swego zawodu.

A wówczas i praktyczne skutki takiej konsolidacji nie dadzą czekać na siebie w dziedzinie odpowiedniego wpływu na dalsze kształtowanie się ustroju politvcznego i gospodarczego państwa.

Janusz Radziwiłł.

POLSKA SZKOŁA KONSERWATYWNA.

Jeżeli ze względów czysto praktycznych pozwalamy sobie na takie nacjonalistyczne zróżniczkowanie światopoglądu zachowawczego, jakie brzmi z tytułu niniejszej rozprawy, to dlatego, że oczywiste są dla nas różnice w ideach i celach między konserwatyzmami w różnych państwach. Trudno chyba zaprzeczyć te różnice między konserwatyzmem np. polskim a niemieckim, angielskim, francuskim, a cóż dopiero chińskim itp. W każdem z tych państw już sam wyraz „konserwatyzm" oznacza coś innego, nieraz nawet djametralnie sprzecznego z istotą i rolą, jaką formułuje dla siebie nowoczesny konserwatyzm polski. Dość zaznaczyć, że przy baczniejszej analizie w jednych państwach oznacza to słowo — w głębszej swej istocie—obronę większego stanu posiadania, w innych twórczą, dość postępową działalność, w innych przedewszystkiem dążność do utrzymania pewnych kastowych przywilejów (a więc sui generis walkę klasową od góry) lub supremacji interesów pewnych sfer finansowo-przemysłowych, w innych wreszcie proste wstecznictwo pod każdym względem. W niektórych także (Francja) istnieje na arenie politycznej tylko pewien względny konserwatyzm, nie posiadający wszystkich właściwych, specyficznych cech prawdziwego konserwatyzmu, ale szeregujący w obronie pewnego umiaru polityczno-społecznego niektóre, w gruncie rzeczy nawskroś demokratyczne odłamy społeczeństwa.

Tak więc, mówiąc o konserwatyźmie w praktycznem tego słowa znaczeniu, trzeba z konieczności zrobić różnice narodowe czy państwowe, a więc w Polsce mówić wyraźnie o polskim konserwatyzmie.

Ale w tytule naszym mówimy nadto wyraźnie o „szkole" zachowawczej, nie zaś o stronnictwie. Zdaniem naszem

należy bowiem na rozróżnienie tych dwuch pojęć na gruncie polskim szczególny nacisk położyć. Długie doświadczenie wykazuje ad oculos, że drogi i losy idei konserwatywnej w „szkole“, t. j. w wolnym zespole i pracy ludzi konserwatywnie myślących, są inne, nieraz całkiem inne, niż w formalnie ukonstytuowanem stronnictwie zachowawczem.

„Szkoła“ bowiem, jako swobodna koordynacja przekonań, prac i dążeń ludzi o pewnym wspólnym światopoględzie, zmierza przedewszystkiem do wytworzenia pewnego ruchu umysłowego, literackiego i propagandowego, przenoszącego się **żywiołowo** z pokolenia na pokolenie, a niezależnego lub przynajmniej mniejwięcej niezależnego od względów różnorodnego oportunizmu czy nadmiernego aktualizmu, z którymi siłą rzeczy liczyć się musi mniej lub więcej każda formalnie zorganizowana i ściśle umiejscowiona w wachlarzu ław sejmowych partja polityczna. Oczywiście, że w niektórych wypadkach szkoła polityczna, zbyt zarażona aktualizmem czy oportunizmem, czy nawet pewnemi doraźnemi ambicjami, może nabrać wybitnie partyjnego charakteru, jak z drugiej strony zorganizowana partja polityczna, złożona z dzielnych ludzi, stawiających swój program ponad wszelkie pokusy areny politycznej, może być akcją swą i charakterem niemal identyczna ze szkołą światopoglądu, który oficjalnie wyznaje. Ścisłej granicy trudno tu więc w każdym wypadku przeprowadzić, niemniej jednak rozróżnić należy zasadniczo między szkołą a partją na tle każdego danego światopoglądu.

Szkoła działa przedewszystkiem na opinję, drogą penetracyjną i nastawiając tę opinję w pewnych kierunkach ogólnych lub praktycznych, stara się wywrzeć tym sposobem odpowiedni wpływ najpierw na społeczeństwo, a przez nie i na czynniki rządzące w państwie, celem przeprowadzenia pewnych reform czy postulatów. Stronnictwo natomiast, nawet używając i tej drogi, działa jednek przedewszystkiem walką na terenie polityki oficjalnej, dążąc bezpośrednio do zdobycia władzy i przeprowadzenia tym sposobem swych

programowowych postulatów. Ta droga jednak obciąża je w nieuchronnej konsekwencji różnymi ujemnymi skutkami doraźnych zmagań partyjno - politycznych i zmusza nieraz do daleko idących kompromisów z t. zw. złem koniecznem w państwie. Z tem zaś nie potrzebuje się zupełnie liczyć szkoła polityczna, która — o ile składa się z ludzi o silnych przekonaniach, odwadze cywilnej i świadomych celu—może swobodnie mówić i pisać wszystko w myśl swych przekonań.

Partja tworzy dla państwa ustawy, szkoła zasady, partja musi paktować, szkoła może się z niczem ubocznem nie liczyć, partja ma członków, których przynależność podyktowana jest aż nazbyt często niestety względami tylko utylitarnymi, podczas gdy szkoła może mieć tylko zdecydowanych, przekonanych wyznawców. I na tem polega zasadnicza między niemi różnica.

Dla uniknięcia jakichkolwiek djalektycznych nieporozumień zaznaczamy tu, że pod wyrazem „szkoła“ rozumiemy nietyle wzajemne kształcenie się jej rdzennych wyznawców w danym światopoglądzie, co przesądzałoby zgóry tylko stosunkowo krótki okres jej trwania — okres poprostu przygotow[illegible]czy do jakiejś oficjalnej działalności publicz[illegible] przedewszystkiem stałe oddziaływanie pewnej [illegible] ludzi słowem, piórem i przykładem na społeczeństwo i ustawiczne szkolenie go, a zwłaszcza coraz młodszych pokoleń, w danym światopoglądzie, zastosowanym do wszelakich problemów moralnych i państwowych.

W tem oświetleniu nabiera też polska szkoła konserwatywna na tle naszych specyficznych potrzeb i stosunków właściwego kształtu i charakteru. A jest to niezbędnem dla zachowawczego światopoglądu właśnie w naszych warunkach, gdzie rola zorganizowanych stronnictw zachowawczych na kapryśnej a demagogicznej arenie ultrademokratycznej republiki bywa nieraz bardzo ciężka, a nawet pozornie czy z konieczności nieraz przeciwna integralnym zasadom zachowawczym, gdyż dla dobra państwa, zagrożo-

nego bezkrytycznym radykalizmem, polega często tylko na przymusowym wyborze między złem większem a mniejszem.

Pierwsza wyraźna szkoła konserwatywna w Polsce powstała po powstaniu 63-go roku w postaci krakowskiego stronnictwa „Stańczyków“ — dlatego wyraźnie konserwatywna, ponieważ przeciwstawiła się w swym programie porywczej ideologji powstaniowej, jako bezskutecznej, oraz mesjańskiej, jako szkodliwej. Można wprawdzie wymienić niejednego i z poprzednich działaczy z epoki porozbiorowej (w kraju i na emigracji), którzy programem swym i mentalnością zbliżyli się do ideologji konserwatywnej w dzisiejszem tego słowa znaczeniu. Ale były to wyjątki. Zorganizowany polski konserwatyzm datuje się dopiero od czasów upadku ostatniego powstania, poprostu z tego powodu, że wówczas dopiero, po zamknięciu okresu zewnętrznych walk zbrojnych, a wnet potem i zabiegów dypomatycznych, społeczeństwo polskie stanęło wobec jedynej możliwości pozytywnego działania — pracy wewnętrznej, organicznej. I tu właśnie musiały się zarysować coraz głębsze różnice w politycznem, społecznem, moralnem i gospodarczem pojmowaniu tego zadania. Nastąpiło na wszystkich polach starcie poglądów, a w tem starciu nowoczesna polska myśl konserwatywna skrystalizowała w sposób wyraźny i trwały wszystkie swe zasadnicze tezy programowe, poczynając od religijnych, a kończąc na różnych wytycznych codziennej pracy dla **wzmocnienia społeczeństwa polskiego pod względem ideowym i materjalnym na spodziewaną w jakiejś nieokreślonej na razie przyszłości chwilę wskrzeszenia niepodległości ojczyzny.**

I ten cel najwyższy stał się — obok silnego, bezkompromisowego pierwiastka religijnego — istotną ideą przewodnią nowoczesnego polskiego konserwatyzmu, wykształconego wszechstronnie z biegiem lat na gruncie szkoły krakowskiej. Temu celowi podporządkowane zostały, rzec można, wszystkie inne, o charakterze raczej doraźnym,

przejściowym, nieraz nawet żywotne interesy prywatne i wszelkie pokusy popularności politycznej. Należy to, w imię prawdy i sprawiedliwości, należycie ocenić, gdyż niemasz w Polsce innej szkoły czy innego stronnictwa, któreby kiedykolwiek zdobyło się na poświęcenie swej popularności dla stałości swych przekonań i swej idei! Na gruncie tej szkoły, która zaznaczyła się od pierwszych początków swego istnienia przedewszystkiem szeregiem wybitnych, fundamentalnych dzieł historycznych i historyczno-prawniczych, zorganizowało się stronnictwo, które wydało ze siebie w ostatnich kilku dziesiątkach ubiegłego stulecia wielu pierwszorzędnych polityków, uczonych i działaczy. Przy nielicznym zaś z natury rzeczy składzie takiego stronnictwa o charakterze społecznej, politycznej i naukowej elity, stronnictwo to — zwłaszcza wobec stosunkowo dość luźnych jego form organizacyjnych, do których nie przykładano wówczas większej wagi—było aż do wybuchu wojny światowej, a nawet poniekąd do jej końca, mniejwięcej identyczne pod każdym zględem ze szkołą myśli politycznej, którą reprezentowało. Aż do poparcia zbrojnego czynu legjonów włącznie, niemasz w tym pierwszym, długim okresie żadnej zasadniczej różnicy między programem i charakterem krakowskiej szkoły zachowawczej a taktyką polityczną wyłonionego z niej stronnictwa.

Najważniejszym zaś ideowym rezultatem działania tej szkoły, który posiada również i doniosłe praktyczne znaczenie, było stopniowe przekonanie przez nią społeczeństwa polskiego, że przedewszystkiem własne jego winy oraz błędy ustroju dawnej Rzeczypospolitej sprowadziły jej upadek. Teza ta, zwalczana z początku gwałtownie przez romantyków politycznych wszelkiego rodzaju, odniosła jednak z biegiem czasu zwycięstwo w umysłach społeczeństwa i przez to dopiero umożliwiła mu dźwignięcie się z prostracji i upadku, budząc w niem przeświadczenie o możliwości regeneracji narodu pod warunkiem naprawy dawnych błędów. Była to koncepcja bezporównania bardziej opty-

mistyczna i w istocie swej bardziej „niepodległościowa", niż wszelkie teorje fatalistyczne o upadku Polski li tylko przez przemoc zewnętrzną, o jakiejś mesjańskiej krzywdzie czy ofierze, lub dążenia do wskrzeszenia niepodległości przez krwawą rewolucję socjalną, jako akt zemsty i rozpaczy.

I tego momentu niewzruszonego optymizmu, który mimo ostrych słów potępienia dawnych wad narodowych, wiał z całego ducha, rozpraw historycznych i działalności tej najmniej w Polsce popularnej szkoły politycznej, nie dostrzeżono dotąd i nie oceniono nigdzie, o ile nam wiadomo. Ale właśnie dlatego należy ten niewątpliwie doniosły moment tembardziej stwierdzić i podkreślić.

Nastąpiło wskrzeszenie państwa, a więc realizacja w pewnych granicach idei, dla której — bez żadnych społecznych zastrzeżeń — szkoła i stronnictwo krakowskie przez pół wieku pracowały, a z tem wskrzeszeniem także zwycięstwo zasad demokratycznych na całej linji, a nawet poniżej wszelkich norm zdrowego rozsądku i państwowej racji stanu. Szkoła i stronnictwo konserwatywne umilkły, uderzone tym ciosem i skurczyły się do cichej egzystencji, coprawda nie bezpłodnej, o czem świadczą jego pożyteczna rola w sejmie ustawodawczym oraz współpraca specjalistów z łona stronnictwa w różnych zagadnieniach państwowego ustroju.

W tym okresie skoordynowała się ta ograniczona przez wszechwładzę demokracji działalność stronnictwa krakowskiego ze stronnictwem warszawskiem realistów, t. j. byłych ugodowców, które powstało przed wojną z całkiem podobnych szkole krakowskiej założeń, tylko że w warunkach zaboru rosyjskiego nie mogło z natury rzeczy odegrać wybitniejszej roli, ani też promieniować tak stosunkowo znacznym optymizmem co do przyszłości narodu, jak było to faktycznie i psychologicznie możliwem stronnictwu krakowskiemu na gruncie wielojęzycznej, słabej Austrji. Stąd realiści dążyli w praktyce — a wielu z nich

nawet w swej mentalności — tylko do uzyskania jakiegoś możliwego modus vivendi w ramach rosyjskiego kolosa.

Ustrój, nadany państwu konstytucją 17-go marca, zmiótł z oficjalnej areny politycznej całkowicie resztki reprezentacji i wpływów zachowawczych, czego nie był w stanie zmienić chwilowy, wyjątkowy udział poszczególnych konserwatystów lub sympatyków konserwatyzmu w zmieniających się kalejdoskopowo rządach. Dopiero przewrót majowy otworzył idei konserwatywnej znowu szersze pole działania i to w warunkach ponad wszelkie rachuby pomyślnych, które konserwatyści powinni byli dla swego programu i dla osłabionego wieloletnią wszechwładzą demagogji państwa odpowiednio wykorzystać.

Ale w warunkach dyktatury, w których nastąpiła ta aktywizacja konserwatyzmu, bo w nich przecież tylko — jeżeli chodzi o wybitniejszy udział w polityce oficjalnej — mogła nastąpić, wyłoniło się w obozie zachowawczym bardzo znamienne i charakterystyczne zjawisko. Oto zarówno w starem, doświadczonem stronnictwie krakowskiem, które rozszerzyło teraz swą organizację i na inne dzielnice państwa, przenosząc swe polityczne centrum do Warszawy, jak i w nowych, po zamachu majowym powstałych, czy regenerowanych organizacjach zachowawczych o charakterze zawodowo - rolniczym czy regjonalnym, taktyka i pewien większy lub mniejszy oportunizm polityczny przytłumiły bezpośrednim swym aktualizmem w bardzo znacznym stopniu dawne pojęcie i znaczenie „szkoły“, czyli własnego, na dłuższą metę sięgającego programu i samodzielnej twórczej pracy. Pojęcie „stronnictwa“ czy „obozu“ stało się w umysłach konserwatystów niemal wszystkiem, pojęcie zaś „szkoły politycznej“ ustąpiło zlekceważone na jakiś plan ostatni. Co więcej, wyłoniła się zasada, coprawda nie przez wszystkich zachowawców podzielana, że „w danych warunkach przełomowych w Polsce i wogóle na świecie nie powinien konserwatyzm wytyczać sobie żadnych programów, ale zdać się na łaskę wzburzonych fal (sic!), które go,

wraz z niewiadomymi losami przyszłego państwowego ustroju, gdzieś kiedyś na jakąś wyspę wzorowego ładu i porządku społecznego zaniosą“.

Z takich przesłanek musiały się w naturalnej konsekwencji wyłonić dwa charakterystyczne prądy dzisiejszej, najnowszej fazy polskiego konserwatyzmu.

Jeden z nich — to taktyka wyczekiwania, wyczekiwania jakichś cudzych pociągnięć czy cudów, które mają się spełnić conajwyżej tylko przy doraźnej „współpracy“ konserwatystów od wypadku do wypadku. A więc pasywizm w całej rozciągłości, polityka rąk założonych, propagowana przez niektóre jednostki z obozu zachowawczego z prawdziwie płomiennem apostolstwem i przekonaniem — polityka, skazująca faktycznie na bezwład wszelką ideę zachowawczą, a oczywiście djametralnie sprzeczna z dawną ideologją konserwatyzmu polskiego, a zwłaszcza szkoły krakowskiej, pod obcym zaborem zawsze czynnej i produktywnej.

Drugi kierunek, wprost przeciwny, to jakgdyby oderwanie się od „rzeczywistej rzeczywistości“ i wzniesienie się w nazbyt górne sfery filozofji i metafizyki. Pojawiają się coraz częściej rozprawy i artykuły prasowe, usiłujące proste i bardzo realne zasady światopoglądu zachowawczego roztopić w jakiejś nirwanie dociekań i problemów metafizycznych. owianych tak górnym jakimś mistycyzmem, a wykładanych zapomocą tak skomplikowanej djalektyki, że praktyczny polityk, a nawet praktyczny badacz zjawisk politycznych nie wie, co z tem począć i jaki wyciągnąć z tego dla ekspansji idei zachowawczej pożytek?

Gdy więc w ten sposób jedni spuszczają się mniejwięcej biernie na fluktuacje konjunktur, drudzy zaś w niedosiężnych dla praktycznego umysłu szybują koncepcjach i obłokach, prawdziwa, programowa myśl zachowawcza znajduje się jakgdyby na wygnaniu. Brak zrozumienia i zainteresowania dla realnych, zasadniczych wytycznych pracy zachowawczej na nieco dalszą metę w różnych dziedzi-

nach państwowych zagadnień ustrojowych, gospodarczych, mniejszościowych i zagranicznych, bez czego niemożliwą jest prawdziwie skuteczna koordynacja prac i dążeń zarówno poszczególnych ugrupowań czy jednostek w obozie zachowawczym, jak i konserwatywnej prasy. Bo hasło współpracy z rządem nie jest w danych warunkach jeszcze żadnym programem, lecz tylko taktyką, ustaloną w obozie zachowawczym dla wzmocnienia w kraju pewnego solidaryzmu politycznego, który dla przeprowadzenia pewnych zmian ustrojowych rządy obecne głoszą. Ale „współpraca", jak już samo brzmienie tego słowa wskazuje, nie jest jeszcze „pracą" samodzielną, bez której konserwatyzm przestaje być sobą i — wobec szczupłej swej liczebności — traci swą właściwą wartość i swe właściwe znaczenie w państwie.

Wobec szerokiej demokratyzacji stosunków w Polsce, wobec sześcioprzymiotnikowego głosowania i demagogicznej licytacji masowych partji demokratycznych o popularność, nie może dzisiejszy konserwatyzm liczyć na dojście do władzy lub przynajmniej do poważniejszego udziału w rządach państwa drogą takiej czy innej taktyki politycznej, drogą rozgrywek na arenie parlamentarnej i wiecowej, wzorem partji masowych. Może natomiast **dążyć do pozyskania wpływu na społeczeństwo swym intelektem,** który obok pewnych walorów materjalnych, główną jego siłę stanowi. Aby jednak wpływ ten módz wywierać, musi intelekt konserwatywny wskazać społeczeństwu kategorycznie, czego żąda dla państwa w różnych dziedzinach, musi wskazać jasno cele i środki zdrowego państwowego rozwoju w myśl własnego programu. Mając się i uchodząc w oczach nawet swych przeciwników za elitę twórczej myśli państwowej, nie powinien pytać innych o zdanie, ani iść na oślep za czyjąkolwiek podnietą, ale przeciwnie, wskazać innym, co mają robić, nakreślić im w śmiałych, wiedzą i doświadczeniem popartych rzutach główne wytyczne państwowej polityki i sposoby rozwiązania najważniejszych problemów — bez względu na to, czy i w jakim stopniu rządy i społeczeń-

stwo zechcą w danej chwili z tych wskazówek skorzystać.

W ten sposób pozostanie w państwie, wśród zawieruchy zmagań politycznych i socjalnych, wśród walk o władzę i fluktuacji ustrojów, zawsze pewien stały, niewzruszony ośrodek trzeźwej, realnej myśli państwowej, mogący stanowić każdej chwili oparcie dla czynników, które zechcą takiego oparcia szukać, oraz zawsze żywa krynica umiarkowanej, twórczej wiedzy politycznej, prawniczej i gospodarczej.

Od tej drogi odchyliły się chwilowo niestety w znacznym stopniu stronnictwa zachowawcze, porwane mimowoli wirem nazbyt wybujałego demokratycznego parlamentaryzmu. Położyły zbyt wielki nacisk na swą rolę na tej arenie, w której słaby liczebnie obóz zachowawczy może w najlepszym wypadku tylko uboczną, pomocniczą, słowem „współpracującą" z kimś silniejszym odegrać rolę. Dlatego nie może tam być panem swych przekonań i pociągnięć i tylko w pewnych okazjach może dorywczo jakiejś pożytecznej pracy dokonać. Natomiast na właściwym terenie — pracy politycznej pozaparlamentarnej — myśl i aktywność konserwatyzmu ogromnie zmalała, tracąc przez to istotne swe podstawy dla dalszego rozwoju. Obóz zachowawczy stał się zanadto partją, a przestał być szkołą. Wszedłszy nazbyt skwapliwie w czynną politykę oficjalną, zapomniał jakgdyby o własnej idei twórczej.

A przecież idea ta istnieje w dalszym ciągu, w Polsce więcej nawet, niż gdzieindziej i czeka na wykonawców. Czeka na powrót starej szkoły konserwatywnej do jej właściwej roli. Stwierdzić nawet należy, że rola ta większą jest dzisiaj i pełniejszą, niż dawniej, pod obcym zaborem. A polega na opracowywaniu i ustawicznej, niczem nie dającej się zastraszyć ani wykoleić propagandzie wskazań polskiej polityki mocarstwowej, w pełnem i konsekwentnem tego słowa znaczeniu, na każdem polu — a obok tego na czujnej straży i obronie zasad religijnych i moralnych, zagrożonych dzisiaj ze wszech stron coraz zuchwalszym naporem de-

strukcyjnego materjalizmu i mechanizacji społecznej. Tej walki idea zachowawcza nie wygra nigdy na samej arenie demokratycznego parlamentaryzmu, gdzie w danych warunkach ustrojowych może być oczywiście tylko przypadkowym i słabym aktorem, jeżeli głównych swych sił i walorów nie przerzuci na pozyskanie najpierw poważnej części opinji publicznej. A do tego celu potrzeba bezwzględnie odrodzenia i silnej aktywizacji „zachowawczej szkoły politycznej“, przyczem zewnętrzne formy organizacji partyjnej obozu zachowawczego są rzeczą stosunkowo drugorzędnego znaczenia.

Nie przeszkodzi to bynajmniej konserwatystom popierania wszelkich twórczych zamierzeń rządu, a nawet różnych ugrupowań parlamentarnych, o ile zamierzenia takie konkretnie się objawią. Nie przeszkodzi im również w szeregowaniu się w jeden front z innymi żywiołami państwowego ładu i porządku, a zwłaszcza z tymi, które wykazują chęć poprawy niedomagań politycznych lub gospodarczych państwa. Ale w tych wszystkich sytuacjach i okazjach nie wolno konserwatyzmowi przestawać być sobą, nie wolno mu tracić z oczu swego własnego programu i w zbytnią wchodzić zależność od jakichkolwiek czynników postronnych. Nie wolno mu przejmować się nazbyt aktualizmem czy konjunkturą, ale musi mieć oczy i wysiłki skierowane zawsze ku swym własnym, dobrze sprecyzowanym programowym celom.

Ku tym celom musi się też zwrócić w pierwszym rzędzie cała fachowa wiedza i doświadczenie obozu zachowawczego. Powstać musi odpowiednia literatura naukowa i propagandowa, wydając programowe, śmiałem i zdecydowanem piórem kreślone dzieła, które byłyby w stanie **wykuwać nową Polskę mocarstwową, jak ongiś wykuwały nowoczesną, popowstaniową, myśl polską.** Musi się do tych celów dostosować w pierwszym rzędzie prasa zachowawcza, traktując stosunkowo ubocznie swą rolę informacyjno-dziennikarską, w której i tak przelicytowaną będzie zawsze

przez ruchliwe, za sensacją i popularnością goniące dzienniki demagogiczne czy brukowe. W prasie zachowawczej nietyle chodzić powinno o wyścig informacyjny z inną prasą z godziny na godzinę, ile przedewszystkiem o pewną dojrzałą analizę ważniejszych wypadków oraz wyciągnięcie z niej trzeźwych, dobrze umotywowanych wniosków i wskazań programowych. Tego właśnie, a nie czego innego, szuka czytelnik naprawdę w poważnej prasie zachowawczej i o ile mu ona tego nie daje, to mija się ze swem powołaniem i nie osięgnie nigdy większej poczytności i wpływów w dostępnych dla niej sferach. Bo dla samej sensacji chwyta czytelnik lżejszą prasę do ręki, znajdując tam jaskrawsze zaspokojenie swej chwilowej ciekawości.

Oczywiście, że oprócz dwuch wyżej wymienionych głównych programowych celów (budowy mocarstwowości państwowej i obrony wyższych pierwiastków moralnych), ma szkoła konserwatywna jeszcze trzeci do spełnienia, mianowicie odpowiednią organizację propagandy swych zasad w szerszych sferach społeczeństwa i przyciągnięcie ich do siebie w stopniu, w jakim to okaże się możliwem. W tem zadaniu wyręczyć ją powinno stronnictwo czy stronnictwa, zorganizowane na jej zasadach. Ale warunkiem powodzenia jest i tu śmiałe, zdecydowane, nie oglądające się na nikogo apostolstwo zasad oraz konkretyzacja dla użytku szerszych sfer różnych bieżących, czy w dalszą przyszłość sięgających zagadnień państwowych, gospodarczych itd., w myśl programu zachowawczego. W warunkach ultrademokratycznego przerostu i chaosu, w jakich żyjemy, wobec widocznego wyjałowienia i załamywania się hasełkowych doktryn demokratycznych w starciu z twardą rzeczywistością, może idea zachowawcza osiągnąć sukces tylko śmiałem wyrąbywaniem swej własnej drogi i porwania innych za sobą siłą argumentu oraz siłą realizmu życiowego, który na jej rzecz pracuje. Koncepcja kompromisów, ustępstw i koalicji nie rokuje liczebnie słabemu intelektowi zachowawczemu żadnych trwałych widoków powodzenia.

Stoimy więc w tym momencie wobec piekącej już konieczności odrodzenia szkoły myśli zachowawczej, która jednak, jak stwierdziliśmy powyżej, nie może iść ani drogą „dziennikarskiego aktualizmu“, ani zbyt górnej filozofji. Musi iść drogą pośrednią i uzupełnić największy brak chwili obecnej w państwie, mianowicie brak pewnych ogólnych projektorów, któreby jasno oświeliły kierunki jej prac i dążeń w każdej dziedzinie. Toniemy w szczegółach prawniczych i gospodarczych. Prawdziwa powódź literatury, nieraz nawet bardzo fachowej i wybitnej, obrabia na wszystkie strony każdy paragraf kodeksu, każdy szczególik życia gospodarczego. To już nuży, a nie przynosi pożądanego rezultatu. A nie przynosi dlatego, bo brak właśnie zdecydowanych, ogólnych wytycznych, w których, według rdzennej ideologji zachowawczej, odbywać się winna realizacja tych rezultatów. Przesadna to powściągliwość, która źle robi państwu i obniża walor konserwatywnego światopoglądu. Dość mamy szczegółów, dość skomplikowanych, uczonych dygresji, dość zaleconych cudotwórczych leków, krajowych i zagranicznych. Cierpimy natomiast na anemję ogólnych drogowskazów programowych, skacząc nieraz jakgdyby z grudy na grudę w codziennych zmaganiach i potykając się o nie. Polska, jej przyszłość i jej misja dziejowa potrzebują przedewszystkiem trwałych, widocznych gościńców. I te powinna im zbudować szkoła myśli zachowawczej.

„Stańczyk“.

WPŁYW ROLI GOSPODARCZEJ POLSKI NA BIEG JEJ DZIEJÓW.

Wśród różnorodnych rozważań nad rozwojem i upadkiem Polski przedrozbiorowej należy spojrzeć na jej dzieje także z punktu widzenia kolejnych przemian jej charakteru gospodarczego, jej funkcji, spełnianych na tle ewolucji ekonomicznej Europy, oraz pewnej dynamiki rozwoju gospodarczego wogóle. Zastrzegamy się jednak z góry, że nie uważamy oczywiście tych funkcji i przemian gospodarczych za jedyną sprężynę w rozwoju państw i narodów i nie chcemy bynajmniej propagować „materjalistycznego pojmowania dziejów" jako jedynej czy głównej dźwigni rozwoju cywilizacji. Niemniej jednak pełny obraz dziejów każdego danego narodu otrzymamy dopiero analizując wszystkie czynniki, jakie nań wpływ mieć mogły, a więc nietylko polityczne, moralne, społeczne, geograficzne itd., ale i gospodarcze.

Otóż zbyt często sprawa gospodarczych zagadnień odległych czasów bywa u nas niedoceniana. Zapomina się, że czynnik ten, który w obecnej dobie może najwięcej i najdotkliwiej ze wszystkich nas absorbuje, odgrywał w przeszłości również doniosłą rolę i że z jego wpływu na rozwój dziejów wyciągnąć można niejedną doniosłą naukę i na niej budować racjonalne rozwiązywanie bieżących i przyszłych problemów państwowych. Należy tylko spojrzeć na to zagadnienie z pewnej wysokości, sięgając dalszymi rzutami w przeszłość i w przyszłość — a wówczas nauka dziejów i jej konsekwencje staną nam jasno przed oczyma.

Polska, położona na skrzyżowaniu wielkich dróg handlowych, wiodących od niepamiętnych czasów z zachodu na wschód i z południa na północ, będąc niejako ostatnią placówką o klimacie umiarkowanym dla kupca z południa

i ostatnim krajem o kulturze zachodniej, łacińskiej, dla wędrowca z zachodu, zaznaczała się od pierwszego zarania swej historji silnym rozwojem handlowym. Okres piastowski naszych dziejów — to okres wzrostu miast i ich bogactwa. Dzięki swemu położeniu geograficzno - handlowemu wysunął się ponad inne miasta polskie Kraków, stając się stolicą państwa nietylko polityczną, ale i przemysłowo-handlową, z kupiącą się w niej liczną rzeszą cudzoziemców, z potężną kolonją rzemieślników niemieckich, kupców i bankierów włoskich itd.

Jest to okres rozwoju naszych dziejów w kierunku wybitnie „zachodnio - europejskim“, czego dowody mamy także w architekturze, sztukach pięknych i zapoczątkowanem piśmiennictwie z jednej, a w charakterze organizacji społecznej z drugiej strony. Oprócz stanu rycersko-ziemiańskiego oraz włościańskiego, obu związanych z uprawą ziemi, wzrastał, jak w innych państwach zachodnich, silny stan mieszczański, wnosząc ze sobą przemysł, handel i kapitał, a zatem zwiększenie dobrobytu i kultury, w organizm gospodarczy i społeczny państwa.

Z podstaw tych, stworzonych z końcem epoki piastowskiej, korzystała Polska w całej pełni jeszcze w okresie dynastji Jagiellonów, w którym dochodzi do szczytu swej potęgi politycznej w znacznej części właśnie przez naturalny, wszechstronnie zrównoważony rozwój gospodarczy.

Ale stopniowo naturalne te i zdrowe podstawy zaczynają zmieniać się i wypaczać pod wpływem pewnych żywiołowych przyczyn zewnętrznych i wewnętrznych. Rozwój przedewszystkiem żeglugi morskiej i prawdziwa rewolucja gospodarcza, którą rozwój ten w całej Europie na przełomie średnich wieków wywołał, zmienia kategorycznie rozkład dotychczasowych wielkich szlaków handlowych, a z tem i gospodarczą rolę Polski. Traci Kraków, a z nim i Polska cała, zwolna, ale stanowczo swe znaczenie jako ośrodek handlu i tranzytu. Kraków, dochodząc właśnie do

szczytu swego rozwoju, staje się coraz bardziej ośrodkiem tylko politycznym i kulturalnym państwa, tracąc jednak na znaczeniu handlowem. Zwykle skutki pewnej struktury i rozwoju gospodarczego, stwarzającego pewne materjalne podstawy dla polityki państwowej, trwają znacznie dłużej od istnienia tych przyczyn ekonomicznych, które je wywołały. Stąd najświetniejszy okres naszych dziejów politycznych przypada właśnie na epokę, w której rola handlowa Polski zaczyna już zanikać.

Powtóre, zmieniać się zaczyna także charakter i dynamika ustroju gospodarczego Polski, a to pod wpływem zapoczątkowania ekspansji naszej na wschód. Pierwszym — i najważniejszym — krokiem w tym kierunku była oczywiście unja z Litwą, która nietylko granice państwa daleko na wschód przesunęła, ale zapoczątkowała stopniowo także polską politykę kolonizacyjną na kresach, zwłaszcza południowo-wschodnich, politykę o kierunku nawskroś ekstensywnie-rolniczym.

Nie pozostało to bez wpływu i na zmianę całego dotychczasowego charakteru gospodarczego rdzennej Polski. Jeszcze Kraków świeci bogactwem i politycznym rozwojem, a już widzimy zwrot w innym kierunku: Polska przeistacza się w kraj par excellence rolniczy, następuje zupełne jej „przegrupowanie się“ pod względem gospodarczym, co sprowadza za sobą stopniowo także wielkie zmiany społeczne i polityczne, a conajmniej bardzo znaczny wpływ na nie wywiera. Pozostawiamy na razie na uboczu ciekawe zagadnienie, czy główną przyczyną polityczno-gospodarczej ekspansji Polski na wschód było pewne świadome, czy instynktowne poczucie zamknięcia dla niej dawnych szlaków zachodnich i roli, jaką dotąd w tym kierunku odgrywała, czy też przeciwnie, polityczne przyczyny wschodniej ekspansji i zwrócenie w tym kierunku uwagi i wysiłków polskiego narodu odwróciły jego uwagę od dalszego współdziałania z Europą zachodnią i dostosowania się do zmienionych warunków handlu światowego, przedewszystkiem

przez położenie nacisku na rozwój handlu morskiego? Konstatujemy tylko fakta.

Kupiec zagraniczny znika, polski ogranicza, a nawet likwiduje swe interesy i wsiąka częściowo w sferę ziemiańską, o czem świadczą liczne, ongiś mieszczańsko-kupieckie, dziś już oddawna szlacheckie, a nawet arystokratyczne nazwiska, zwłaszcza w ziemi krakowskiej. Rzemiosła zaczynają upadać, ustaje handel tranzytowy, natomiast wzmaga się eksport surowych artykułów rolniczych i import produktów przemysłowych. Wielkie obszary kolonizacyjne na wschodzie wchłaniają najdzielniejsze jednostki.

W związku ze wzmożonym eksportem płodów rolniczych zaczyna Polska szukać wyjścia na morze, nie starając się jednak o stworzenie podwalin własnego poważniejszego handlu morskiego, lecz posługując się w tym celu obcym tonażem. W każdym jednak razie Pomorze i Gdańsk stają się odtąd na czas dłuższy ważnem zagadnieniem gospodarczem, a w konsekwencji i politycznem.

Przeistacza się kraj również i społecznie. Na pierwszy plan wysuwa się szlachcic-rolnik, już nietyle jako rycerz, ile przedewszystkiem jako ziemianin i organizator kolonizacji rolnej. Upada i kurczy się zamożny stan mieszczański, nietylko wskutek jednostronnej, nadmiernej supremacji stanu ziemiańskiego nad innymi, ale również przez znaczny zanik własnej racji bytu i odpowiednich podstaw ekonomicznych wobec hipetrofji kierunku agrarnego w państwie. Włościanin nie może swą nikłą produkcją rolną odegrać jakiejś wybitniejszej roli w eksporcie i wogóle w krajowym obrocie zbożowym na poważniejszą skalę (co dzieje się naogół po dzień dzisiejszy!) i schodzi coraz bardziej do poziomu robotnika rolnego lub kolonisty-osadnika na dalekich kresach.

A wraz z tym powolnym przewrotem roli gospodarczej i stosunków Polski oraz jej orjentacji na wschód, daje się w niej odczuwać zwolna, ale wyraźnie, pewien wpływ wschodniej kultury. Ze stosunkowo niewielkiego handlo-

wego, zachodnio-europejskiego państwa, staje się Polska wielkiem mocarstwem rolniczem, o silnie wschodniem zabarwieniu i nastawieniu psychicznem. Dynamika rozwoju gospodarczego nastawia się w tym okresie wyraźnie w kierunku rolniczym.

Rozumieli to też lub przynajmniej wyczuwali najwybitniejsi mężowie stanu swego czasu. Chcieli wykorzystać moment politycznego osłabienia głównego konkurenta Polski w produkcji rolnej, t. j. Rosji, aby dalej dążyć na wschód i nie zatrzymywać koniecznej ekspansji kolonizacyjnej. Dążyli do oparcia się o Bałtyk i Morze Czarne, ale temu właśnie skutki zbyt szybkiej ekspansji oraz tej rewolucji socjalnej (stopniowej i spokojnej wewnątrz państwa, a krwawej i niszczącej na kresach południowo-wschodnich), którą wywołało gospodarcze przekształcenie się Polski, stanęły na przeszkodzie. Z upadkiem bowiem miast poczęła nadwyrężać się równowaga społeczna kraju. Wielki producent rolny, jedyny teraz „ekonomicznie usprawiedliwiony" element w państwie, zagarnął całą władzę i, bogacąc się, tracił zarazem początkową prężność kolonizacyjną. W ten sposób rozwija się okres dziejów elekcyjnych, okres zasklepienia się Polski w produkcji rolnej, okres słabnącej ekspansji gospodarczej, a natomiast coraz większej potrzeby obrony uszczuplanego stopniowo przez czynniki zewnętrzne stanu posiadania, wreszcie definitywnego zaniechania polityki morskiej wobec wzmagającej się anemji politycznej i gospodarczej państwa.

Następuje natomiast w tym okresie (wiek XVII) coraz widoczniejszy wzrost wschodniego sąsiada, który coraz groźniejszym zaczyna być Polsce konkurentem na rynkach zbożowych, a równocześnie rozwijają się w dalszym ciągu potężnie miasta na zachodzie, które swym przemysłem i handlem eliminują do reszty upadające lub zgoła zamarłe polskie miasta. Na północy zaś głodni Skandynawowie zagarniają prawie cały morski handel na Bałtyku i wstrzymują nasz rozwój w tym kierunku. W dodatku za-

sklepiająca się nietylko gospodarczo, ale i politycznie Polska nie chce, mimo wielu korzystnych okazji, wykorzystać odpowiednio swych powodzeń wojennych i dogodnych konjunktur politycznych (np. w czasie i po wojnie trzydziestoletniej). Wszystko to paraliżuje pomyślny rozwój nawet samej produkcji rolnej w kraju. Polska odsuwa się od zachodu, przenosi stolicę państwa w kierunku północno-wschodnim, do Warszawy i przestaje, mimo dość znacznej penetracji wpływów zachodnich, brać udział w życiu kulturalnem i politycznem Europy. Nie dostrzega tych wszystkich skutków swego jednostronnego zasklepienia się w produkcji rolnej, nie odczuwa, że staje się coraz bardziej gospodarczo zbędną dla świata jako samodzielny organizm państwowy. Jednostronny kierunek ekstensywno-agrarny zabija w narodzie polskim zdolność do normalnej ewolucji gospodarczej, paraliżuje w nim naturalne i zdrowe dążenia ekspansywne. Państwo polskie zaczyna upadać pod każdym względem i jako odrębny organizm gospodarczy zamierać, stając się przez to przedmiotem pożądań dla innych narodów.

Przez handel, na skrzyżowaniu dwóch dróg i kultur, powstaje silne państwo, dąży do ekspansji, staje się ważnym śpichlerzem Europy i upada, kiedy otwierają się dla rynku europejskiego z jednej strony tańsze i obfitsze źródła produkcji rolnej, z drugiej lepsze metody pracy, kiedy drogi morskie wybijają się do pierwszorzędnego znaczenia i stają się głównemi drogami handlowemi.

W związku z całą tą ewolucją aż do nowszych czasów wysuwa się w życiu ekonomicznem Polski jeszcze jedno charakterystyczne, niestety bardzo ujemne zjawisko, które po dziś dzień daje nam się jeszcze dotkliwie we znaki i uzależnia nas w znacznym stopniu od pomocy i komendy zagranicy: stały brak większych, fachowo zorganizowanych i umiejętnie obracanych kapitałów. Mieliśmy w poszczególnych epokach dużo złota, w monecie lub przedmiotach zbytku, ale gospodarka pieniężna była w Polsce stale pry-

mitywna i nie braliśmy niestety prawie żadnego udziału (albo nieproporcjonalnie mały) w rozwoju nowoczesnych środków wymiany i organizacji obrotu wielkim kapitałem. Wykluczyła to właśnie jednostronna, prymitywna gospodarka agrarna, tamująca rozwój miast, przemysłu i handlu, a w konsekwencji i dotrzymanie kroku rozwojowi gospodarczemu państw zachodnich pod względem organizacji i metod pracy. Dlatego to i w najnowszych czasach prywatne polskie finanse i bankowość są w swej roli znacznie zacofane w porównaniu do stosunków na zachodzie i dlatego również każda depresja gospodarcza przybiera u nas tak żywiołowe i długotrwałe rozmiary. Dlatego wreszcie znaczna większość przemysłu i handlu w Polsce nie jest dziełem rdzennie polskiego kapitału.

Od upadku państwa polskiego do chwili jego odrodzenia upłynęło lat wiele i wiele się zmieniło w dziedzinie życia gospodarczego. Powstały nowe światy, nowe środki transportu i wymiany, nowe warunki i metody pracy, nowe zagadnienia socjalne. Zdawałoby się, że żadnej już analogji, ani żadnej bezpośredniej nauki z tamtych odległych czasów wyprowadzić niepodobna. A jednak, w gruncie rzeczy, nie tak wiele się zmieniło. Podstawowe warunki polskiego życia gospodarczego — położenie geograficzne, klimat, gleba, surowce — wszystko to zostało. Niewiele również zmieniło się w zasadzie nasze położenie polityczne i niewiele psychika społeczeństwa. To zaś winno nas zniewolić do gruntownej refleksji, jaką ma być w ogólnych zarysach nasza polityka gospodarcza i polityka wogóle? Czy znowu mamy się rzucić i zasklepić w jednym kierunku i sprowadzać przez to sytuacje, w których staniemy się dla świata gospodarczego niepotrzebni?

Pierwszą więc nauką przeszłości winno być dążenie do pełni życia ekonomicznego — do równomiernego rozwoju gospodarczego w kierunku rolnictwa, przemysłu, handlu i finansów. W każdym zaś z tych działów musi być utrzymana równowaga i odpowiednie stopniowane. Nie

możemy np. zaniedbywać czy nawet niszczyć wielkiej produkcji rolnej na rzecz drobnej, ani niszczyć rzemiosła dla wielkiego przemysłu, ani zabijać małego i średniego handlu zbytnim rozwojem syndykatów lub wielkich etatystycznych organizacji handlowych. O tej niezbędnej równowadze wszystkich gałęzi gospodarczych między sobą i równowadze różnych stopni w obrębie danej gałęzi, słowem o „solidaryźmie gospodarczym“, który nie jest bynajmniej czczym frazesem, ale podstawowym warunkiem zdrowego ekonomicznego rozwoju, zapomina się nazbyt często we wskrzeszonem do niepodległości państwie, zarówno na arenie polityki oficjalnej, jak i na arenie prywatnego życia gospodarczego.

Zadaniem Polski dzisiejszej i podstawowym warunkiem jej przyszłej egzystencji jest stworzenie takiego organizmu gospodarczego, któryby był potrzebny dla świata, jednem z organicznych ogniw ekonomiki światowej.

Stworzenie takiego organizmu nie da się jednak pomyśleć — pomijając już wyżej wspomniany warunek równowagi i solidaryzmu gospodarczego — bez odpowiedniej dozy dążności ekspansywnych w społeczeństwie. Wzbudzić musi się w niem silne pragnienie i konsekwentnie realizowana wola zrobienia z Polski silnego ośrodka ekonomicznego, pośredniczącego między zachodem a wschodem oraz między południem a północą, z dostatecznem oparciem o morze. Program polityczny i gospodarczy ostatniego piastowskiego okresu musi się stać i obecnym naszym programem, a bez polityki ekspansji gospodarczej, która sprowadza za sobą w organicznej konsekwencji i pewną ekspansję polityczną, Polska zadania swego nie spełni, przestanie być światu potrzebną i przestanie — istnieć.

Oto główna nauka, która wynika z naszych dziejów ekonomicznych. Do tego celu, do umożliwienia ekspansji gospodarczej, do osiągnięcia pewnych niezbędnych dla naszej egzystencji państwowej „granic gospodarczych“, sięgających gdzieniegdzie nawet daleko poza obecne kordony

polityczne, winno być przedewszystkiem dostosowane nasze ustawodawstwo. Ten cel powinien nam też podyktować ostateczną formę ustroju politycznego. Polska musi być państwem, przyciągającem inne narody, państwem zamożnych obywateli, w którem dobrze jest żyć i opłaca się pracować.

Pozbyć się musimy stanowczo wszelkich naleciałości wschodnich, wszelkiego pociągu do tamtejszej kultury, który nazbyt u nas jeszcze w wielu sferach pokutuje, a natomiast dążyć do coraz bliższych węzłów z kulturą zachodnią. Nadewszystko zaś zaniechać musimy, pod grozą ponownego politycznego osłabienia i zaniku, wszelkich eksperymentów socjalno-gospodarczych. Niezbędne nam są kapitały, więc stwarzajmy przedewszystkiem warunki, ponętne dla kapitału. A w tym celu wyrwać musimy z mentalności naszej wszelakie naleciałości ideologji socjalistycznej, które więcej się w niej zakorzeniły, niż to nawet przypuszczamy, a objawiają się na zewnątrz (z pominięciem już rozwoju politycznie zorganizowanego socjalizmu i radykalizmu wogóle) w przeroście etatyzmu, t. j. zagarnianiu coraz dalszych dziedzin i funkcji gospodarczych przez państwo, a przeciążania i niemal planowego niszczenia gospodarki prywatnej. Stwórzmy przy pomocy wszelkich ułatwień ustawodawczych, fiskalnych i administracyjnych, jak również samorzutnej, celowej organizacji sfer zainteresowanych, silny stan „średni“ i dążmy całą ciłą do ekspansji, z wyeliminowaniem oczywiście jakichkolwiek pociągnięć o charakterze awanturniczym.

Nie lękajmy się hasła polityki mocarstwowej, ale idźmy śmiało w kierunku imperjalizmu gospodarczego!

Stanisław Meyer

POLSKA A PRAWOSŁAWIE ROSYJSKIE.

ZE WSPOMNIEŃ I WRAŻEŃ.

Pamięci księcia Grzegorza Trubeckiego poświęcam.

W chwili, gdy przystępowałem do pisania szkicu niniejszego, otrzymałem żałobną wiadomość o nagłej śmierci księcia Grzegorza Trubeckiego, młodszego brata obu już nieżyjących, równie głębokich jak świetnych przedstawicieli myśli religijno-filozoficznej rosyjskiej — Sergjusza i Eugenjusza Trubeckich. Grzegorz Trubecki, z zawodu dyplomata, był posłem w Serbji w pierwszych latach wojny światowej, potem dyrektorem kancelarji dyplomatycznej przy Głównej Kwaterze. Dyplomacja nie oderwała go od zagadnień religijnych, któremi się interesował nie mniej gorąco, niż bracia jego. Dzięki temu poglądy jego na politykę nosiły znamię tak rzadkiej u dyplomatów podniosłości. W pierwszych latach pierwszej rewolucji rosyjskiej porzucił był chwilowo służbę dyplomatyczną i wespół z bratem swoim, Eugenjuszem, redagował „Moskowskij Jeżeniedielnik", którego byłem współpracownikiem w zakresie spraw polskiej i katolickiej. Od tego czasu pozostawałem ze zmarłym w stałym przyjacielskim stosunku. Zagadnienia religji były zwykłym przedmiotem naszych rozmów ustnych i piśmiennych. Ostatni raz widziałem go w listopadzie r. z. Spędziłem wieczór u niego w Clamart, koło Paryża, mówiliśmy o stanie Cerkwi rosyjskiej w Sowietach i w Polsce. I teraz, pisząc, doznawałem nieraz wrażenia, że z Nim rozmawiam — i dlatego imię jego, jednego z najszlachetniejszych Rosjan, jakich spotkałem w życiu, na początku szkicu tego stawiam.

§ 1.

Jedną z rzeczy najpiękniejszych w literaturze politycznej pod względem szlachetności i podniosłości myśli jest instrukcja, którą Napoleon III napisał w formie listu otwartego do marszałka Mac Mahon, mianując go namiestnikiem Algieru. Znajdujemy ją w V-ym tomie pism Cesarza; obejmuje sto z górą stronic druku *). Narody panujące — czytamy tam — mają wobec narodów podwładnych obowiązki wielkie i trudne, panowanie swoje uważać powinny za posłannictwo i usprawiedliwiać je, stwarzając w krajach podległych warunki bytu lepsze, niż te, jakie były, zgodne z religją, tradycjami, obyczajami i kulturą podwładnego narodu. Z tego stanowiska poddawał Cesarz surowej krytyce wszystkie systemy rządzenia, jakie przedtem kolejno następowały po sobie w Algierji, szczegółowo zaś wyłożywszy zasady, jakiemi nowy namiestnik kierować się ma w dziedzinie administracji, samorządu, sprawiedliwości, oświaty, gospodarstwa, walki z lichwą i t. d., wyrażał w końcu życzenie i nadzieję, że przyjdzie chwila, w której Arabowie ujrzą w rządach francuskich interwencję Opatrzności w celu ich podniesienia moralnego i materjalnego; Algier stanie się atrakcją dla Arabów z innych części Afryki i Azji.

Podobną myśl głosił w ostatnich latach wieku zeszłego Borys Cziczerin w III tomie swego „Kursu nauki o państwie", stawiając, jako zasadę, że naród panujący powinien nietylko wyświadczyć narodowi czy narodom podwładnym zupełną sprawiedliwość, ale powinien moralnie wznieść się nad nimi, zlewając na nie nowe, nieznane im przedtem dobrodziejstwa; w ten sposób węzłem mocnym przywiąże je do siebie.

Jakież piękne i zarazem wdzięczne dla siebie zadanie miałaby Polska, stosując zasadę tę do swoich obywateli ro-

*) „Oeuvres de Napoleon III". Paris, Plon, 1869.

syjskich i do prawosławia! Wobec straszliwego męczeństwa, przez jakie przechodzi prawosławie w państwie Sowietów, Cerkiew rosyjska w Polsce ciążyć do dziczy sowieckiej, oczywiście, nie może, a natomiast mogłaby się stać na naszym gruncie pożytecznym ze stanowiska państwowego czynnikiem. Jakby politykę naszą w tej sprawie osądził ś. p. Borys Cziczerin, tego nie wiem, ale oto co mówił do mnie w r. 1925, w Paryżu, ks. Grzegorz Trubecki, a w słowach jego czułem rzeczywistą troskę o przyszłość: „Czy się zastanawiacie nad tem, co robicie? Uciskacie prawosławie, jakgdybyście zapomnieli o tem, jak zgubnie to wpłynie na przyszłe, po upadku bolszewizmu, ukształtowanie się naszych wzajemnych stosunków". Słowa te tem silniejsze zrobiły na mnie wrażenie, że ten, który je wygłaszał, był szczerym przyjacielem narodu naszego, czego składał dowody przed wojną, w stosunku zaś do katolicyzmu nietylko był wolny od wszelkiej niechęci, ale pełen rzetelnego uznania. Nic dziwnego, miał szczęście znać osobiście kardynała Mercier: „Ktokolwiek — pisał o nim we wspomnieniu pośmiertnem — zbliżył się do niego, ten ulegał błogosławionemu czarowi świętości, którą promieniał..." „Mnie się zdaje, że świat bez niego osierociał".

Słowa ks. Trubeckiego dotyczyły spraw, związanych z kwestją autokefalji prawosławnej w Polsce, której tu poruszać nie zamierzam. Sądzę jednak, że powodów do troski i niepokoju jest dziś nie mniej, raczej więcej, niż wówczas. Biskupi nasi wystąpili z żądaniem zwrotu koło 750 niegdyś katolickich, albo unickich, dziś prawosławnych świątyń; równocześnie zaś i to w chwili, gdy ze szpalt urzędowych pism sowieckich sypią się na nas grubjańskie obelgi, agenci zaś sowieccy w Sejmie i poza nim szerzą wywrotową propagandę, urzędnik, zajmujący wysokie stanowisko, oświadczał w interviewie, że „byłoby szaleństwem ze strony Polski uczestniczyć w jakiejkolwiek akcji, mającej na celu obalenie obecnego rządu w Moskwie" i że niepożądane i niewłaściwe są antykomunistyczne i antysowieckie wy-

stąpienia niektórych organów prasy polskiej. Co to miało znaczyć?

Kwestji udzielenia czynnej pomocy emigrantom rosyjskim, czy jakimkolwiek innym przeciwnikom rządów sowieckich w ich walce z ciemiężcą, u nas nie stawiano i nikt o tem, o ile wiem, nie myśli. Jeśli więc samo przypuszczenie czegoś podobnego napełnia taką obawą, to czyż nie oznacza to, że właśnie Rosja **Sowiecka,** nie zaś jakaś inna, jest pożądanym dla nas sąsiadem, z którym, choć nie proszeni o to i pogardliwie odpychani, zawiązać chcemy najprzyjaźniejsze stosunki. I jakgdyby na potwierdzenie mego przypuszczenia, po dniach kilku pojawił się w Gazecie Polskiej (21 gr. 1929) pod adresem emigracji rosyjskiej artykuł, w którym ze zdumiewającą otwartością postawiono wszystkie kropki nad **i** w wywiadzie udzielonym przez owego urzędnika. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek w prasie naszej spotkał coś równie bezczelnego, jako cynizm i perfidja. „Musimy się rachować z opinją sowiecką (sic) — dowodzi autor, którego pokrótce streszczam — bolszewicy w krwawych walkach ugruntowali władzę swoją, władzę tę przyjęły szerokie masy ludowe, my zaś, przyjmując to do wiadomości, powinniśmy uszanować wolę narodu, który chce mieć nad sobą swoich dzisiejszych władców, nie zaś jakichś tam carskich generałów. Nie chcemy i nie mamy prawa wtrącać się w jego sprawy wewnętrzne i gdyby, przypuśćmy, zwalenie rządu sowieckiego było w naszym interesie, a w Europie powstał antysowiecki blok, my do niego nie przystąpimy nigdy; dajemy tem dowód istotnego szacunku dla narodu rosyjskiego i to nasze stanowisko oceni i dzisiejsza i przyszła Rosja“. Te służalcze zapędy swego współpracownika drukowała gazeta, uchodząca, słusznie czy nie, za półurzędową, w chwili, gdy z rewelacji Biesiedowskiego dowiadywał się świat, że każde poselstwo sowieckie jest nietylko ogniskiem propagandy, o czem wiedziano—ale także kuźnią spisków i zamachów i że w kuźni Warszawskiej przygotowywano wysadzenie cytadeli i roztrząsano sprawę

zamordowania marsz. Piłsudskiego. P. Fiłosofow pisze, że rewelacje te zadały cios śmiertelny dyplomacji sowieckiej. Mnie się zdaje, że odwrotnie, wzmocniły one, przynajmniej u nas, znaczenie jej i powagę: brutalna bezwzględność imponuje, jako dowód siły i odtąd z tem gorliwszą czołobitnością śpieszyć będą na ul. Poznańską ci, których p. poseł łaskawie „na kawior“ zaprosić raczy.

Nie dziwię się przeto, gdy z ust Rosjanina, patrzącego na umizgi naszych sowietochwalców, słyszę, że Polska spekulować chce na nieszczęściu Rosji i nie zdziwiłbym się nawet, gdyby któryś z nich wygłosił, że tym wspólnym celem, który dziś łączy Polskę z Sowietami, jest walka z prawosławiem. Tego jednak nie słyszałem; w każdym razie widocznem jest w prasie rosyjskiej zdenerwowanie, nawet w artykułach publicystów poważnych. Obok zaś tego dostrzegamy stałą tendencję, gdy mowa o przeszłości, do minimizowania prześladowań, jakich Kościół katolicki w Polsce doznawał ze strony rządu rosyjskiego. W organie zaś Metropolji prawosławnej w Warszawie czytaliśmy niedawno artykuł, po którym znawca rzeczy rosyjskich p. Edw. Paszkowski, któremu nikt nie zarzuci jakichś antyrosyjskich uprzedzeń, słusznie zapytywał w „Czasie“, czy jest on dowodem bezbrzeżnej ignorancji, czy też tchnieniem **istinno ruskich** tęsknot. Sądzę przeto, że chcąc bezstronnie ocenić chwilę obecną we wzajemnych stosunkach katolików i prawosławnych w Polsce, należy pamiętać o przeszłości i dlatego, mając czytelników rosyjskich na względzie, przypomnę tu niektóre szczegóły i rzeczy, na które sam własnemi oczami patrzałem.

W połowie zeszłego stulecia jeden z najznakomitszych przedstawicieli t. zw. słowianofilstwa rosyjskiego, Jerzy Samarin, nazwał Polskę „ostrym sztyletem, który świat zachodnio-katolicki wbił w samo serce Słowiańszczyzny“. Słowa te znalazły żywy oddźwięk w szerokich sferach społeczeństwa rosyjskiego, żywszy jeszcze w rządzie. W epoce powstania polskiego publicysta z ogromną powagą i wpły-

wem, a daleki od słowianofilskiego mistycyzmu, Katkow, wyraził się, że z dwojga złego — katolicyzm czy nihilizm — gorszem jest katolicyzm — i do dziś dnia pogląd ten błąka się po pismach kierunku eurazjatyckiego. Niedość jest jednak powiedzieć o sztylecie polskim, że jest ostry. Sztylet ten pochodzi z Zachodu, który słowianofilstwo uznało za zgniły, więc, w zgniliźnie tej umoczony, grozi on gangreną zdrowemu ciału Rosji. Ma się rozumieć, że z tego stanowiska patrząc, najniebezpieczniejszymi wydają się ci, co z powołania i obowiązku szerzą naukę katolicką, czyli księża: każdy z nich ma w sobie jad, którym zaraża wszystko, czego dotknie. Wyrazy **jad, jadowitość** w stosunku do duchowieństwa katolickiego, grasowały w terminologji oficjalnej za panowania Aleksandra III, któremu najbliżsi jego doradcy, Katkow i Pobiedonoscew, umieli wpoić przekonanie, że niema dla państwa zadania pilniejszego nad ochronę narodu od owego jadu.

Księdza katolickiego postawiono na równi z notyfikowanym przestępcą i z prostytutką, t. j. pod ścisłym dozorem policji. Internowano go w jego parafji, której granic nie wolno mu było przekroczyć pod groźbą surowych kar. Nie mógł odwiedzić swego najbliższego sąsiada, proboszcza przyległej parafji, nie miał, w razie choroby, prawa wyjechać do najbliższego miasteczka dla zasięgnięcia porady lekarskiej, jeśli miasteczko to w innej było parafji. Proboszcz z Rakowa, skąd pochodzę i gdzie rodzice moi mieszkali, ś. p. X. Eustachy Karpowicz, wezwany do umierającej matki, wniósł natychmiast podanie do gubernatora; pozwolenie nadeszło po upływie dziesięciu miesięcy; matka jego już oddawna nie żyła.

Jeden z wujów moich, przybywszy w nasze strony dla odwiedzenia licznych krewnych, ciężko zaniemógł i zażądał spowiedzi. Było to nie u nas, lecz o cztery mile od Rakowa, w parafji, obsługiwanej przez protegowanego przez rząd księdza infamisa, który wprowadzał tam do nabożeństwa język rosyjski. Nie chciano go wezwać i zwrócono się

do mego ojca. Ojciec mój porozumiał się z proboszczem naszym, ks. Świderskim *) i o późnej wieczornej godzinie, gdy wszyscy we dworze i miasteczku ułożyli się do snu, zawiózł go, przebranego do niepoznania, na miejsce i natychmiast po spowiedzi odwiózł. Była to wycieczka forsowna, koło 60 wiorst w ciągu 4 — 5 godzin, ale chodziło o to, aby przededniem być w domu, z obawy, że w przeciwnym razie wiadomość o tej zagrażającej porządkowi publicznemu swawoli dojśćby mogła do władz.

Ś. p. przyjaciel mój, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, X. Wł. Knapiński, w doskonałej rozprawie o przepisach paszportowych dla księży **) opowiedział z właściwym sobie humorem odyseę między Warszawą a Częstochową pewnego księdza, który, otrzymawszy od bezpośredniej władzy swojej 4-tygodniowy urlop, zapragnął czas ten spędzić w Częstochowie. Po długich i mozolnych staraniach wyjednał zezwolenie od policji. Szczęśliwy, wsiadł do wagonu, ale w Skierniewicach, korzystając z 10-ciu minut postoju, wysiadł, ażeby się przejść po peronie. Podchodzi żandarm: „Wasz paszport!“ — Ksiądz mu paszport pokazał, żandarm obejrzał i zwrócił. W owych czasach spotkanie żandarma pachniało zawsze czemś niedobrem. Ksiądz pośpiesznie wrócił do wagonu z mocnem postanowieniem nie opuszczania go aż do samego kresu podróży. Niestety, w Piotrkowie przycisnął go głód, wyszedł do bufetu; znowu podchodzi żandarm, obejrzał paszport i ogarnęła go wątpliwość. Nie było tam powiedziane, czy ksiądz miał prawo wysiąść w Piotrkowie; wysoki rząd łaskawie przymknął oczy na to, że w wagonie mogą przygodni towarzysze podróży podlec zgubnemu działaniu księdzowskiego „jadu“, ale czy wolno to jego działanie rozszerzyć na salę restaura-

---

*) Ks. Wincenty Świderski należał do najzacniejszych i najgorliwszych kapłanów w kraju. Był później profesorem seminarjum w Petersburgu. Zmarł tamże, jako kanonik kapituły metropolitalnej Mohylewskiej.

**) „Das polnisch-russische Staatskirchenrecht“ (Leipzig, 1890, Kasprowicz).

cyjną? Żandarm udał się z paszportem do wyższej władzy. Po paru godzinach wrócił z paszportem i wizą, ale tymczasem odszedł był pociąg, ksiądz czekać musiał na następny do późnej nocy. Wreszcie przybywa do Częstochowy koło 3-ej rano. Na dworcu czeka telegraficznie zawiadomiony o jego przybyciu żandarm i, zabrawszy paszport, wręcza mu pokwitowanie. Dotarłszy nareszcie do upragnionego celu, z uczuciem ulgi odetchnął nasz ksiądz. Działo się to 4 września 1889 roku. Trzy dni minęły spokojnie. Ale oto 7 września zjawia się u księdza policjant z rozkazem natychmiastowego wyjazdu. „Dlaczego?" — „Jutro zaczynają się uroczystości odpustowe, w paszporcie nie powiedziano, że wolno księdzu w nich uczestniczyć".

Co robić? Ksiądz wyjechał do znajomego proboszcza o wiorst kilka, ażeby tam czas odpustowy przebyć. Przyjechawszy, posyła paszport do zameldowania w urzędzie policyjnym. Ale stamtąd natychmiast go zawiadamiają, że miejsce, w którem się zatrzymał, nie jest wymienione w paszporcie; niech więc, nie zwlekając, wraca do Częstochowy. „Ale kiedy mnie właśnie stamtąd wyprawiono". — „Pozostaje księdzu wrócić do stałego miejsca pobytu, t. j. do Warszawy". Tak też biedny ksiądz robi; ale poczekawszy w Warszawie dni kilka, jedzie z powrotem do Częstochowy, bo odpust już tam minął. Na dworcu, jak tamtym razem, melduje swój paszport żandarmowi... „Jakiem prawem ksiądz znowu się tu pojawił, pozwolenie dano na jednorazową podróż; proszę najbliższym pociągiem jechać z powrotem". Zrozpaczony ksiądz musiał do Warszawy wrócić, innego wyjścia nie było, ale nie dał za wygrane. W Warszawie, w urzędzie policyjnym, opowiedział swoje przygody i tak tem komisarza ubawił, że ten, nie pociągając go do odpowiedzialności za nielegalną powtórną wycieczkę, wystarał się o nowy paszport. Ksiądz znowu po raz trzeci odjechał, przybył do Częstochowy 19 września, więc ma jeszcze 11 dni do końca urlopu, ale 23-go przychodzi do niego policjant: „Proszę dziś jeszcze do Warszawy wracać". — „Co się stało?"

pyta przerażony ksiądz. „Jutro rano przyjeżdża tu diecezjalny biskup z Włocławka, na pobyt zaś w Częstochowie w czasie wizytacji biskupiej należy mieć specjalne zezwolenie, którego ksiądz nie posiada“.

Słowem, prześladowanie duchowieństwa dochodziło do absurdu, który w końcu rozśmieszał więcej, niż oburzał. Przytoczę jeszcze przykład. Według zwyczaju, obowiązującego w kościołach katedralnych, każdy z kanoników i prałatów kapitulnych ma z kolei swój tydzień, to znaczy, że w niedzielę celebruje sumę i nieszpory, w dnie powszednie odprawia ostatnią mszę przy wielkim ołtarzu. W czasach przedwojennych każda kapituła miała swego delegata w Petersburgu, w t. zw. Kolegjum katolickiem. Delegatem Wilna był prałat Biedrzyński. Przesadnie ostrożny i wskutek tego może niekiedy zanadto ustępliwy w owej smutnej epoce „rozpolaczania“ (czyli rusyfikowania) katolicyzmu, był dzięki temu dobrze widziany przez rząd i udekorowany kilku orderami. Gdy jednak przybywał na wakacje do Wilna i chciał swoją kolej w swojej katedrze odbyć, władze administracyjne zakazywały mu spełniać to, co było jego prawem i obowiązkiem, sam wyraz „msza śpiewana“ napełniał zabobonnym jakimś strachem przemądrych stróżów bezpieczeństwa państwowego. Z Wilna udawał się zwykle prałat na kilka tygodni wypoczynku do swego siostrzeńca w Rakowie, wspomnianego wyżej X. Karpowicza. Tam widywałem go codziennie, odprawiającego z budującą pobożnością mszę św., ale nie wolno mu było mieć mszy śpiewanej, ani celebrować w niedzielę, ani spowiadać, ani wygłosić kazania, choć znany był jako dobry spowiednik i dobry kaznodzieja; wszystko to było ze stanowiska rządu zakłóceniem porządku publicznego. Oficjalnie uznana *błahonadieżność* nie ochraniała prałata od szykan policyjnych. Uważano ją bowiem, o ile nie była, czy przynajmniej nie graniczyła z apostazją, za przykrywkę, którą kapłani politycy zasłaniali swoją „jadowitość“.

Z szeregu gubernatorów Mińskich, którzy się przede-

mną przesunęli, jeden staje mi teraz w pamięci: dobrze wychowany, uprzejmy, wolny, jak się zdawało, od szczególnie złośliwych uprzedzeń do Polski i Polaków, był nieubłaganie twardy w stosunku do duchowieństwa i wogóle do katolicyzmu. Walkę z tym groźnym potworem uważał za misję, którą mu Bóg powierzył. Gdy po śmierci ojca mego delegacja mieszczan rakowskich przyszła do mnie z prośbą, bym wyjednał u niego zezwolenie na pogrzeb uroczysty, t. j. z chorągwiami i śpiewami, prośbę tę spełniłem niechętnie, wiedząc, że będzie to daremne — i rzeczywiście na telegram mój nadeszła odpowiedź odmowna. Uczynny w każdej innej okoliczności, gubernator ów nie odważył się postąpić w tym wypadku niezgodnie z tem, co za swój święty obowiązek służbowy poczytywał.

Są to wszystko rzeczy małej wagi; przechodzę do ważniejszych. Ze stanowiska rządu „gangrena" katolicka była szczególnie groźną dla państwa w gubernjach, bezpośrednio graniczących z Rosją rdzenną, czyli na Litwie i Białej Rusi. Tam zamierzono doszczętnie wytępić katolicyzm. Po roku 63 rozpoczęto systematyczne zamykanie i zabieranie kościołów, zwłaszcza murowanych. W Mińsku kościół Bernardynek oddano mnichom prawosławnym, kościół Benedyktynek — prawosławnym mniszkom, kościół Dominikanów przerobiono na koszary dla wojska, kościół Bernardynów na archiwum. Pozostała tylko była katedra wraz z kościółkiem na cmentarzu Złotogórskim. Bezskutecznie starano się odtąd o zezwolenie na budowę nowej świątyni, dopiero po ukazie o tolerancji z r. 1904 ś. p. Edward Woyniłłowicz wystawił własnym kosztem okazały kościół na ul. Zacharzewskiej. W najbliższem sąsiedztwie Rakowa zabrano obydwa kościoły murowane w Iwieńcu i murowany kościół w Dubrowach, prócz tego kościół drewniany w Wołmie, a to w celu dokuczenia właścicielowi Wołmy, marszałkowi szlachty p-tu Mińskiego, Leonowi Wańkowiczowi. Licząc na swoje stosunki w Petersburgu, marsz. Wańkowicz napisał był memorjał o stanie kraju naszego

i podał go ówczesnemu ministrowi spraw wewnętrznych, hr. Wałujewowi, używającemu opinji człowieka liberalnego, „Der edle Walujew“, tak go charakteryzowano w głośnych wówczas „Bilder aus der Petersburger Gesellschaft“. Ten odesłał memorjał gubernatorowi Mińskiemu, gubernator zaś uznał za najstosowniejsze ukarać śmiałego autora w sposób, któryby odstraszył innych od naśladowania jego przykładu, więc zabrać rozkazał kościoły w obu jego majątkach: Wołmie i Śmiłowiczach i w dodatku całą parafję Wołmiańską zapisał na prawosławie, pomimo oporu ludności. W oporze swoim dzielni Wołmianie do końca bohatersko wytrwali, do cerkwi nie chodzili, parocha nie wzywali, śluby błogosławili najstarsi w wiosce, spowiadali się potajemnie w Rakowie; stąd ciągłe zatargi proboszczów Rakowskich z parochami w Wołmie, których gorliwość uśmierzać musieli łapówkami. Wreszcie synowie i wnukowie „nawróconych“ doczekali się ukazu 1904 roku i natychmiast gremjalnie wrócili do wiary przodków, którą pokryjomu wyznawali.

Po zaborze kościołów zakazano stawiać nowe i nie wolno było naprawiać tych, co pozostały. Dotyczyło to Litwy i Rusi. Wbrew temu, co twierdzą dziś w prasie rosyjskiej, nie słyszałem ani o jednem zezwoleniu na naprawę, a tembardziej na budowę nowego kościoła. Należało więc czekać, aż się rozwalą, poczem ludność łatwiej dałaby się namówić do przechodzenia na prawosławie. Że do tego zmierzała polityka rządu, świadczy słynna historja z kościołem w Krożach. Starożytną tę i piękną świątynię kazał w r. 1891 zamknąć wraz z klasztorem zaciekły wróg katolicyzmu, Wileński gen. gubernator, Orżewski. Krożanie wnieśli wówczas podanie o przeniesienie parafji do kościoła klasztornego, parafjalny bowiem drewniany kościółek na cmentarzu ze starości się rozpadał. Zdawałoby się, że sprawiedliwość, zdrowy rozsądek, wreszcie zmysł państwowy powinny były nakazać Orżewskiemu przychylić się do prośby Krożan; nic podobnego. Na rozkaz jego przy-

był z Kowna gub. Klingenberg z licznym orszakiem policji, ażeby kościół zrównać z ziemią. Krożanie w kościele się zamknęli, broniąc dostępu. Wezwano kozaków. Ci, uzbrojeni w nahajki i rewolwery, wdarli się do kościoła, nastąpiła walka, byli ranni i zabici, miejscowy lekarz dr. Landsberg opatrzył 20-tu rannych. Uciekających kozacy gonili, bijąc nahajkami po głowach, poczem pojmanych, między nimi był starzec stuletni, odprowadzono do urzędu gminnego; tam kozacy siekli ich w dalszym ciągu, od 25 do 45 uderzeń na osobę. Dziesięciu zmarło od ran, dwanaście kobiet i dziewczyn zgwałcono. Sprawa oparła się o Sąd w Wilnie; bronili podsądnych Krożan najznakomitsi adwokaci z Petersburga, ks. Urusow, Andrejewskij, Żukowskij, Turczaninow. Pomimo to Sąd skazał 36-ciu na katorgę lub więzienie, polecając ich jednak łasce monarszej; równocześnie prezes Izby sądowej, Stadolskij, objektywnie przedstawił całą sprawę w liście do ministra sprawiedliwości, wymownie kończąc, że czuje się Rosjaninem aż do szpiku kości i że właśnie dlatego tem bardziej i do głębi duszy poruszył go gwałt, jakiego dopuściły się władze wobec ludności. Car ułaskawił 32-ch, czterem zaś złagodził kary *).

Wobec tego, że nawet najzajadlejsi z rusyfikatorów nie byli do takiego stopnia zaślepieni, aby uwierzyć, że katolicyzm da się całkowicie w guberniach litewsko-białoruskich wytępić, chwycono się innego sposobu. Powstał pomysł „rozpolaczenia“, czyli zrusyfikowania katolicyzmu i w r. 1869 car Aleksander II łaskawie zezwolić raczył, aby nabożeństwo dodatkowe (kazania, śpiewy, modlitwa za cara po sumie) odbywało się w języku rosyjskim. Zezwolenie było oczywiście rozkazem i administrator djecezji Wileń-

---

*) Sprawa Krożańska obszernie opisaną została w broszurze „Proces Krożan przed Izbą Sądową Wileńską“ (Kraków 1896). Por. też głośną rozprawę grafa Leliwy: Russko-polskija otnoszenja“. Wydał ją ś. p. hr. Antoni Tyszkiewicz, napisał ś. p. mec. Tadeusz Wróblewski. Wreszcie bezimienna broszura „Wiernotierpimost w Rossji“ (Kraków 1897); autorem jej był X. Wł. Knapiński, ja zaś polski tekst opracowałem w jęz. rosyjskim.

skiej, obejmującej wówczas gubernję Wileńską, Grodzieńską i Mińską, prałat Piotr Żyliński, podjął się wykonania woli carskiej. Ale robił to leniwie, podpisał sam i zażądał od podwładnego duchowieństwa podpisania stosownej deklaracji, którą u nas w mowie potocznej nazywano „rytuałem“, księży zaś, co ją przyjęli, czyli księży rządowych — rytualistami. Rachując się jednak z opinją publiczną, Żyliński środków przymusowych nie używał i „rytualizm“ jego ograniczał się do tego, że celebrując w dnie galowe, po sumie po rosyjsku za cara śpiewał.

Znalazł się natomiast w osobie osławionego Ferdynanda Sęczykowskiego znany ze złego życia kapłan-karjerowicz, który nic do stracenia nie mając, zaprzedał się rządowi i z furją politykę rusyfikacyjną prowadził. Mianowano go wizytatorem kościołów gub. Mińskiej z obowiązkiem wprowadzenia języka rosyjskiego. Poza tem był katechetą naszym w gimnazjum Mińskiem; musieliśmy z rosyjskiemi książkami do nabożeństwa na mszę jego chodzić, po rosyjsku nas spowiadał, wymagał, abyśmy na pamięć, jak Ojcze Nasz, umieli cały katechizm o czci dla cara, t. ż. „Cesarzówkę“. Główną tezą jego wykładów była tożsamość katolicyzmu z prawosławiem, bo jedna tylko jest prawda i jedna prawdziwa wiara, więc nie może być różnicy między wiarą prawosławną a katolicką i nie byłoby jej, gdyby katolicy odziedziczonej po przodkach wiary nie zeszpecali głupiemi inowacjami; np. przypodobać się chcąc swemu Papieżowi, uznali zdziecinniałego staruszka za bezgrzesznego (nieomylny po ros. niepogrieszimyj) i „bezgrzeszność“ tę ogłosili jako dogmat. Wykłady o sakramentach kapłaństwa i małżeństwa polegały na opowiadaniu tłustych dykteryjek, na które lubili przychodzić uczniowie prawosławni, aby się uweselić i wyśmiać; w taki sposób „uświadamiał“ on tych z nas, co jeszcze „uświadomieni“ nie byli. Władze rządowe ceniły i wyróżniały tego kapłana, demoralizatora młodzieży, do takiego stopnia, że ministrowie, mianowicie minister oświaty hr. Dymitr Tołstoj i minister spraw wewn.

Timaszew, w czasie bytności swojej w Mińsku zaszczycili go odwiedzinami. Ale gorszącymi wybrykami kompromitował on sprawę, której służył i kompromitował rząd; musiano go wydalić wreszcie z Mińska, życie swoje marnie zakończył gdzieś w Turkiestanie. Niejaki Żyrkiewicz napisał o nim, jako męczenniku idei rosyjskiej, panegiryczne dzieło dwutomowe. Tak ogromnej rozmiarami pracy nie mamy ani o Göthem, ani o Schillerze, ani o Mickiewiczu.

Słowem próby „rozpolaczenia“ katolicyzmu zawiodły. W r. 1883 rząd rosyjski poszedł do Canossy, odnowił stosunki z Watykanem, zerwane od czasu powstania, i zawarł konkordat. Nie było to jednak rozwiązaniem sprawy, ani oznaczało zaprzestania ucisku. Księża pozostawali nadal internowani w parafjach swoich, biskup zaś, zwiedzający djecezję swoją, wyglądał, według trafnego wyrażenia Tadeusza Wróblewskiego *), nie na zwierzchnika duchownego z władzą i powagą, lecz na przestępcę politycznego, otoczonego policją liczną, a nie opuszczającą go ani na jedną chwilę.

Nie odstąpiono również od zamiaru zniszczenia resztek Unji, która istniała jeszcze na Podlasiu. Do wykonania zamiaru przystąpiono w r. 1876 z pomocą kozaków, drogą takich gwałtów i tortur, jak np. kilkugodzinne pławienie opornych w stawach zimą przy mrozie. Nazywało się to „miłosnem zjednoczeniem z Cerkwią-Macierzą“. „Zjednoczenie“ było pozorne; Jezuici krakowscy uwijali się po Podlasiu z godną podziwu śmiałością i poświęceniem, przebrani za kupców wędrownych, spowiadali, chrzcili, dawali śluby. Gdy dochodziło to do wiadomości władz, śluby zrywano, rozłączano małżeństwa, mężów odsyłano np. na Ural, lub Sybir, żony na południe Rosji, dzieci najczęściej odbierano. Prześladowanie i niszczenie Unji zachwiało u największego z rosyjskich filozofów i teologów, Włodz. Sołowiewa, jego wiarę w posłannictwo Moskwy, jako trze-

---

*) Por. „Russko-polskija otnoszenja“.

ciego Rzymu; odtąd coraz głębiej pochłaniała myśliciela tego i proroka wizja bliskiego upadku Rosji. Losem nieszczęśliwych zesłańców gorąco się opiekował prałat prof. Chotkowski w Krakowie, wspierając ich pieniężnie tajemnemi drogami. Przypominam sobie piękną chwilę w Krakowie. Było to w maju 1891 czy 1892 roku; przybyła pielgrzymka Ślązaka, wędrówkę po mieście rozpoczęła od wysłuchania sumy w Kościele Marjackim. Po ewangelji na ambonę wstąpił prałat Chotkowski; należał do najlepszych kaznodziejów naszych. Zaczął od tego, że za czasów Nerona pierwsi chrześcijanie zbierali się, aby wzajemnie sobie opowiadać o męczennikach swoich i tem wzmacniać siebie na duchu. I my — mówił — mamy obecnie męczenników tam w Syberji, na Uralu, w katordze, czy na zesłaniu; będę wam o nich opowiadał. I wyjąwszy z teki otrzymane stamtąd listy, czytał je i komentował; wrażenie było potężne.

Zaciekłym tępicielem Unji był archirej chełmski Eulogjusz. Cierpienia i łzy okrutnie prześladowanych Unitów ciążą na jego sumieniu. Człowiek ten wyznawał jakoby poglądy liberalne w rzeczach, dotyczących stosunku rządu do społeczeństwa i, dzięki temu, posiadał w czasach pierwszej rewolucji sympatje opozycji rosyjskiej, która również zaznaczała przychylność swoją względem naszych żądań. Uznanie jej dla Eulogjusza uspasabiało mię nieco sceptycznie do niej i otwarcie to wyznałem w rozmowie z jednym z najznakomitszych teologów rosyjskich, który zarazem wybitne zajmował stanowisko w ruchu wolnościowym. „O Eulogjuszu — powiedział z uśmiechem — mówić nie będziemy“. W uśmiechu tym wyczytałem następujące słowa: „Nic nas nie obchodzą wasze gadania i krzyki; biskup Eulogjusz spełnia to, co jest jego obowiązkiem“. Inaczej obowiązek swój pojmował w epoce powstania polskiego słynny historyk Cerkwi rosyjskiej, a ówczesny archirej w Wilnie, Makary. Ten nahajek kozackich nie stawiał na jednym poziomie z krzyżem i Ewangelją i „nawróconym“ przez kozaków pozwalał wracać do wiary, którą przedtem wyznawali.

Eulogjusz przebywa obecnie w Paryżu, stoi na czele znacznej części Cerkwi rosyjskiej na emigracji. Czy wie on, że jak imię Murawiewa, przezwanego *Wieszatielem,* jest dla Polaka symbolem depcącej Polskę Rosji carskiej, tak jego imię, wraz z imionami Hurki i Apuchtina, wywołuje w myśli każdego z nas obraz tej złości i nienawiści, tego, porosyjsku mówiąc „czełowiekonienawistniczestwa", które postawiło sobie za cel zniszczenie Polski katolickiej. Jak Eulogjusz z Paryża, tak Antonjusz z Serbji, chcieliby samowładnie rządzić całą Cerkwią emigracyjną i, choć wzajemnie się dziś ekskomunikują, są, jak przypuszczam, zgodni ze sobą w tem, co ich przed wojną łączyło, t. j. w antypatji do katolicyzmu i Polski, jako narodu katolickiego. Dodajmy, że w Moskwie rządzi Sergjusz, który złożył hołd bolszewizmowi. Eulogjusz, Antonjusz, Sergjusz — to dzisiejsza Cerkiew rosyjska. Wszyscy trzej uosabiają prawosławie w postaci, w jakiej Polska przywykła je widzieć, t. j. jako narzędzie eksterminacyjnej, antykatolickiej i antypolskiej polityki, której przykłady i szczegóły przytoczyłem wyżej. Wszystko to wytwarza atmosferę, ogromnie utrudniającą uregulowanie kwestji. Nie wypływa stąd, ażebyśmy atmosferze tej poddać się mieli, przeciwnie, dla dobra Kościoła i dla dobra Polski powinniśmy umieć ponad nią się wznieść.

§ 2.

Nie przesadzę, jeśli powiem, że należę do tych bardzo nielicznych Polaków, którzy nietylko bez uprzedzenia patrzą na prawosławie, ale umieją ocenić i odczuć piękno chrześcijaństwa wschodniego. Zawdzięczam to temu, że za młodu, w latach uniwersyteckich, w Dorpacie, poznałem pisma pierwszych słowianofilów rosyjskich. Pod głębokiem wrażeniem wykładów prof. Wiskowatowa zabrałem się do czytania i studjowania Chomiakowa. Porwał mnie szeroki rozmach jego myśli, olśniło ujęcie idei Kościoła i jego zadań. Katolicyzm — nauczał on — to jedność bez wolności, w pro-

testantyźmie mamy wolność bez jedności; tylko prawosławie daje jedno i drugie w harmonijnej syntezie. Z tego stanowiska, t. j. z wysokości Kościoła, a pod Kościołem rozumiał on wyłącznie prawosławie, gromił on inne chrześcijańskie wyznania, jako odstępstwa od prawdziwej wiary. Słowom jego oczywiście nie uwierzyłem na ślepo, bo w takim razie musiałbym na wiarę jego przejść. To, co głosił, brałem nie jako rzeczywistość, ale jako ideał, jako wyraz tego, czem prawosławie powinno być, czem mogłoby być, stojąc na gruncie nauki Ojców Kościoła Wschodniego. Uderzyła mię również analogja między prawosławno - rosyjskim mesjanizmem Chomiakowa i jego przyjaciół, a zabarwionym myślą katolicką mesjanizmem Mickiewicza i Krasińskiego. Temu odkryciu poświęciłem artykuł, który się pojawił w świeżo założonym petersburskim „Kraju“ w r. 1882. Surowo osądzili tę jedną z pierwszych prób pióra młodego studenta ludzie starszego pokolenia. „Przespasowiczył samego Spasowicza“ wyraził się jeden z nich. Oburzał ich sam pomyśł zestawienia tego, co najwyższe i nam najdroższe w idealiźmie polskim, z jakiemiś tam fantazjami moskiewskiemi; upatrywali w tem dowód zaniku uczucia patrjotycznego w młodem pokoleniu.

Z artykułu tego wyrosła później książka *), nader przychylnie oceniona przez człowieka tak dalekiego od Rosji, tak niechętnie względem niej usposobionego, jak Stanisław Tarnowski.

„Słowianofilstwo — pisałem tam, zamykając uwagi moje o doktrynie tej — zbyt bezwzględnie idealizowało dziejowe podstawy, na których rozwijała się Rosja i zbyt słabo i powściągliwie wskazywało na niedoskonałość ich w rzeczywistości“. Na tem samem stanowisku wobec słowianofilstwa stał wóczas wielki Włodzimierz Sołowiew. Publicysta rosyjski Chirjakow opowiada we wspomnieniach

*) Mesjaniści i Słowianofile. (Kraków, 1888).

swoich, drukujących się w Warszawie w gaz. „Za swobodu“, o wrażeniu, jakiego doznał, zobaczywszy pierwszy raz Sołowiewa. Było to na pogrzebie uczonego rosyjskiego Grota. Nagle wchodzi do cerkwi i staje wśród staruszków, członków Akademji, a kolegów zmarłego, człowiek młody, wzrostu słusznego, a tak wybitnie całą osobą swoją odmienny od ogółu ludzi, że „mimowoli zapytałem siebie: kogo to widzę, człowieka czy „pół-boga?“ Dwa razy w życiu spotkałem Sołowiewa i temi samemi słowami mógłbym własne wrażenie określić.

Z urodzenia, wychowania, stosunków i sympatji towarzyskich należał Sołowiew do słowianofilów, ale jego umysł krytyczny i serce gorące nie dały się otumanić frazesami; prędko się przekonał, że pierwotne romantyczne słowianofilstwo przeistaczało się w ciasny i złośliwy nacjonalizm. I na słowianofilskiem gruncie idei Kościoła powszechnego i wiary w posłannictwo Rosji stojąc, dochodził do wniosku, że Kościół powszechny, to nie zamknięty w wyłączności swojej Wschód albo Zachód, ale jedność Wschodu z Zachodem i innej drogi do urzeczywistnienia jedności tej niema, jak uznanie prymatu Papieża. To właśnie powinno stanowić dla Rosji jej najpilniejsze zadanie. Ale choć czuł się katolikiem, nie czuł się Sołowjew katolikiem rzymskim, miał uprzedzenie do ducha Rzymu, zarzucał religijności rzymskiej przewagę racjonalizmu. Pogląd swój na papiestwo, na Papieża, jako głowę Kościoła, na posłannictwo Rosji w sprawie unji Wschodu z Zachodem, wyłożył on na podstawach swego systemu filozoficznego w książce „La Russie et l'Eglise Universelle“. „Żaden dotychczas katolik — mówił o niej St. Tarnowski — nie uzasadniał idei papiestwa z taką wymową i taką siłą“.

Zachwycony książką, zapragnąłem poznać jej autora. Z drżeniem młodzieńca, mającego stanąć przed mistrzem, szedłem po schodach hotelu Europejskiego w Petersburgu, gdzie stale wówczas Sołowiew przebywał. Jakże mile zdziwiony byłem jego serdeczną uprzejmością, a więcej je-

szcze tem, że przeczytał już był w przekładzie rosyjskim, zaciekawiony tytułem oraz recenzją Pypina, moich „Mesjanistów i Słowianofilów“. Od lat najmłodszych pochłaniały mój umysł zagadnienia religijne i w rozmaitych epokach rozmaite dręczyły mię wątpliwości. Zadziwi to może czytelnika, że większe, niż do naszych teologów, czułem zaufanie do Sołowiewa i zapytałem go w ciągu rozmowy, co mam czytać, aby głębiej wejść w istotę katolicyzmu i głębiej się w nim utwierdzić. Wskazał na symbolikę Möhlera. Poszedłem za jego radą, nie znalazłem jednak u znakomitego teologa niemieckiego tego, czego szukałem; więcej pokarmu i podniety duchowej dawały mi pisma samego Sołowiewa. Wielki ten myśliciel był wielkim poetą w teologji, na wskroś przejętym tak obcą Zachodowi ideą Duszy Świata, która od Boga odpadła i do Boga mozolnie się podnosi, a my wszyscy w niej jedno jesteśmy. Zapatrzony był w wieczysty jej pierwowzór, w mądrość Bożą, **Sofję,** którą, jako istotę żywą wielbił, albowiem **prior omnium creata est sapientia,** pryncypem jest świata, ideą, w której mocą twórczego Słowa począł się świat, jakby niewieścim pierwiastkiem w Bogu, Pięknem w samem w sobie, przedwiecznem odbiciem oblicza Bożego...

Myśl jego niosła ku dalekim, cudownym brzegom wielkich nadziei i wielkich pożądań **(W biereg nadieżdy i w biereg żełanij);** mocno się trzymając ziemi, rzeczy i spraw doczesnych, przeobrażała je, rozświetlając blaskiem niezmiennego Piękna:

Krylją duszi od ziemli ustremlajutsia
No nie pokinut ziemli...

Z licznych jednak przyjaciół, zwolenników, wyznawców, jakich miał Sołowjew, żaden w stosunku swoim do Rzymu nie poszedł za nim aż do końca, t. j. aż do aktu zaparcia się własnej przeszłości dziejowej w imię idei Kościoła Powszechnego, natomiast wszystkich, czy prawie wszystkich, cechują wobec katolicyzmu uczucia życzliwości i uszanowania. Kwestja unji dla nich nie istnieje; nie o połącze-

nie Kościołów im chodzi, ale o połączenie dwóch światów: wschodnio prawosławnego i zachodnio katolickiego. „Kościoły — pisze jeden z nich — łączą się ze sobą we wzajemnem dążeniu ku sobie i przenikaniu się dwóch typów religijnego życia i doświadczenia; więc niech każdy prawosławny, pozostając w prawosławiu, ukocha katolicyzm i uzna to, co w nim jest prawdą — i niech każdy katolik to samo zrobi w stosunku do prawosławia“. — Nie z małodusznego fanatyzmu tych, co nie chcieli w tym samym dniu, co katolicy, modlić się za Rosję, ale z pism uczniów Sołowiewa, a tembardziej z pism samego Sołowiewa, choć niejedno może w nich razić wychowańców Rzymu, idzie prąd ożywczy, któryby dobroczynnie mógł działać na chrześcijaństwo Zachodnie. **Ex oriente lux.** Nie potrafię patrzeć przeto na nich, jako na odszczepieńców, są to **fratres separati,** od których niejednego nieraz nauczyć się możemy. Z tą myślą uczestniczyłem w czasach przedwojennych w kongresach, poświęconych sprawie Unji, które się odbywały w Velehradzie Morawskim. Myśl tę, bawiąc w Rzymie w r. 1904, poruszyłem w rozmowie ze znakomitym benedyktynem, opatem z Silos w Hiszpanji, Dom Guepin, autorem cennej monografji o Józefacie Kuncewiczu. Słuchał uważnie. „Pierwszy raz — powiedział — słyszę coś podobnego z ust Polaka; wszystko, co pan mówi, musi pan napisać i musi to dojść do wiadomości Ojca Świętego przez ręce kardynała sekretarza stanu, do którego wprowadzę pana, a potem będzie pan miał posłuchanie prywatne u Jego Świętobliwości“.

Memorjalik napisałem, u kard. Merry del Val byłem, Papież przyjął mię bardzo łaskawie, audjencja trwała stosunkowo długo (przebieg jej wkrótce potem opowiedziałem *), w końcu wspomniałem o memorjale. „Lo studiero“ — uprzejmie odpowiedział Papież. Ale na tem się skończyło. Nic dziwnego. Czy mógł mieć jakikolwiek skutek memorjał o charakterze teoretyczno-informacyjnym? Żadnych wniosków konkretnych nie stawiałem i trudno je było

*) Por. M. Zdziechowski „Pestis perniciosissima“. Kraków, 1905.

stawiać. Dom Guepin spodziewał się, że w odpowiedzi otrzymam pismo z błogosławieństwem papieskiem dla pracy mojej pisarskiej i publicystycznej. Pismo takie byłoby wskazaniem na przyszłość i jakby zejściem z owej naiwnie zarozumiałej i wyniosłej, choć w gruncie życzliwej protekcyjności wobec Wschodu, którą następującemi słowy moglibyśmy wyrazić: „Wyrzeczcie się waszych błędów, a my was do jedności z nami przyjmiemy i wspaniałomyślnie pozwolimy wam zachować wasz obrządek". Przecie taką była treść encykliki Leona XIII w sprawie Uuji Kościołów. Pomimo tak niepospolicie wybitnej inteligencji swojej, Papież ten naiwnie sobie wyobrażał, że pismo jego będzie początkiem nowej epoki w stosunku prawosławia do Rzymu. Ś. p. arcybiskup Symon opowiadał mi, w jakim był kłopocie, gdy na audjencji począł go Papież wypytywać, co o encyklice mówią w Rosji — w nadziei, że biskup pocieszy go, opowiadając o wstrząsającem wrażeniu, jakiego doświadczyli, czytając ją i jak pod wrażeniem tem zapragnęli zbliżyć się do Kościoła katolickiego hierarchowie Cerkwi rosyjskiej. Biskup nic podobnego nie miał do opowiedzenia; encyklika nie wywarła i wywrzeć nie mogła najmniejszego wrażenia.

W r. 1925 zaproszony przez Sorbonę, wygłosiłem tam kilka wykładów o myśli religijnej rosyjskiej *); uczęszczali na nie niektórzy znakomici tej myśli przedstawiciele, jak ś. p. ks. Grzegorz Trubecki, Berdiajew, Mereżkowski i także kilku francuskich teologów i publicystów katolickich; zaznajomiłem jednych z drugimi, zawiązały się między nimi stosunki bliższe, których wyrazem stały się, po moim wyjeździe, wspólne międzywyznaniowe zebrania dyskusyjne. Ujawniła się na nich, jak mi z obu stron opowiadano, rozmaitość w odcieniach myśli katolickiej, dochodząca niekiedy tak daleko, że niektórzy z pośród najwybitniejszych uczestni-

---

*) Le dualisme dans la pensée religieuse russe", w zbiorowem dziele „L'âme russe" (Bloud et Gay „Cahiers de la Nouvelle journée").

ków katolików czuli się duchem bliżsi Wschodu, niż rygorystycznego neotomizmu, który na zebraniach owych głosił J. Maritain.

Oto garść wspomnień, które nasunęła mi sprawa rewindykacji kościołów. Prowadzą one do wniosku, że osoba metropolity Eulogjusza nie jest jeszcze synonimem prawosławia. Za czasów rosyjskich prawosławie wydawało się nam „carosławiem“, znaliśmy je tylko z tej strony, t. j. jako kult cara, który namiestnikiem jest Boga na ziemi, a wykonawcą woli tego namiestnika jest oberprokurator Synodu, w którego ręku duchowieństwo przeistacza się w bezwolne, ślepe narzędzie narodowego i wyznaniowego fanatyzmu. Ale były w prawosławiu wyższe, szlachetniejsze pierwiastki, z którymi miałem sposobność się zetknąć i których rozwój byłby pożądany dla nas tak ze względów religijnych, jak narodowych i państwowych.

Tych wyższych pierwiastków niepospolicie sympatycznem uosobieniem był dla mnie ś. p. Grzegorz Trubecki. Nie mogłem nie uszanować w nim głębokiego przywiązania do wiary i gorącej pobożności. Teraz, pod wrażeniem jego przedwczesnej śmierci, przeglądam jego korespondencję ze mną i ze wzruszeniem odczytuję niektóre listy. „Idea Kościoła — pisał w jednym z nich z r. 1908 — jest dla mnie żywą tajemnicą, czemś tak wielkiem, że uchyla się z pod wszelkiej próby logicznego jej formułowania. Jest Kościół jeden, powszechny i są Kościoły, jako formy, które idea przybiera. Podobnież promienie słońca rozmaicie się odbijają w rozmaitych środowiskach, przez które przechodzą. Nastąpił rozdział Chrześcijaństwa na Wschodzie i Zachodzie, potem Wschód się rozpadł na Kościoły narodowe. Są to wszystko formy zmaterjalizowane, zastygłe, domagające się nieustannego naprawiania i na tem polega życie w Kościele. Z tego stanowiska należy patrzeć na rozdwojenie w nim, jako na zło relatywne, jako na ogniwo między jed-

nością pierwotną a wyższą syntetyczną jednością, której powinniśmy torować drogę, pracując każdy w obrębie swego Kościoła".

W „Moskiewskim Jeżeniedielniku" umieścił Trubecki, będąc jego redaktorem, szereg artykułów moich o nowoczesnych kierunkach myśli katolickiej. „Są one — pisał do mnie po ich przeczytaniu *) — idealizacją katolicyzmu, to, co potencjalnie w nim jest zawarte, jako zaród, bierzesz pan jako rzeczywistość". „Ale proszę nie myśleć — pisał dalej — że to, co tu mówię, jest krytyką, zarzutem z niej strony; rozumiem bowiem, że potencja nieskończenie jest ważniejszą od aktualności, wszak w nasieniu istotę jego stanowi zaród, który prędzej czy później przebije skorupę. W ten sposób patrząc, musimy uznać idealizację jako przewidzenie tego, co się spełnić ma — i jednego tylko dla siebie tu żądam: pozwól pan mnie, członkowi Kościoła Wschodniego, patrzeć z tego samego stanowiska na mój Kościół, w którym też potencjalnie zawartym jest Kościół Powszechny". „Wschód i Zachód powinny dążyć do jedności i zjednoczenia; to nastąpi, ale musi je poprzedzić żywa świadomość, że mistycznie stanowiliśmy zawsze i teraz stanowimy jedno w sakramencie Eucharystji". „Kościoły — plastycznie się wyrażał w innym liście — są więzieniami dla Chrystusa, zadaniem zaś i obowiązkiem każdego członka Kościoła przetwarzać więzienie w żywy ołtarz".

Ostatni raz dotknął Trubecki kwestji tej w jednym z listów z 1928 roku z powodu przemówienia, które wygłosiłem na jubileuszu prawosławnego arcybiskupa Wileńskiego, O. Teodozjusza: „Serdecznie cenię chrześcijański, braterski stosunek pana do Kościoła naszego. Chociaż wskutek ułomności jednej i drugiej strony przerwała się łączność, wierzę, że pomimo to istnieje nadal jedność ontologiczna, czyli, że w istocie swojej Kościół jest zawsze jeden, albowiem dwóch Kościołów nie może być, a ten jedyny Ko-

*) Słowa autora przytaczam w skróceniu.

ściół obejmuje Wschód i Zachód Łaską Bożą, zawartą w sakramencie Ciała i Krwi. Czy połączenie nastąpi kiedy, jak? — tego my grzeszni wiedzieć nie możemy. Sądzę, że będzie ono nie początkiem, lecz raczej zakończeniem wielkiego podniesienia i wstrząśnienia religijnego na świecie. Ale należy to do sfery marzenia; teraz zaś widzimy i czujemy zbliżanie się powszechnego potopu, grożącego rozkładającej się cywilizacji“... „Gdy pomyślę o mojej nieszczęśliwej ojczyźnie, stają przede mną Sodoma i Gomora; jeśliby się znalazło tam 10-ciu sprawiedliwych, Bóg zmiłowałby się nad obu miastami. Nie 10-ciu, lecz wielu, wielu sprawiedliwych zostało w Rosji, ich modlitwy Rosję zbawią“.

Tak się przedstawia wschodnia koncepcja Kościoła w poglądach jednego z najszlachetniejszych jego przedstawicieli. Sądzę, że nawet ten, kto ją odrzuci, nie będzie mógł nie uznać jej wzniosłości. I nie jest ona odosobnionym poglądem Grzegorza Trubeckiego, ma swoją głęboką podstawę duchową w tej kontemplacji, którą z pojęciem Wschodu łączymy i która w swem zapatrzeniu się w rzeczy wieczne unika ścisłych określeń tego, co myśl ludzką przekracza i mową wyrazić się nie daje. W koncepcji tej widzimy jedyną, choć daleką i powolną drogę, którą Wschód mógłby w poczuciu braterstwa zbliżyć się do Zachodu. Zwycięstwo jej leżałoby w interesie Kościoła katolickiego i zwycięstwu temu powinnoby państwo dopomódz, otaczając Kościół wchodni opieką swoją, zwłaszcza w zakresie wychowania kleru.

Niestety, na przeszkodzie stanęła teraz sprawa rewindykacji kościołów. Oczywiście, podjętą była w najlepszej intencji pod naciskiem sumienia, nakazującego żądać zwrotu tego, co przez nieprzyjaciela zabranem zostało. Żądanie to jest teoretycznie słuszne, ale czy słusznem jest w każdym poszczególnym wypadku? Tylko sąd może to rozstrzygnąć, a rozstrzygać będzie z punktu widzenia prawa pisanego, czyli bez uwzględnienia potrzeb życiowych.

Tymczasem sama liczba świątyń, których zwrotu za-

żądano i których lwia część, czyli przeszło 650, przypada na djecezje Pińską i Łucką (na Wileńską 90), spowodowała łatwo zrozumiałe przerażenie wśród ludności prawosławnej. Zastanówmy się nad skutkami tego, które już są widoczne i które jeszcze nastąpią. Za przerażeniem i powszechnem rozgoryczeniem niechybnie pójść musi mobilizacja do walki z katolicyzmem wszystkich sił w prawosławiu, bez względu na różnice polityczne, społeczne i narodowościowe, dzielące jego wyznawców na nieprzyjazne sobie obozy; dalej ułatwi to elementom wywrotowym, bolszewickim w państwie i poza granicami państwa antypaństwową i antypolską agitację i, choćby państwo stłumiło objawy niezadowolenia i oporu, zostawi to po sobie posmak nienawiści, który utrudniać będzie współżycie katolików i prawosławnych, a uniemożliwi wszelką pracę nad unją. Z tego stanowiska biorąc sprawę, silnie wyraził się metropolita Szeptycki, że nie wolno nawet pozorem jakimś dać odczuć ludowi, że „zada mu się gwałt, że mu odbiorą te wiejskie cerkwie, w których on się chrzcił i modlił i koło nich chował swoich umarłych. Wszak w ich murach skupia się to, co w ludzie jest najsilniejsze, a częstokroć najzbawienniejsze wobec rozszalałych agitacji, owa wiara ojców“ *).

W zrozumieniu niebezpieczeństwa X. biskup Łoziński ogłosił w dn. 3 grudnia 1929 r. „List do prawosławnej ludności djecezji Pińskiej“, w którym ludność tę uspokoić usiłuje, wyrażając przekonanie, że do rozwiązania sprawy ku zobopólnemu zadowoleniu „wystarczyłoby spokojne rozważanie okoliczności i przyjazna rozmowa“. Niestety, do tego nie doszło i biskupi musieli przeto wytoczyć powództwo, lecz nie w tym celu, aby coś cudzego pochwycić, albo zatrzymać, ale w celu wyjaśnienia i wykonania sprawiedliwości“. Mogą być bowiem wypadki wątpliwe, które tylko sąd rozważyć może i wydać orzeczenie. W razie zaś korzystne-

---

*) W wywiadzie ze współpracownikiem „Dnia Polskiego“.

go dla strony katolickiej orzeczenia, „nie należy wygrania sprawy utożsamiać z egzekwowaniem wyroku sądowego“.. „Nie pozwolimy sobie nikogo krzywdzić, nawet chcemy z praw swoich zrezygnować, aby, gdzie się da, uniknąć niepotrzebnego zażalenia lub zasmucenia was“.

List ten chcielibyśmy uważać za punkt zwrotny we wzajemnych stosunkach obu stron, za próbę jakby przeistoczenia sprawy w „demonstrację prawniczą“ *) i postawienia jej na drodze „spokojnego rozważania i przyjaznej rozmowy“.

Prof. Dr. Marjan Zdziechowski

---

*) Wyrażenie X. Metrop. Szeptyckiego.

ZAWODOWA ORGANIZACJA SPOŁECZEŃSTWA

I JEJ WPŁYW NA KSZTAŁTOWANIE SIĘ PAŃSTWOWEGO USTROJU*).

Wśród zmagań wewnętrzno-politycznych naszego społeczeństwa, oraz usiłowań naprawy ustroju i stosunków społeczno-gospodarczych, które to oba kierunki stanowią niemal tradycyjną cechę i podstawę życia publicznego w Polsce, niewielu zapewne dostrzega, że znajdujemy się na początku wielkiego, żywiołowego, prawdziwie organicznego procesu, mogącego zrodzić stopniowo nową epokę w ewolucji dziejów.

Proces ten jest nietylko lokalnie polskim, ale dokonywa się w całym świecie cywilizowanym, zwłaszcza w sposób szczególnie widoczny w całym szeregu państw Europy zachodniej. Skonstatowanie tego zjawiska i wyciągnięcie z niego odpowiednich wniosków jest — zdaniem naszem — sprawą wielkiej wagi dla ustalenia pewnych ogólnych wytycznych zarówno pracy i kierunku myśli zachowawczej, jak i naszego programu państwowego wogóle.

Wielka trudność w traktowaniu tego przedmiotu leży jednak w tem, że wspomniany proces światowy jest dopiero w zaczątku od niedługiego szeregu lat i przejawia się rozmaicie w różnych państwach — to jako t. zw. kryzys parlamentaryzmu, to w postaci reform lub przynajmniej tendencji do reform ustrojowych, czy gospodarczych, to wreszcie w postaci zmian programowych czy taktycznych różnych stronnictw politycznych w różnych państwach. Brak

---

*) Przemówienie, wygłoszone na dyskusyjnem zebraniu gospodarczo-zachowawczem 6 marca r. b. w Warszawie. Myśli, w niem zawarte, zyskały w dyskusji aprobatę szeregu wybitnych przedstawicieli życia gospodarczego.

jednak jeszcze dostatecznej ilości konkretnych faktów dokonanych, któreby upoważniły do postawienia definitywnej djagnozy. Materjał, który stoi narazie do dyspozycji, dozwala tylko na wysunięcie pewnych najogólniejszych wniosków i horoskopów. Przyćmiewa je nazbyt jeszcze partyjno-polityczna struktura społeczeństw oraz ideologja walki klasowej, rozpowszechniona daleko poza ścisły obręb wyznawców socjalistycznej doktryny, bo wysoko aż w najzamożniejsze i najkulturalniejsze warstwy społeczne, tu coprawda najczęściej tylko podświadomie.

Sekundują procesowi temu literatura i prasa, ale—ogółem biorąc — także tylko dorywczo, nieraz z niezupełną jeszcze świadomością rzeczy.

Dlatego to dokładne sprecyzowanie istoty, rozmiarów i trwałości tego procesu, a nawet jego ostatecznego kierunku, nie jest dzisiaj jeszcze możliwem. Trzeba jeszcze doświadczeń przynajmniej szeregu lat najbliższych, aby coś stanowczego módz wypowiedzieć. Narazie mamy przed sobą tylko pewne luźne zjawiska, tendencje i kontury.

Niemniej jednak stwierdzić można już dzisiaj pewne ogólne wrażenie, jak gdyby przeciętna opinji i zmagań polityczno - społecznych i gospodarczych w państwach cywilizowanych, idąca do niedawna pod dyrektywą bezbrzeżnego, rozhukanego, doktrynerskiemi hasłami dyktowanego radykalizmu, zwracała się coraz wyraźniej na prawo — w kierunku pewnego umiarkowania, zdrowego rozsądku, a nawet poczucia potrzeby pewnych wyższych idei, przez bezkrytyczny radykalizm, dotąd z życia publicznego proskrybowanych. Objawia się to z jednej strony niewątpliwym, niemal żywiołowym nawrotem do religji, jaki w różnych państwach europejskich obserwować możemy od lat kilku, po dłuższem panowaniu w tych krajach racjonalizmu, materjalizmu, a nawet wprost haseł walki z religją. Różne działają tu bezpośrednie pobudki, jedne natury moralno-wychowawczej, drugie czysto praktycznej — niemniej jednak stanowią one, razem wzięte, wymowny dowód zapoczątko-

wanego bankructwa polityczno - społecznego radykalizmu. Z drugiej strony objawia się ten prąd wyraźną tendencją reformistyczną na polu ustrojowem i gospodarczem w całym szeregu państw, wszędzie w kierunku zahamowania demagogicznego rozpędu i złagodzenia jego skutków. Reformuje się, lub przynajmniej agituje się za reformą ustroju politycznego, społecznego i gospodarczego w kierunku nieraz tak dalece umiarkowanym, jaki, zdawałoby się, nie był nawet do pomyślenia w poszczególnych państwach jeszcze kilka lat temu. Rozpęd rewolucyjny demokracji, która w wojnie światowej obaliła trony, a w znacznym stopniu też dawny porządek rzeczy wogóle, słabnie ogromnie w ostatnich latach, a na jego miejsce wstępują jakgdyby otrzeźwienie i odradykalizowanie pojęć oraz odpowiednie, stopniowe korektury ustawodawcze.

Pierwsze wystąpiły z tem Włochy, stosując nawet i rozbudowując szeroko specjalny ustrój polityczno-społecznego i gospodarczego przymusu dla zwalczenia groźnych objawów skrajnego, wywrotowego radykalizmu, jakie ukazały się tam po wojnie. W Austrji, gdzie socjalizm zrobił w ostatniem dziesięcioleciu wielkie postępy, przeforsowano niedawno reakcyjną stosunkowo reformę ustroju, której nie byli w stanie oprzeć się socjaliści. W Serbji dyktatura królewska podjęła śmiałym zamachem wprowadzenie porządku i racjonalizacji ustroju. Francję zmusiły groźne stosunki finansowe, depopulacja i pewne rachuby polityczne i kulturalne do znacznego okiełznania wszechwładnego dawnej radykalizmu, czemu poddawać się muszą tam obecnie nawet skrajne stronnictwa. Podobnie w Anglji, gdzie uderza w oczy różnica między emocjonalnym radykalizmem poprzednich rządów Labour Party a umiarkowaniem obecnych. Oświadczenie Mac Donalda, że jest wprawdzie socjalistą w pewnem znaczeniu, ale odrzuca przestarzały kram marxowskiej doktryny, jest wielce typowem dla ilustracji zmiany nastrojów. W Niemczech socjalistyczny kanclerz państwa wnosi do parlamentu projekt reformy podatkowej w kierunku obniże-

nia pewnych świadczeń bezpośrednich a podwyższenia niektórych podatków konsumpcyjnych, co jest chyba djametralnie sprzecznem z dotychczasową ideologją i taktyką socjalizmu.

Niektóre inne państwa przechodzą nawet do systemu redukcji podatków bez odpowiedniej rekompensaty dochodów skarbu, a zatem do redukcji swych budżetów, ograniczając zakres zbyt rozwiniętego po wojnie etatyzmu. Popiera ten kierunek coraz potężniej opinja publiczna. Coraz głośniej rozlega się hasło podniesienia gospodarki prywatnej i jej rentowności, co wywołuje również odpowiednią zmianę pojęć w dziedzinie społecznej i przytłumienie hasła walki klasowej..

A wreszcie, w ostatnim czasie, cały świat cywilizowany występuje z coraz większą decyzją i energją do walki z bolszewizmem, w czem nawet umiarkowane odłamy zachodniego socjalizmu nie ostatnią grają rolę. Odnosi się wrażenie, jak gdyby doktryna Marxa, a z nią skrajny radykalizm wogóle, zaczęły przechodzić do przeszłości. Zbiedzone i ciężko doświadczone demagogicznym eksperymentalizmem społeczeństwa zwracają się odruchowo ku trzeźwiejszym, objektywniejszym postulatom realizmu politycznego i gospodarczego.

Na tle tych faktów zarysowują się jakgdyby kontury nowej epoki w rozwoju cywilizacyjnym. Wydaje się, jakgdyby stukilkudziesięcioletni okres panowania demokracji miał się zwolna ku końcowi i dołożywszy pewne produktywne swe walory do ewolucji polityczno - społecznej i kulturalnej, a jałowiejąc i więdnąc w innych kierunkach, raczej emocjonalnych czy destruktywnych, przechodził zwolna w okres nowy, co do charakteru swego nie całkiem jeszcze ustalony, ale noszący już pewne wybitne cechy trzeźwego, rzec można: oświeconego, objektywizmu w kierunku politycznym i gospodarczym. Zależnie od lokalnych warunków, występują w jednych państwach najpierw objawy objektywizmu politycznego, ułatwiając odpowiednie reformy go-

spodarcze, w innych przeciwnie, promotorem jest objektywizm gospodarczy, przygotowując grunt dla reform politycznych.

W Polsce nie brak również wybitnych oznak tego wielkiego przełomu, czerpiącego swe źródło zarówno z dotkliwej nauki chronicznego kryzysu gospodarczego, wywołanego i podtrzymywanego przedewszystkiem radykalnym ustrojem i nastrojem społeczno-gospodarczym, jak i z niemniej dotkliwej nauki radykalizmu i eksperymentalizmu politycznego. I chociaż nie przeprowadzono dotąd jeszcze niestety żadnych zdecydowanych reform w obu tych dziedzinach, to jednak — pomijając taktykę różnch klik partyjnych — przeciętna opinja szerokich sfer społeczeństwa dojrzewa coraz bardziej do przeświadczenia konieczności nawrotu na prawo, w kierunku objektywniejszego traktowania spraw publicznych i wprowadzenia odpowiednich reform ustrojowych, a przedewszystkiem gospodarczych. Pod naciskiem tej opinji i tej konieczności podejmują rządy obecne, chociaż reformę konstytucji postawiły na czele swego programu, przedewszystkiem jednak poprawki w ustroju i życiu gospodarczem, dotąd wprawdzie tylko dorywcze i drobne, niemniej jednak coraz częstsze i dyktowane coraz bardziej duchem nawrotu na prawo, zgodnie z prądem ogólnoświatowym.

Ale daleko wyraźniej jeszcze objawia się ów zwrot w samem społeczeństwie polskiem automatycznie na innej platformie.

Oto do niedawna jeszcze ustrój i nastrój naszego społeczeństwa zróżniczkowane i zorganizowane były wyłącznie na podstawie partyjno - politycznej. Programy i zmagania polityczne stanowiły główne tło naszego psychicznego nastawienia w życiu publicznem. Współdziałał w tem także moment walki klasowej, szeregujący różne sfery społeczeństwa według stopnia zamożności i kultury na warstwy poziome, to jest uszykowane jedna nad drugą, od najniższej do

najwyższej i pozostające między sobą w stanie ustawicznej walki i to walki, według radykalnego programu, bezpardonowej, eksterminacyjnej. A cała ta kampanja, całe to zróżniczkowanie polegało w istocie swej na ścieraniu się przeciwieństw ideowych, doktrynerskich, jakkolwiek na różnych postulatach materjalnej natury opartych. A wiadomo, że takie czysto ideowe walki toczyć się mogą bez nadziei końca i pozytywnego rezultatu. Argumentacja ideowo - programowa nie zawiera często w sobie dość siły, aby przeciwnika przekonać.

Ten stan rzeczy trwa dotąd jeszcze i platforma zmagań ideowo-politycznych oraz ideowo-społecznych jest w dalszym ciągu jeszcze najbardziej miarodajną dla kształtowania się stosunków w każdem państwie. Ale zwolna zaczyna tworzyć się u nas inna platforma myśli, pracy i organizacji społecznej. Pod naporem trwałego kryzysu gospodarczego, który — ogółem biorąc — coraz bardziej się rozszerza i pogłębia i silniejszym okazuje się od wszelkich środków, stosowanych dla jego zwalczenia na arenie zmagań ideowo-politycznych, kierowanych radykalizmem społecznym, zaczyna społeczeństwo polskie przegrupowywać się stopniowo na platformie postulatów gospodarczych i zawodowych wogóle. A w miarę rozwoju tego procesu, wspomaganego wprawdzie, zwłaszcza w ostatnich czasach, różnemi pociągnięciami czynników rządzących w państwie, ale w gruncie rzeczy odruchowego, żywiołowego, słabnąć i blednąć zaczynają w szerokich sferach społeczeństwa dotychczasowe jaskrawe różnice polityczne i hasła bezwzględnego radykalizmu. Rodzi się pewien odświeżający powiew i otrzeźwienie, pod którego wpływem ludzie zaczynają realniej myśleć o swoich sprawach, bolączkach, postulatach oraz konkretnych możliwościach i sposobach ich zaspokojenia. A stąd rodzi się także zdrowsza, realniejsza myśl państwowa.

Wyrazem tego grupowania się i organizowania na platformie zawodowej jest w pierwszym rzędzie rozrastający się i doskonalający aparat związków zawodowych, go-

spodarczych i kooperatywnych, który obejmować zaczyna swą siecią całe już niemal społeczeństwo; dalej rozbudowa instytucji samorządu gospodarczego, a więc izb przemysłowo-handlowych, rolniczych, rzemieślniczych i pracy, do czego dołączyć należy izby adwokackie, notarjalne, lekarskie oraz inne instytucje zawodowe o charakterze oficjalnym lub półoficjalnym. Dalej, jednym z najbardziej charakterystycznych objawów tego prądu jest zrealizowana, a przynajmniej formalnie zapoczątkowana w ubiegłym roku unifikacja organizacyj rolniczych. Wreszcie wymienić należy ogólny prąd, wzmagający się w społeczeństwie, a zwłaszcza w wymienionych organizacjach zawodowych, w kierunku zastąpienia ducha partyjnego trzeźwą ideologją zawodową, aczkolwiek prąd ten starają się zwalczać namiętnie i tłumić wszechwładne do niedawna stronnictwa polityczne.

Jakkolwiek nie może ulegać wątpliwości, że idee i doktryny polityczne długo jeszcze, a w pewnym stopniu z pewnością zawsze wpływać będą na umysły i temperamenty, a zatem i na kształtowanie się życia publicznego i ustroju w państwie, to jednak organizowanie się społeczeństwa na platformie gospodarczo - zawodowej stanowić musi bezspornie bardzo doniosły przełom w dotychczasowej ewolucji stosunków.

Przedewszystkiem bowiem na tej arenie ścierać się będą ze sobą już nie wyłącznie programy i doktryny ideowe, jak to się dzieje w obecnym parlamentaryźmie demokratycznym, ale przedewszystkiem interesy zawodowe. O ile zaś walki programowo - ideowe bywają najczęściej beznadziejne, o tyle starcia na platformie interesów zawodowych, choćby najzaciętsze, doprowadzać jednak muszą w końcu obie strony do jakiegoś trwałego kompromisu, dyktowanego poprostu fizyczną koniecznością oraz żywotnym interesem ścierających się antagonistów, a w konsekwencji i państwa. Zostaje więc wniesiony tym sposobem do zmagań partyjnych czy socjalnych pewien zdrowszy pierwiastek realiz-

mu i objektywizmu w traktowaniu wszelakich zagadnień, którego brak było dotąd niemal zupełnie w starciach jednostronnych przekonań czysto politycznych lub klasowych.

Nadto proces ten przegrupowania społeczeństwa na platformę zawodową zmienić musi stopniowo dotychczasowy układ i kierunek zmagań społecznych oraz całą strukturę społeczeństwa. Na miejsce bowiem poziomego podziału na walczące z sobą warstwy społeczne, zmierzającego świadomie lub w dynamicznej konsekwencji do niszczenia jednych warstw przez drugie, wstępuje „pionowy" podział na sfery zawodowe, z których każda grupować będzie w sobie na podstawie pewnych solidarnych interesów wszystkie większe i mniejsze warsztaty pracy z danej branży zawodowej. Pierwszym tego przykładem jest w Polsce wyżej wspomniana akcja unifikacyjna w zawodzie rolniczym. Oczywiście, że pewne, mniej lub więcej wybitne różnice klasowe w każdym danym zawodzie długo jeszcze, a może i zawsze, odgrywać będą jakąś rolę, ale niewątpliwie bez porównania mniejszą od dzisiejszej, planowo-destrukcyjnej walki klasowej.

W ten sposób zaczyna wytwarzać się w społeczeństwie naszem zwolna, ale wyraźnie, coś w rodzaju frontu zawodowego, coprawda dotąd zaledwie w poszczególnych odcinkach i konturach, zwróconego w naturalnej konsekwencji przeciw skrajnemu radykalizmowi, doktrynie Marxa i wogóle ideom społecznego wywrotu. Równocześnie wytwarza się przez to korzystniejszy grunt dla rozumniejszego, trzeźwiejszego traktowania wszelakich spraw państwowych i dla przeprowadzenia różnych pożytecznych reform, zarówno gospodarczych, jak i politycznych. **Twierdzimy bowiem stanowczo,że przy obecnym układzie sił, w obecnej strukturze i naogół radykalno - politycznym nastroju szerokich mas społeczeństwa, którego wyrazem jest dotychczasowa konstytucja i inne działy ustawodawstwa, zwłaszcza gospodarczego i socjalnego, żadna głębiej sięgająca, prawdziwie użyteczna reforma skutecznie przeprowadzić się nie da, jak nie**

da się zbudować mocny dom na trzęsawisku. Najlepszego dowodu dostarcza w tym względzie progresywny kryzys gospodarczy, wobec którego wszelkie stosowane dotąd środki zaradcze okazały się mniejwięcej bezsilne, właśnie wskutek obowiązującego, radykalnie nastrojonego ustawodawstwa oraz innych hamulców rzeczowych czy psychicznych, stworzonych hasłami i doktrynami walki klasowej — w szerokiem tego słowa znaczeniu.

Dlatego też ów żywiołowy, nawskroś zdrowy prąd organizowania się polskiego społeczeństwa na platformie zawodowej, zgodny zresztą z najnowszą ogólno - światową ewolucją, zasługuje na baczną uwagę i jaknajenergiczniejsze, pełne zrozumienia poparcie ze strony nietylko rządu, ale w pierwszym rzędzie wszystkich sfer umiarkowanego intelektu, którym proces ten w istocie bardzo idzie na rękę. Zachowawcy i inne umiarkowane sfery w państwie, reprezentujące wyższą kulturę i większy stan posiadania, powinny zrozumieć, że samo już tylko stwierdzenie tego ogólno-światowego nawrotu na prawo, a zwłaszcza tworzenia się frontu gospodarczo-zawodowego w Polsce pod wpływem pewnego instynktownego odruchu szerokich sfer społeczeństwa przeciw dotychczasowej wszechwładzy rozwichrzonej demagogji, jest dla umiarkowanego światopoglądu, dla stanu posiadania, a w konsekwencji i dla obrony różnych wyższych, ideowych pierwiastków faktem niezmiernie korzystnym i doniosłym, który napełnić powinien uzasadnioną otuchą wszystkie trzeźwo myślące żywioły w państwie, że praca ich w kierunku odradykalizowania stosunków i naprawy Rzeczypospolitej nie jest daremną, mimo różnych zewnętrznych pozorów liczebnej przewagi ze strony żywiołów radykalizmu, ciemnoty i wywrotu.

Pod względem reformy ustroju państwowego, a zwłaszcza parlamentarnego, na dalszą metę, wysuwa się z faktu zawodowej organizacji społeczeństwa pewna bardzo doniosła konsekwencja, mianowicie **perspektywa stopniowej przemiany dotychczasowego parlamentaryzmu demokra-**

tycznego na parlamentaryzm o charakterze zawodowym i to nawet bez naruszenia zasadniczej zdobyczy idei demokratycznej, t. j. powszechności głosowania. Jest bowiem oczywistem, że najlepsza nawet reforma naszej konstytucji nie wyda w praktyce pożądanej naprawy stosunków w państwie, jeżeli nie nastąpi również odpowiednia korektywa ordynacji wyborczej. W tym zaś zakresie nie może być mowy, zdaniem naszem, o jakiemkolwiek znaczniejszem ograniczeniu równości i powszechności prawa głosowania, a drobne poprawki — np. przez podniesienie wieku lub nawet zastosowanie pluralności głosów dla pewnych kategorji głosujących — niewiele byłyby w stanie zmienić oblicza i niskiego poziomu obecnego parlamentaryzmu.

Zmienić je natomiast może integralnie przefiltrowanie powszechnego prawa głosowania poprzez front zawodowy, mianowicie w tem znaczeniu, że każdy obywatel, należąc do jakiejś organizacji zawodowej, weźmie udział w wyborze przez nią przedstawicieli do ciał ustawodawczych, przyczem system takich wyborów stanowi oczywiście już odrębne zagadnienie.

Ewolucja stosunków w Polsce, pomijając już inne państwa, zdaje się zmierzać istotnie w tym kierunku, przyczem w pierwszym rzędzie nasuwa się zastosowanie tego systemu do reformy senatu, ale nie uważamy za wykluczone zastosowanie go i do sejmu w jakimś późniejszym terminie, w miarę pogłębienia się i utrwalenia zawodowej organizacji społeczeństwa.

Taka reforma ordynacji wyborczej byłaby pod każdym względem korzystną i to zarówno z umiarkowanego, jak i państwowego punktu widzenia, a nawet leżałaby w interesie szerokich mas ludowych. Nietylko bowiem podniosłaby bez żadnej wątpliwości poziom i konstruktywność pracy ciał ustawodawczych samym już tylko momentem pewnej fachowej selekcji ich składu, ale równocześnie każdy głosujący obywatel mógłby uzyskać bez porównania większy wpływ na posłów, wybieranych przez organizację za-

wodową, do której należy, niż dzisiejszy nieświadomy wyborca, któremu narzuca się możność oddania kartki z numerem na listę nieznanych mu częstokroć ludzi, niczem z wyborcą nie związanych i zupełnie przed nim nie odpowiedzialnych.

Demagogja zadrwiła sobie z woli ludu, narzucając mu sześcioprzymiotnikowym systemem głosowania autokrację pewnych, przed nikim nie odpowiedzialnych klik politycznych. Powyższa zaś reforma byłaby w istocie daleko bardziej odpowiadającą sprawiedliwości demokratycznej, gdyż wzmogłaby zarówno świadomość wyborcy przy oddawaniu głosu, a więc i bezpośredni wpływ jego na losy państwa, jak i odpowiedzialność elektów przed organizacjami zawodowemi, od których otrzymaliby swe mandaty. Nie można przez to twierdzić, że demagogja czy inne ujemne strony powszechności głosowania byłyby całkiem usunięte, to pewna jednak, że zostałyby znacznie ograniczone, a przedewszystkiem ciała ustawodawcze poczułyby się daleko więcej, niż dzisiaj, związane ze społeczeństwem i przed niem odpowiedzialne, co zmniejszyłoby również w znacznym stopniu demagogję i inne ujemne praktyki na samej arenie sejmowej.

To samo dotyczy także samorządów terytorjalnych i gminnych oraz wszelkich innych instytucji reprezentacyjnych o charakterze oficjalnym.

Jedno tylko kapitalne zagadnienie w całej tej dziedzinie pozostawiamy otwarte: czy mianowicie wyżej naszkicowana reforma ordynacji wyborczej ma czekać na dostateczne zorganizowanie się społeczeństwa pod względem zawodowym, być więc niejako ukoronowaniem procesu, zmierzającego w tym kierunku — czy też wyprzedzić ostateczne wydoskonalenie organizacji zawodowej i tem samem jej rozwój zdopingować? Są względy, które przemawiają za pierwszem i za drugiem rozwiązaniem. Pozostawiamy to specjalistom.

Podkreślamy jednak, że kwestja parlamentaryzmu zawodowego i odpowiedniej reformy ordynacji wyborczej jest

tylko jednym z wielu rezultatów, jakie uchwycony przez nas i skreślony w niniejszym zarysie prąd w kierunku objektywizmu politycznego czy gospodarczego oraz frontu zawodowego musi wyłonić z siebie w naturalnej konsekwencji. Jednym z nich będzie niewątpliwie również pewna racjonalizacja systemu świadczeń finansowych obywateli na rzecz państwa, samorządów i innych instytucji oficjalnych. Nadmierny bowiem ciężar powojennych obowiązków, jakie państwa i wymienione instytucje musiały wziąć na siebie lub zagarnęły ze szkodą inicjatywy prywatnej, jest—zdaniem naszem — jedną z głównych przyczyn obecnego długotrwałego kryzysu ekonomicznego na kontynencie Europy. Jakiekolwiek przytoczyćby można w tym względzie usprawiedliwiające argumenty, to w każdym razie jest pewnem, że nadmierny fiskalizm, dyktowany czy to etatyzmem, czy chwilowym rozmachem marxowskiej doktryny, sparaliżował, a w znacznej części wprost zniszczył normalne warunki rozwoju i rentowność gospodarki prywatnej, która jest bądź co bądź podstawą ogólnego dobrobytu i skarbu państwa. Stąd fiskalizm państwowy czy samorządowy, rozwijający się nadmiernie ze szkodą rentowności i kapitalizacji prywatnej w imię emocjonalnych haseł ultrademokratycznych, podcina swe własne korzenie i budując coraz bardziej nad próżnią, musi w końcu znaleźć się w beznadziejnym impasie.

W tym momencie właśnie dzisiaj się już prawie znajdujemy i dlatego to właśnie wszelkie dorywcze, ratunkowe zastrzyki w postaci premji, kredytów i innych paljatywów rządowych, nie są w stanie uzdrowić zbyt już anemicznego organizmu gospodarstwa krajowego, z którego demagogja i fiskalizm nazbyt wyssały soki żywotne. Nawrót i tu musi nastąpić — i już w szeregu państw następuje — w postaci redukcji nietylko zakresu działania i budżetu ciał oficjalnych, ale i podatków. Bo same oszczędności w budżecie państwowym czy samorządowym nie wystarczą, jeżeli nie idzie z niemi w parze odpowiednie obniżenie ciężaru podatkowego. Wypróbowaliśmy już w Polsce wszystkie możliwe sy-

stemy sanacji gospodarczej, od pożyczek wewnętrznych i zewnętrznych aż do premji wywozowych i reglamentacji wszelkiego rodzaju. Żaden z nich nie był w stanie zahamować kryzysu, który z każdym rokiem się pogarsza. Konieczność więc nasuwa teraz inny środek, dotąd przez ideologię etatystyczną potępiany: **ulżenie ciężaru i dozwolenie gospodarstwu prywatnemu swobodniejszego oddechu.** Innego sposobu nie widzimy i wydaje nam się, że nie istnieje.

Prąd objektywizmu gospodarczego zdaje się iść po tej linji. A na tej linji leży nietylko skuteczne zapoczątkowanie odrodzenia gospodarki prywatnej, a w konsekwencji i publicznej, ale również przeciwstawienie się stanowcze i skuteczne wpływom bezkrytycznego radykalizmu i doktryny Marxa, co — w dalszej konsekwencji — dopomoże również do oczyszczenia atmosfery w państwie z jej skutków i nalotów także w wielu innych dziedzinach. Tak więc ów prąd objektywizmu, który, zdaniem naszem, zaznacza jakgdyby początek nowej epoki w pojęciach ogółu oraz w ustroju państw, wywrze niewątpliwie także doniosłe skutki i w dziedzinie moralnej, niszcząc pośrednio rozpęd materjalizmu, racjonalizmu i innych nieodłącznych przejawów doktryn socjalistycznych i radykalnych wogóle.

Otrzeźwieni i wyzwoleni z tych demagogicznych więzów i zorganizowani silnie na objektywnie i realnie ujętych zasadach frontu zawodowego, będziemy dopiero w stanie stworzyć na serjo jakieś racjonalne zarysy programu gospodarczego i państwowego wogóle, których koncepcja, a tem samem i realizacja, okazała się dotąd niemożliwą.

Jan Bobrzyński.

MIĘDZYNARODOWE PRZYCZYNY PRZESILENIA W ROLNICTWIE

W miarę powrotu społeczeństw po strasznych wstrząsach wielkiej wojny do normalnych zajęć oraz równowagi potrzeb i środków, ukazują się znowu w dawnych rozmiarach zagadnienia, pozornie już usnięte względnie załatwione, które jednak w rzeczywistości były tylko jakgdyby przytłoczone ciężarem wypadków aktualnych. Do tych zagadnień należy przedewszystkiem sprawa przystosowania się rolnictwa do ustroju gospodarczego i społecznego, dominującego obecnie na świecie, lecz podległego siłom i potrzebom obcym tradycji rolniczej, a mianowicie siłom i potrzebom kapitalizmu przemysłowego i bankowego.

Charakterystycznym faktem XIX-go wieku pozostaje zanik dominującego znaczenia własności ziemskiej oraz siły atrakcyjnej życia wiejskiego wobec nowych zupełnie sposobności bogacenia się i całkiem nowych, wygodniejszych warunków pracy, do których zapraszał społeczeństwa niewyczerpany skarbiec przemysłu, podtrzymywany przez kredyt. Równocześnie eksploatacja zupełnie nowych obszarów na świecie, gruntownie zmienionym przez kolonizację, powodowała zarzucanie rynków europejskich ogromną ilością produktów importowanych, z którymi współzawodnictwo ze strony dawnych producentów stawało się coraz trudniejszem, może nie co do jakości, lecz w każdym razie co do ceny. W ten sposób rolnictwo zachodnio - europejskie już przez całą drugą połowę ubiegłego stulecia przechodziło przesilenie, mniej lub więcej ostre, zależnie od urodzajów i skuteczności pomocy danych rządów, lecz w każdyın razie przesilenie o trwałych skutkach. Skutkami tymi była wzrastająca emigracja ludności wiejskiej, spadek cen ziemi,

ucieczka oszczędności włościańskich do miast oraz zadłużenie się rolników.

Wielka wojna, daleko okrutniejsza dla żołnierza - rolnika, niż dla każdego innego, zdawała się przynajmniej dać rolnictwu nieprzewidzianą sposobność odrodzenia gospodarczego. Tylu bowiem ludzi zabrakło przy pracach w polu, produkcja, obieg i rozdział środków żywności takim uległy trudnościom, opóźnieniom i nieregularnościom, że można się było obawiać klęski głodowej. Żaden środek państwowy nie mógł przeciwdziałać wzrostowi cen produktów rolniczych, tak niezbędnych dla wyżywiania armji i miast. Jak tylko przyszło zawieszenie broni, wszystkie rządy główną swoją troskę widziały w podniesieniu produkcji rolnej. Do rolników więc przedewszystkiem zwrócone było wezwanie: „Produkujcie, produkujcie ciągle, nigdy nie wyprodukujecie za dużo!“ I znowu deprecjacja pieniądza papierowego, powodując nowy wzrost cen, pozorny, lecz ciągły, zdawała się zapewnić rolnikom możność łatwego zbogacenia. Wykupiono hipoteki; najdrobniejszy skrawek ziemi stał się przedmiotem przetargów; właściciele, którzy dawno stracili wszelką nadzieję opłacalności własnych warsztatów rolnych, sprzedawali je za nader korzystne, zdawałoby się, sumy; inni, którzy dawniej uciekali od rolnictwa, zaczęli obecnie w niem inwestować oszczędzone gdzieindziej kapitały; pewien rodzaj zbytku lub przynajmniej zamiłowanie do wydatków ożywiły wieś.

Obecnie „inflacja“ rolnicza należy do przeszłości. Przesilenie produkcji rolnej wróciło w całej swojej rozciągłości. Jesteśmy obecnie świadkami powszechnego upadku rolnictwa, objawiającego się w różnych odmianach, zależnie od warunków naturalnych i ustrojowych danego kraju.

Główną i najgłębszą przyczyną tego przesilenia jest niewątpliwie nadmiar produkcji rolniczej na świecie. Rolnictwo współczesne, w miarę rozprzestrzeniania się na nowe obszary, oraz zmodernizowania narzędzi i wzrostu wydajności, powoduje nadmiar produkcji, zbyt kosztownej w kra-

jach, będących w najgorszych warunkach pod względem jakości gleby, drożyzny robotnika i zbytu. O ile jednak jakość gleby naogół mało się zmienia, to warunki pracy i eksploatacji podlegają wpływom bardzo zmiennym, a zgoła niezależnym od momentów czysto rolniczych. Kraj o urodzajnej glebie odczuwać będzie kryzys, gdy drożyzna pracy rolnej, wynikająca z współzawodnictwa pracy przemysłowej, uczyni wytwory rolne za drogie w porównaniu z takimiż wytworami kraju mniej żyznego, ale uprawianego tanim kosztem. Tak samo równowaga gospodarki rolnej zostanie nadwyrężona w każdem państwie z chwilą, gdy jego ustrój handlowy, jego warunki kredytowe i protekcja, udzielana przemysłowi, pozwolą temuż przemysłowi na podtrzymanie poziomu cen swych produktów oraz standardu of life robotników, których rolnictwo, pozbawione siły organizacyjnej, kredytu i protekcji, nie może uzyskać.

Z tego wynika, że rolnictwo, za wyjątkiem wyboru ziemi pod taki czy inny zasiew, nie jest panem swojej gospodarki, że podlega ono warunkom społecznym, będącym dlań siłą wyższą. Dlatego też rodzaje i objawy powszechnego przesilenia w rolnictwie ciągle się zmieniają, tak w każdym kraju z osobna, jak i razem w poszczególnych grupach państw.

Rozwój historyczny nadmiaru produkcji rolniczej jest znany. Był on zależnym od olbrzymich postępów kolonizacyjnych zeszłego wieku. Nie dlatego jednak, by produkcja nowych obszarów przekroczyła potrzeby ludności przemysłowej i miejskiej, wzrastających przecież równocześnie. Niema mowy o przekroczeniu właściwych potrzeb spożywcy. Nadmiar wytworzył się jedynie w stosunku do warunków pracy i zbytu dawnych producentów. Wzrost konsumcji nietylko stał się korzyścią wyłączną prawie dla nowych dostawców, dostarczających wytworów tańszych, lecz również, otwierając im powiększający się stale rynek zbytu, stał się dla nich bodźcem do coraz to intensywniejszego produkowania; ponieważ zaś produkując

więcej, produkowali coraz taniej, stawali się coraz uciążliwszymi współzawodnikami dla starych wytwórców.

Walka pomiędzy starymi a nowymi dostawcami stała się przyczyną zupełnej zmiany warunków na światowych rynkach rolniczych. Olbrzymie centra przemysłowe angielskie, północno-francuskie, belgijskie, luxemburskie, niemieckie, szwajcarskie i północno-włoskie, objawiają wzrastające do wprost zastraszających rozmiarów zapotrzebowanie rolniczych produktów żywnościowych. Rolnicy europejscy zachowali w stosunku do tych centrów stanowisko uprzywilejowanych dostawców wszystkich produktów łatwo zniszczalnych, delikatnych i wymagających szybkiego transportu, np. mleka, wytworów mlecznych i świeżego mięsa. Tak samo rolnicy ci dostarczali w dalszym ciągu zboża, cukru i ziemniaków.

Rolnictwo europejskie zachowało więc swoje warunki zbytu tam wszędzie, gdzie oszczędności na czasie i transporcie i mniejsze ryzyko jemu sprzyjały. Tam jednak, gdzie odległość od centrów spożywczych albo też mniejsza żyzność gleby pozbawiały go tych korzyści, rolnik europejski nie był w stanie wytrzymać konkurencji nowych dostawców, jak tylko przy pomocy protekcji celnej. Nowi dostawcy opanowali naogół rynek produktów bardziej wytrzymałych, między innymi całego szeregu produktów pochodzenia zwierzęcego, skór, sierści i t. d.

Wielka wojna, otwierając produktom nowych krajów daleko szersze i rentowniejsze rynki zbytu, w takim stopniu przyczyniła się do zwiększenia tej produkcji, że nadmiar jej musiał im się dać we znaki daleko wcześniej, aniżeli zniszczonej Europie. I rzeczywiście już w 1920 roku nagły spadek cen środków żywności i produktów rolniczych we wszystkich krajach nowego świata, od Ameryki aż do Australji, spowodował przesilenie gospodarcze o wszechświatowych skutkach. W samych tylko Stanach Zjednoczonych trzy miljony rolników opuściło swoje warsztaty pracy.

Obecnie, kiedy europejska produkcja rolna ledwo wróciła do równowagi w państwach zachodnich, pozostając jeszcze w niezwykle trudnych warunkach w porównaniu ze stanem przedwojennym na wschodzie Europy, to produkcja światowa przekracza bardzo wyraźnie produkcję z przed 1914 roku. Zwiększyła się ona o około 10% dla zboża i bydła. Cóż się stanie, gdy Rosja pod względem eksportu powróci chociażby do części swojej dawnej normy? Współzawodnictwo nowych krajów staje się równocześnie groźniejszem, niż kiedykolwiek. Nowa Zelandja np. dostarcza obecnie Anglji trzy razy tyle masła, co przed wojną i to kosztem producentów duńskich i holenderskich. Co się zaś tyczy cukru europejskiego, to znajduje się on wciąż pod śmiertelną groźbą produkcji cukru trzcinowego, która, powiększywszy się o 70% i taniejąc bezustannie, staje się dla europejskiego przemysłu cukrowego i zależnych od niego plantatorów buraków istnym mieczem Damoklesa, godzącym w ich egzystencję. Wszak już na Jawie cena cukru trzcinowego jest więcej niż o połowę mniejszą od ceny cukru buraczanego.

Wyższość nowego świata we współzawodnictwie rolniczem ma wiadome przyczyny. Są niemi nadmiar podaży i taniość pracy tubylców, wyjątkowa żyzność dziewiczych gruntów po ich przetrzebieniu, zupełna swoboda eksploatacji, zastosowanie najnowszych środków technicznych od początku, dobre warunki klimatyczne dla wielkiej produkcji, wreszcie brak tak uciążliwych w Europie ciężarów socjalnych i fiskalnych, bezpośrednich lub pośrednich.

Największym przywilejem świata kolonjalnego jest niewątpliwie jego robotnik. Przesilenie obecne w rolnictwie amerykańskiem wykazuje naocznie, że rolnik, posiadający wszystkie korzyści nowych krajów, może zbankrutować, jeżeli nie znajdzie dostatecznej podaży taniej pracy i jeżeli nie będzie mógł wytrzymać konkurencji płac przemysłowych. Dlatego też Ameryka ze wszystkich „nowych krajów“ najbardziej się zbliża do europejskich warunków pra-

cy, a nawet już je „wyprzedza“, gdyż rolnicy tamtejsi zmuszeni są do zatrudniania w charakterze robotników wszelakiego rodzaju wyrzutków miast, kalek, starców i innych upośledzonych.

Zależność pracy na roli od rozwoju przemysłu nie jest jednak tak prostą, jakby się zdawało. W Europie zachodniej np. okolice rolnicze o najliczniejszej emigracji znajdują się przeważnie nie w sąsiedztwie centrów przemysłowych, lecz właśnie dalej od nich. Przecież właśnie Szkocja i Irlandja, środek i południe Francji, doliny Alp i Apeninów, wreszcie Polska, najwięcej dostarczają wychodźców. Natomiast dookoła wielkich ośrodków przemysłowych ludność rolnicza zostaje naogół na miejscu i wydaje się być zadowoloną z warunków pracy. Oczywiście założenie nowej fabryki, czy też tembardziej całej gałęzi przemysłu, w kraju czysto rolniczym musi w nim powodować odpływ ludności miejscowej ku miejscu przemysłowej podaży pracy, tam jednak, gdzie ziemia jest żyzna, równowaga wraca szybko i staje się stałą. We Francji np. na najstarszych obszarach uprzemysłowionych, na północy. ludność rolna się nie zmniejsza. Uprzemysłowienie Lotaryngji wyludniło dość znacznie te części, w których rodzaj gleby nie sprzyjał zamiłowaniu do pracy na niej, zwłaszcza wobec zbyt wielkiego jej rozdrobnienia, natomiast wzbogaciło ogromnie wsie na równinach i dolinach. Tak samo w Stanach Zjednoczonych brak robotników rolnych zaznacza się daleko silniej na obszarach czysto rolniczych, aniżeli w okolicach ośrodków miejskich lub przemysłowych. Tłumaczy się to tem, że w tych właśnie okolicach rolnik posiada ogromne korzyści w porównaniu ze swoimi współzawodnikami dalszymi, zwłaszcza pod względem dostarczania środków żywności łatwo zniszczalnych, które to korzyści pozwalają mu na gorsze od przemysłu opłacanie robotnika, dając mu wzamian przyjemniejsze i zdrowsze warunki życia.

W państwach cywilizowanych istnieje tem większa współzależność pomiędzy zagadnieniem pracy na roli a za-

gadnieniem gospodarczem dochodowości w rolnictwie. Jeżeli warunki pozwalają na ciągłą równowagę pomiędzy cenami produktów przemysłowych i rolniczych, rolnik, mając zapewnioną rentowność swojego warsztatu, nie będzie odczuwał braku robotnika. Gdy jednak odległość, dzieląca warsztat produkcji rolnej od ośrodka konsumcji, jest znaczną, rolnik, zmuszony do produkcji raczej produktów mało zniszczalnych dla wytrzymania konkurencji z rolnikiem, sąsiadującym z rzeczonym ośrodkiem, znajdzie się wobec druzgocącego współzawodnictwa nowych krajów zamorskich i nie będzie w stanie należycie opłacać potrzebnej mu robocizny.

Gorzej jeszcze: brak rąk roboczych, odczuwany w okolicach rolniczych, odległych od wielkich ośrodków spożycia, powoduje tam ewolucję rolnictwa w kierunku jednostajnego wytwarzania produktów, łatwiejszych do wyprodukowania, które przez swój nadmiar powiększają jeszcze trudności konkurencyjne. W ten sposób brak sił roboczych dziwnym sposobem powodować może rodzaj nadprodukcji wskutek uniemożliwienia różnorodności wytwórczości rolnej. Taką jest przyczyna obecnej nadprodukcji bydła i zwierząt wogóle, spowodowana zbyt obszerną zamianą ziem ornych na zwykłe pastwiska. Tak samo w Ameryce zamiana rąk roboczych na maszyny powoduje ujednostajnienie produkcji zbożowej na coraz to większych obszarach. Tak np. nadmierna „standaryzacja" produkcji roślinnej w Kalifornji doprowadziła do nadmiaru produktów jednej kategorji i obniżenia ich cen. Ceny zaś produktów zwierzęcych i produktów rolnych znajdują się również w rażącej dysproporcji, zwłaszcza w warunkach spasania tych ostatnich. Ostatnio „Reichswirtschaftsrat" wypowiedział się kategorycznie przeciwko dalszej polityce protekcji agrarnej w Niemczech, jako niszczącej hodowlę.

Mamy tu do czynienia z nowem zjawiskiem — zależności rolnictwa od rynków zbytu. Podczas gdy rolnictwo w krajach upośledzonych wraca do pierwotnych rodzajów

produkcji, albo też, szukając zbawienia w mechanizacji, dochodzi do masowej produkcji jednolitej, spożywca naodwrót staje się coraz bardziej wymagającym tak dla jakości, jak i dla różnorodności swojej konsumcji. W pracy miast ubytek sił nerwowych zastępuje coraz bardziej ubytek sił muskularnych. Dlatego mamy tam do czynienia z coraz większem zastępowaniem żywności masywnej lekką strawą. W rezultacie ciężka produkcja rolna traci na swoim rynku zbytu, zmniejszając równocześnie dochód producenta i powiększając dochód pośrednika względnie „transformatora", dostosowującego towar do gustu publiczności. Nożyce między ceną produktu surowego u źródła a w detalu rozszerzają się też w sposób groźny dla całego życia gospodarczego. Dlatego też zapewniony los handlu i przemysłu żywnościowego znajduje się w takiej sprzeczności z niepewnym losem rolnika.

Brak rąk roboczych nie oznacza dla rolnictwa tylko straty na jakości i ilości urodzajów, lub też przesadnych kosztach produkcji; powiększa on także koszta innych rodzajów produkcji, zmuszając rolnika do kupna większej ilości maszyn i nawozów sztucznych i do uzależnienia się w ten sposób jak najściślej od cen przemysłowych; z czasem może on nawet powodować brak zużytkowania ziemi i niszczenie tem samem kapitału, przez tę ziemię reprezentowanego.

Dochodzimy w ten sposób do strony finansowej przesilenia w rolnictwie. Wszak według jednego z najgłówniejszych kanonów gospodarczych, wysokość dochodu z kapitału wzrasta w miarę dokonywania szybszych obrotów i przyśpieszania zwrotu kapitału zakładowego. Wszelki więc kapitał zakładowy, zwracany czterokrotnie w ciągu roku, a więc przy czterech konjunkturach produkcji i sprzedaży, przynosić musi dużo więcej, aniżeli taki sam kapitał, unieruchomiony na cały rok, korzystający z jednej tylko konjunktury. Obrót rolniczy, prawie zawsze tylko roczny, lub nawet jeszcze dłuższy, już przez to samo w znacznie gorszych znajduje się warunkach od obrotów handlowego

i przemysłowego. Gorsza rentowność kapitału, inwestowanego w rolnictwie, sama przez się powoduje gorsze warunki kredytowe.

Pomijając bezpośrednich dostawców miast, mających mniej lub więcej stałe obroty przez stałą klijentelę, stwierdzić można w rolnictwie wszystkich prawie państw Europy ciągły i dotkliwy brak gotówki. Rolnicy są zadłużeni i pozbawieni kapitału obrotowego. Szalona drożyzna pieniądza i brak w wielu krajach długoterminowego kredytu czynią noımalne zadłnużenie rolnika, do którego przed wojną wszyscy się przyzwyczaili, ciężarem częstokroć ponad jego siły. Trudności te dają się we znaki głównie większym warsztatom rolnym, podważając ich byt, podczas gdy drobni rolnicy łatwiej mogą dać sobie radę, mając z natury rzeczy mniejsze potrzeby i ciężary. Dlatego też Francja, kraj o przewadze właśnie drobnych rolników, stosunkowo najmniej odczuwa to przesilenie. Natomiast panuje ono w całej pełni w Stanach Zjednoczonych, w Anglji, w Niemczech i w Polsce.

Przesilenie w rolnictwie, spowodowane, jak stwierdziliśmy, głównie nadprodukcją w krajach nowych i drożyzną pracy w krajach starszych, doprowadziło do dzisiejszego stanu powszechnego braku gotówki wśród rolników.

Rolnik, pozbawiony siły roboczej, zmuszony jest do zastępowania jej mechanizacją i naukowym systemem pracy. Maszyny kupować musi na krótkoterminowe raty, nie posiadając możliwości kredytowych, dostępnych w handlu. Maszyny i nawozy sztuczne kupowane są po wysokich cenach produktów przemysłowych. Zwiększona w ten sposób dochodowość warsztatów rolnych nie przekracza jednak naogół znacznie dawniejszych kosztów pracy ludzkiej, nie daje więc rolnikowi sum, potrzebnych mu na szybkie spłacanie dostawców. Rentowność warsztatów rolnych pozostaje pod znakiem zapytania. W dodatku produkcja rolną, w przeciwieństwie do pracy przemysłowej, podlega nieobliczalnym warunkom pogody, zbyt zaś pro-

duktów odbywa się w okolicznościach niesprzyjających, częstokroć z powodu konieczności dla rolnika wyprzedaży za bezcen w celu umożliwienia mu unikania skutków niewypłacalności w stosunku do własnych dostawców i wierzycieli oraz do urzędu skarbowego.

Ulżenie tym ciężkim warunkom możliwem jest stosunkowo najłatwiej drogą oszczędności na kosztach robocizny. Dlatego też widzimy tam wszędzie, gdzie to jest możliwe, tendencję do importowania z innych krajów, chociażby z za morza, tańszego robotnika, albo też do zastępowania go maszyną.

Ażeby jednak zasadniczo poprawić warunki produkcji w rolnictwie, należałoby umożliwić rolnikom uzyskanie cen za wytwory rolne, znajdujących się na poziomie cen wytworów przemysłowych, drogą przystosowania zupełnego jakości i ilości wytworów rolnych do potrzeb rynkowych oraz drogą organizacji analogicznej kredytu ziemskiego. O ile jednak rolnictwo może się starać o udoskonalenie jakości swoich wytworów, nie może ono bezwzględnie zabezpieczyć tej jakości, jako zależnej od warunków gleby i pogody; tem mniej może uregulować ilościowe wyniki żniw, zmiennych rok rocznie. Poza tem rolnictwo jest zasadniczo zawodem indywidualnym, niechętnym do poddawania się organizacji kollektywistycznej; większość rolników niewątpliwie ceni w swoim zawodzie przedewszystkiem rękojmię niezależności osobistej lub rodzinnej. Z chwilą ustania tej niezależności, robotnik rolny zawsze będzie wolał zarabiać w przemyśle, chyba, że uzyska w rolnictwie lepsze pod względem pieniężnym warunki pracy.

Oto w streszczeniu główne przyczyny ogólno-światowego przesilenia, jakie przechodzi obecnie rolnictwo. Polska, wskutek naturalnej i powszechnej współzależności gospodarczej państw, nie może oczywiście uwolnić się od ujemnych skutków tego przesilenia. Czego natomiast wymagać musimy od naszego rządu, to usunięcia tych wszystkich przyczyn, które w Polsce znacznie jeszcze

powiększają światowe warunki przesilenia, a które w znacznym stopniu powodowane są błędną, doktrynerską lub demagogiczną polityką, stosowaną od początku odrodzenia niepodległości państwa wobec rolnictwa. Zamiast dołożyć wszelkich starań, aby wyżej wyłuszczone ogólno-światowe, niekorzystne wpływy możliwie sparaliżować, potęgowało się u nas jeszcze bardziej ich skutki systemem, dostosowanym przedewszystkiem do radykalno-socjalnego eksperymentalizmu. Nie przeszkadzało to jednak winowajcom tego systemu biadać nad upadkiem rentowności rolnictwa i biernością bilansu handlowego! Jesienią u. r., mając nóż na gardle, rząd wszedł wreszcie na tory racjonalnejszej polityki rolniczej i szeregiem zarządzeń starał się ratować upadające rolnictwo. Skutku dotychczas nie osiągnięto. Sytuacja rolnictwa polskiego jest obecnie tak katastrofalna, że wymaga już nietylko nawrotu do normalnej polityki gospodarczej, zbyt długo poniewieranej, by mogło to pozostać bezkarnem, lecz i zastosowania środków nadzwyczajnych, by nie dopuścić do zupełnego upadku głównych warsztatów produkcji i wyżywienia Polski.

Adam Romer

O NASZĄ SZKOŁĘ

„Nie będzie miał Boga za Ojca ten, kto nie chciałby mieć Kościoła za matkę“.

Św. Augustyn „De Symbolo“.

Okres czasu, zawarty pomiędzy końcem epoki Napoleońskiej a końcem Wielkiej Wojny, śmiało można nazwać wiekiem maszyny. W stuleciu tem przecież człowiek stworzył całą nowożytną technikę, olbrzymio rozszerzył zakres wszystkich nauk ścisłych i pomnożył niepomiernie swe siły względem ziemi, na której mu żyć wypadło.

Zazwyczaj określa się ten wielki szereg technicznych i naukowych odkryć i wynalazków ogólnem mianem „postępu“, a że wyraz ten oznacza jednocześnie ruch naprzód, więc też w ogólnej ludzkiej świadomości utrwaliło się mniemanie, iż przez ten czas i ludzkość cała posunęła się też naprzód...

Omyłka fanatyczna! Fatalny błąd, wynikający z mylnego zestawienia różnorodnych pojęć! Bo przecież wiek, w którym duch całej ludzkości, zgniecony tryumfującym materjalizmem, legł jakby w letargu, wiek, który skuł ludy w kajdany niewoli bądź politycznej, bądź finansowej, który wydał Marksa, a więc Komunę i Bolszewizm (boć socjalizm jest tylko formą przejściową i maskowaniem rzeczywistości), wiek, zakończony światową rzezią, nie może być nazwany wiekiem postępu ludzkości! Przeciwnie! Przyjrzawszy się bliżej, głębiej się zastanowiwszy, widzimy, iż jest to okres regresji i upadku, jakiemu równych trudno szukać w historji świata!

Duch zamarł! Dopiero gdy potoki krwi Wielkiej Wojny, gdy stokroć straszniejsze mordy rewolucji, jako wyraźna kara Boża, wstrząsnęły światem, wówczas ludzkość ocknęła się i gorączkowo szukać zaczęła Boga. Lecz do Boga

zwrócić się mogli ci, którzy, chociaż półświadomie, lecz przynajmniej cośkolwiek o Nim wiedzieli — reszta, szukając wyjścia z materjalnej matni, czuła tylko, że jest coś poza materją, że istnieje też strona duchowa ludzkości i szukając tak, wytworzyła t. zw. ruch spirytualizmu.

W powojennym więc świecie widzimy z jednej strony olbrzymie odrodzenie katolicyzmu, a z drugiej równie potężny ruch poszukiwaczy ducha, mnożenie się sekt i teorji teozofów, neobudyzmu etc. etc.

Z jednej strony, w pełni słońca Prawdy, widzimy wznoszący się coraz potężniej Kościół Powszechny, t. z. Katolicki — z drugiej zaś mrowie ludzi, błąkających się i szukających czegoś wśród mgły.

U nas obraz ten możnaby jeszcze ostrzejszymi zarysować konturami: Wiek ubiegły był bowiem dla nas wiekiem podwójnej niewoli, bo i pod względem politycznym i pod względem duchowym. Znaczna większość dawnej Rzeczypospolitej znalazła się pod panowaniem dwóch najgroźniejszych naszych wrogów: Niemiec i Rosji.

O niewoli politycznej próżno tu mówić — znamy ją i pamiętamy dokładnie, ale niewola ducha z iście szatańską prowadzona była przewrotnością. Gdy w Niemczech, równolegle z germanizacją, szedł bismarkowski Kulturkampf, to w Rosji prześladowanie Kościoła azjatyckiemi prowadzone było metodami. Lecz najstraszniejszym w swych skutkach nie był wcale rządowy ucisk, nie deportacje i więzienie, ale wpływ na polskie sfery intelektualne bądź niemieckiej, bądź rosyjskiej umysłowości.

Z jednej strony materjalistyczni, protestanccy filozofowie niemieccy, z drugiej uniwersytecki nihilizm i wschodnia mglistość rosyjska; tu rozwija się pyszałkowaty a niszczący wszelkie nadprzyrodzone cechy religji modernizm, tam brak kultury, brak jakiejkolwiek logicznej doktryny i bezdenna próżnia nirwany. Duchowość nasza, zarażając się bezwiednie miazmatami obu tych psychologji, związała jeszcze w dodatku obronę narodowości z obroną wiary, a jed-

nocześnie chwytała się kurczowo pozytywistycznych kierunków myśli, gdyż cały wysiłek społeczeństwa skierowany był na obronę swego mienia, swych materjalnych dóbr.

Wielka Wojna, wyzwalając z niewoli Polskę, pozostawia ją niemal bezbronną na łup wszystkich wrogów. W dziedzinie niezależności politycznej Polska walczy, szczodrze leje się krew jej synów i zwycięża wbrew wszelkim pesymistom, nawet wbrew obawom najbliższych przyjaciół. Inaczej jednak dzieje się w dziedzinie ducha. Równolegle z powstaniem Polski rozpoczyna się jej zalew przez wszelakie, więcej lub mniej znane sekty, żerujące dotąd na bezideowem ciele protestantyzmu — i Polska przyjmuje tych emisarjuszy z iście narodową gościnnością, przeważnie zresztą w obawie, by ją nie posądzono o brak tolerancji i aby się przypodobać światowemu liberalizmowi! Nietylko, że następuje zalew sekt z zachodu, płyną też wszystkimi, szeroko rozwartymi szlakami i sekty wschodu, rozwijają się — pod wpływem ogólnego ruchu ku spirytualizmowi — także i rodzime filozoficzne spekulacje, tembardziej niebezpieczne, że na narodowych opierające się przesłankach.

Nie bawiąc się w określenie ułamków procentowych, można twierdzić, iż dokładna znajomość prawdziwej, rzymskiej doktryny katolickiej, jest w naszym kraju — prawie żadna!

Na tak zarysowanem ogólnem tle obrazu, widzimy teraz powstające u nas szkolnictwo.

W zaborze rosyjskim, stanowiącym trzy czwarte kraju, trzeba było stworzyć wszystko; w zaborze pruskim trzeba było dać niemal cały zastęp nauczycielstwa. Małopolska też nietylko, że nie może skurczyć swych ram, lecz rozwija dalej aparat szkolny. Dzieje się niemal że cud, w kilka lat sieci szkół wszelakiego typu pokrywają Polskę, miljony dzieci korzysta z nauki, rozwój szkolnictwa w naszym kraju postępuje w tempie, nieznanem nigdzie na świecie!

I oto właśnie ten niebywały rozwój staje się jednym z bardzo poważnych powodów większości braków tego szkolnictwa. Brak przedewszystkiem ludzi, brak zupełny odpowiednio wykwalifikowanych sił wśród nauczycielstwa, którego kadry zapełniają się przez tysiące ludzi dobrej woli, lecz zaledwie przeszkolonych i, co najgorsze, niedouczonych, więc półinteligentów!

Seminarja nauczycielskie pracują gorączkowo i ani rząd, ani społeczeństwo nie zwracają uwagi, jak to one pracują. Ale pilną uwagę na te nauczycielskie szkoły zwraca za to masonerja i obsadza je natychmiast odpowiednio. Jako niezbity dowód służyć może jedno z pierwszych seminarjów stolicy, gdzie całokształt kierunku od pierwszej chwili powstania jest ściśle antyreligijny, gdzie powstaje, możnaby powiedzieć, „sekta" ateistyczno-bolszewicka Spasowietów.

Równolegle z brakiem odpowiednich sił nauczycielskich odczuwać się daje wielki brak podręczników szkolnych i tu znowu ani rząd, ani społeczeństwo nic nie robią, natomiast bardzo wyraźnie znany nam wróg poddaje we wszystkich głównych kierunkach nauki swoje podręczniki specyficznej historji, literatury, a zwłaszcza nauk przyrodniczych i filozofji. Tutaj dotykamy wprost niepojętego faktu: w kraju katolickim, za jaki się ma Polska, nie znajdujemy ani jednego, naprawdę porządnego i według ostatnich wymagań ułożonego podręcznika religji, a cóż dopiero mówić o podręcznikach historji Kościoła lub filozofji katolickiej!

Znanym też jest fakt, iż lubujemy się w „nowinkach", fakt wybitnie ujemny, bo dowodzący płytkości naszych ogólnych wiadomości oraz lekkomyślności społeczeństwa. Owe „nowinki", przechodzące niepostrzeżenie przez zachodnie umysłowości, u nas odrazu traktowane są na serjo i niemal przemocą, a przy pełnej apatji opinji, wprowadzane bywają w życie. O ile można je lekceważyć, gdy chodzi o mody, tańce, sztukę czy architekturę (chociaż smutnym

będzie sąd historji o tej epoce zaniku wszelkiego artyzmu), o tyle nie wolno igrać i robić wiwisekcyjnych doświadczeń z przyszłością narodu, jaką jest młodzież! A jednak „nowinkarstwo“ obrało tu sobie za pole działania tak programy szkolne, jak i system wychowania i nauczania.

Wszystko, co się od samego początku robiło w szkolnictwie, tchnęło tym nowinkarskim duchem eksperymentów; wszystko starano się zmienić, aby robić inaczej, jak dotąd, inaczej, jak wszędzie, a przedewszystkiem całkiem odwrotnie, niż to wielowiekowe doświadczenie katolickiej pedagogiki uczy!

Choćby więc dla przykładu warto zacytować: traktowanie dzieci w szkołach tak, jakby się miało do czynienia z ludźmi dorosłymi, mówi się do nich per „pan“ lub „pani“ (co tembardziej jest zabawne, że jednocześnie walczy się w imię świętej demokracji przeciwko wszelkim „panom“...), urządza się jakieś samorządy, czy sejmokracje klasowe, gdzie nauczyciele i wychowawcy posłuszni być winni „opinji“ tych dziwacznych pajdokracji; wykłady są przeważnie poglądowe, coś w rodzaju filozofji danego przedmiotu, a treść faktyczną mają dzieci sobie same „przyswajać“ i w ten sposób „urabiać własne światopoglądy“; w wypadkach wykroczeń urządza się jakieś „koleżeńskie sądy“, a natomiast toleruje się zbiorowe wystąpienia uczni przeciwko nauczycielom lub szkole, pertraktuje się na serjo z „delegatami“·przypuśćmy klasy III-ciej! Uczniowie palą papierosy, grają w karty w klasie, czytają podczas wykładów pornograficzne piśmidła, lub rysują takież karykatury. Nadzór nad młodzieżą poza szkołą równa się zeru i wobec tego stan moralności tej młodzieży szybko się równa z moralnością ulicy! Podczas wykładów przyrodniczych „uświadamia się“ dzieci i szeroko się opisuje wszelkie skandale historyczne, a że jednocześnie per fas et nefas forsuje się, gdzie tylko można, koedukację, więc rezultaty tych metod nie dają na siebie czekać...

Nie sama tylko szkoła jest tu winną! Znaczny procent winy, kto wie, czy nie większość, ponoszą rodzice i dom!

Mowa ludzka, która jest jednym z tych absolutnych artybutów człowieka, oddzielających go nieprzebytą przepaścią od zwierzęcia, odzwierciedla poniekąd dusze ludzkie, a języki narodów posiadają cechy, tym narodom przyrodzone. I tu ciekawy pojawia się fakt: oto porównywując słowa, któremi różne ludy określają wychowanie, widzimy, że posiadający zachodnią, łacińską kulturę Francuz, powiada: „élever“ — czyli wznieść, podnieść, wywyższyć; praktyczny i systematyczny Niemiec mówi: „erziehen“ — więc wyciągnąć, wydobyć; Rosjanin, owiany duchem Azji i poczuciem tłumu, powiada, „wospitat“, co znaczy wykarmić, a my ograniczamy się do słowa „wychować“, pochodnego od chować, chronić.

W pierwszych dwóch przykładach widzimy aktywną działalność względem ducha, lub zdolności umysłu, u Rosjan widnieje również czyn aktywny, względem rozwoju ciała, a u nas jest czynność bierna — ochrony!..

I w tych przykładach odnaleźć możemy główne błędy naszych rodziców, naszego domowego wychowania. Bierność, żeby nie powiedzieć obojętność dla całej duchowej strony dziecka. Dopóki dziecko jest małe, stanowi ono zupełną „własność“ rodziców, jest ich skarbem, ale i zabawką: stroi się je i pieści, rozkaprysza, rozzuchwala, bawi się jego przedwczesną dojrzałością i kocha prawdziwie „małpią miłością“; ale gdy to dziecko zaczyna schodzić z oczu, gdy inni już się niem zajmują, to zanika powoli i zainteresowanie rodzicielskie. Dba się dalej o to, by się dobrze odżywiało, bawiło, miało efektowne ubrania (na złość sąsiadce!), by otrzymało, gdy dorośnie, dobrą pozycję, majątek, bogatą żonę lub takiegoż męża, ale zamyka się oczy na stronę ducha, na wpływy towarzystwa, w którem się obraca, lektury, widowiska, nawet na tryb życia!

Moralność rodziców, oparta na pozytywiźmie XIX-go wieku, nie śmie żądać innej moralności od dzieci, anarchja

duchowa starszych boi się stanąć wobec porządku moralnego młodszych i działając tak, pociesza się myślą, iż „młodość musi się wyszumieć“. Istnieje też w tej sprawie i moment ekonomiczny. Szereg kryzysów finansowych wstrząsnął całym krajem, najsilniej odbijając się na klasach posiadających, więc głównym rezerwoarze inteligencji. Kryzys ten stale, uparcie i groźnie pogłębiany demagogicznem prawodawstwem społecznem, oraz agitacją naszych „politycznych“ partji, wprowadził wszelkie posiadające warstwy w stan faktycznej prostracji.

Ziemiaństwo, przemysłowcy, zamożne niegdyś mieszczaństwo wycofało się z publicznego życia, zamknęło w swych domach, starając się obronić resztki posiadłości, nie biorąc udziału w rozwydrzonem życiu politycznem, ani nawet w ekonomicznym rozwoju kraju (i tu są wyjątki, potwierdzające regułę!), nie mówiąc już naturalnie o takich „szczegółach“, jak szkoła! Nic więc dziwnego, że z jednej strony coraz to potężniej rozszerza się etatyzm, gdyż państwo poniekąd zmuszonem jest do niego, a z drugiej szkoła wydaną została na łatwy łup dla wszelakiej demagogji i demokratyzacji ad absurdum!

Społeczeństwo nasze już nietylko, że stoi nad przepaścią, ale staczać się zaczyna po tej stromej równi pochyłej, jaką jest przeciwstawienie się prawdzie; stacza się jednocześnie z innemi społeczeństwami, boć laicyzacja dawno już święci swe smutne tryumfy we Francji i licznych innych krajach. Szczytny jej epilog oglądać możemy w Bolszewji, a wątpię, by ten przykład mógł zachęcać do dalszych prób! Że źle jest na całym świecie, bo po całym świecie rozpełzły się macki polipa ideologji rewolucji francuskiej, to żadna pociecha i tembardziej zwrócić musimy oczy ku Stolicy Piotrowej, stąd właśnie padają imperatywne wsazówki.

Ostatnia encyklika Ojca Świętego tak dokładnie i jasno przedstawia cały problemat wychowania i szkoły, że zbyteczną jest rzeczą pozwalać sobie na jakiekolwiek komentarze; przypomnieć tylko należy, iż, jako do całego katolic-

kiego świata wydana, a tycząca się spraw wiary i obyczajów, podpada ona pod jasne określenie dogmatu nieomylności papieskiej i jest bezwzględnie obowiązujcą dla każdego katolika!

„Jest to więc rzeczą najwyższej doniosłości“, powiada Papież, „nie błądzić w wychowaniu, równie jak nie błądzić w dążeniu do ostatecznego celu, z którym całe dzieło wychowania ściśle i bezwzględnie jest związane“, a rozwinąwszy dalej posłannictwo Kościoła, mówi: „Z tego bezsprzecznie wynika, że Kościół, jak w swojem powstaniu, tak też i w wykonywaniu swojego wychowawczego posłannictwa jest niezależny od jakiejkolwiek władzy ziemskiej i to nietylko w zakresie własnego przedmiotu, lecz także co do środków koniecznych i odpowiednich do wypełnienia swojej wychowawczej misji.

Bardzo jasno wypowiada to ś. p. Pius X: Cokolwiek czyni chrześcijanin, także w dziedzinie rzeczy ziemskich, nie wolno mu zapominać o nadprzyrodzonych dobrach; owszem, wedle nauki chrześcijańskiej mądrości powinien wszystkie sprawy kierować do najwyższego dobra, jako do ostatecznego celu. Ponadto wszystkie jego czynności, czy dobre czy złe moralnie, to jest, o ile zgadzają się lub nie z naturalnem i bożem prawem, podlegają sądowi i juryzdykcji Kościoła. (Enc. Singulari quadam. 24.IX, 1912).

„Prócz tego Kościół posiada prawo, którego zrzec się nie może, a zarazem obowiązek, od którego nie może być zwolniony, czuwania nad całem wychowaniem swych dzieci wierzących, w jakimkolwiek zakładzie publicznym czy prywatnym, nietylko co do nauki religji, jakiej się tam udziela, lecz także co do wszystkich innych nauk i wszystkich zarządzeń, o ile z religją i moralnością mają jakiś związek“.

Następnie Ojciec Św. rozpatruje sprawę harmonji praw Kościoła, rodziny i państwa i cytuje wspaniały ustęp encykliki Leona XIII-go „Sapientiae christianae“ z dnia 10.I 1890 r.:

„Rodzice z natury mają prawo kształcenia tych, których zrodzili, z tym obowiązkiem, by wychowanie i nauka dzieci były zgodne z celem, dla którego z łaski Boga otrzymali potomstwo. Stąd rodzice winni się starać i dążyć do tego, żeby odeprzeć wszelki zamach na swoje prawa w tej materji i żeby stanowczo sobie wywalczyć, by mogli, jak przystoi, po chrześcijańsku dzieci swoje wychować, a zwłaszcza zdaleka je trzymać od tych szkół, w których kryje się dla nich niebezpieczeństwo przesiąknięcia jadem bezbożności".

Że zaś to nie są tylko teoretyczne wywody i dysertacje abstrakcyjne, mówi Papież dalej:

„To bezsporne prawo rodziny niejednokrotnie było uznane jurydycznie w krajach, w których w ustawach państwowych uważa się na poszanowanie naturalnego prawa (sic!). I tak, aby przytoczyć jeden z najświeższych przykładów, Najwyższy Trybunał Związkowej Republiki Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki w decyzji, tyczącej się nadzwyczaj ważnego sporu, orzekł, że państwu nie przysługuje bynajmniej ogólna władza wprowadzenia jednego typu wychowania młodzieży (sic!) przez zmuszanie jej do pobierania nauki wyłącznie w szkołach publicznych i dorzucił motyw tego orzeczenia z prawa przyrodzonego: „Dziecko nie jest li tylko tworem państwa; ci, co je wychowują i niem kierują, mają prawo, połączone z najściślejszym, szczytnym obowiązkiem, wychować je i przygotować do spełnienia swoich powinności".

Określając prawo państwa w nauczaniu stwierdza Ojciec Św. raz jeszcze, iż „z tego prymatu wychowawczego posłannictwa Kościoła i rodziny płyną największe pożytki dla całego społeczeństwa, a nie może wynikać najmniejsza szkoda dla rzeczywistych, właściwych państwu praw do wychowania obywateli, wedle ustanowionego przez Boga porządku".

„Te prawa ma państwo od samego Twórcy natury, nie tytułem ojcostwa, jak Kościół, rodzina, ale przez autorytet,

jaki mu przysługuje dla popierania doczesnego, ogólnego dobra, które jest właściwym jego celem. Wskutek tego wychowanie nie może należeć do państwa, tak samo, jak należy do Kościoła i rodziny, lecz inaczej, to jest odpowiednio do celu państwa". „Zatem podwójna jest funkcja powagi, właściwej państwu: ochraniać i popierać rodzinę i jednostki, a nie pochłaniać je lub zajmować ich miejsce"; „...państwo powinno szanować przyrodzone prawa Kościoła i rodziny do chrześcijańskiego wychowania, a prócz tego powinno przestrzegać sprawiedliwości rodzicielskiej. Dlatego też niesprawiedliwym i niedozwolonym jest wszelki (sic!) monopol wychowawczy, czy też szkolny, który fizycznie lub moralnie zmusza rodziny do posyłania dzieci do szkół państwowych, wbrew obowiązkom chrześcijańskiego sumienia, a także wbrew ich słusznym upodobaniom". Specjalnie ostrzega tu Papież przed zgubnymi tak dla rozwoju dusz ludzkich, jak i dla dobra narodów, wpływami ultranacjonalizmów, „kiedy szerzy się przesądny i fałszywy nacjonalizm, tak bardzo wrogi prawdziwemu pokojowi i pomyślności".

W samym programie naukowym, ostrzega też Pius XI przed taką modną dzisiaj „kulturą ciała", przed fatalnymi wynikami popierania gwałtownych sportów, przechodzących najczęściej w rodzaj fachowości: „wszelką przesadą, jaką jest naprzykład duch gwałtu, którego nie można mieszać z duchem męstwa, ani ze szlachetnem poczuciem wojskowej tężyzny w obronie ojczyzny i publicznego porządku; jaką jest także w wychowaniu fizycznem przesadne wynoszenie atletyzmu, co nawet w klasycznej epoce pogaństwa było oznaką zwyrodnienia i upadku".

Zastanawiając się nad tym stosunkiem, jaki winien panować między Kościołem a państwem, cytuje Ojciec Św. list św. Augustyna, który: mógł rzucić w twarz wyzwanie wszystkim przeciwnikom katolickiego Kościoła. I my też w naszych czasach możemy z nim powtórzyć: Ci, co powiadają, że nauka Chrystusa jest wrogą państwu, niechże da-

dzą takich żołnierzy, jakimi każe im być nauka Chrystusa; niech dadzą takich poddanych, takich małżonków, takie żony, takich rodziców, takich synów, takich panów, takie sługi, takich królów, takich sędziów, takich wreszcie urzędników skarbowych i takich płatników państwa, jakimi nakazuje być chrześcijańska nauka, a wtedy niechże sobie mówią, że jest ona wrogą rzeczypospolitej; przeciwnie, niech się nie wahają nazwać jej silną ostoją państwa, jeśli znajduje posłuch".

Tylko więc korzyść dla państwa może z dobrego jego z Kościołem wyniknąć stosunku i wystarczy trochę bliżej a dokładniej przyjrzeć się historji, aby stwierdzić (bez najmniejszego wyjątku), że wrogami Kościoła są zawsze wrogowie lub szkodnicy państwa!

Przedmiotem wychowania jest cały człowiek upadły, ale odkupiony. „Fałszywym jest wszelki naturalizm pedagogiczny, który w kształceniu młodzieży w jakikolwiek sposób wyklucza albo ogranicza nadprzyrodzone chrześcijańskie wyrobienie; błędną też jest wszelka metoda wychowania, która się opiera w całości lub części na zaprzeczeniu grzechu pierworodnego i łaski, albo zapomnieniu o nich, a stąd na samych tylko siłach ludzkiej natury. Takimi wogóle są te dzisiejsze systemy o przeróżnych nazwach, które powołują się na rzekomą autonomję i niczem nieograniczoną wolność dziecka i które zmniejszają albo nawet usuwają powagę i działanie wychowawcy, przypisując dziecku wyłączny prymat inicjatywy w zakresie swojego wychowania i działania, niezależnie od wszelkiego wyższego naturalnego i Bożego prawa.

Lecz niestety, niemało jest takich, którzy i nazwą, wedle prostego jej brzmienia i czynem starają się usunąć wychowanie z pod wszelkiej zależności od Bożego prawa. Stąd w naszych czasach jesteśmy świadkami dość dziwnego naprawdę zjawiska, że wychowawcy i filozofowie trudzą się w wyszukiwaniu jakiegoś powszechnego kodeksu moralnego wychowania, jakgdyby nie istniał ani Dekalog, ani prawo

ewangeliczne, ani nawet prawo natury, wyryte przez Boga w sercu człowieka".

„Najbardziej wszakże niebezpiecznym jest ów naturalizm, który w naszych czasach przenika dziedzinę wychowania w materji najbardziej delikatnej, jaką jest czystość obyczajów;... błąd tych, którzy brudnemi słowami wyrabiają t. zw. seksualne wychowanie".

Podobnie błędnym i dla chrześcijańskiego wychowania szkodliwym jest t. zw. system „koedukacji", oparty także przez wielu na zaprzeczającym grzech pierworodny naturaliźmie, poza tem przez wszystkich zwolenników tego systemu na opłakania godnym pomieszaniu pojęć, które uczciwe współżycie ludzkie utożsamia z pomieszaniem i wszystko niwelującą równością" (sic!).

Dalej zwraca Ojciec Św. uwagę na środowisko wychowania: „Ażeby dojść do doskonałego wychowania, najwyższej doniosłości jest czuwanie, żeby to wszystko, co otacza wychowanka w okresie jego formacji, t. j. zespół tych wszystkich warunków, które zwykło się nazywać „środowiskiem", dobrze odpowiadał zamierzonemu celowi". Nie poruszając szczegółów domowego wychowania, kładzie Papież silny nacisk na warunki dzisiejszego życia rodzinnego, przypomina, iż św. Karol Boromeusz kazał publicznie czytać zebranym w Kościołach rodzicom ów „prawdziwie złoty traktat Antoniana „O chrześcijańskiem wychowaniu dzieci".

Szkoła jest obecnie rzeczą konieczną, bo rodzina sama nie jest dziś w stanie ani wykształcić, ani wychować dzieci, lecz szkoła tylko zastępuje rodzinę, „powinna nietylko nie sprzeciwiać się, ale pozytywnie zgadzać z rodziną i Kościołem w jednej, doskonalszej jedności moralnej". Uznał to nawet liberalny pisarz M. Tommasco, gdy w swem dziele „Pensieri sull'educatione" powiada: „Szkoła, jeżeli nie jest świątynią, jest jamą"...

Bardzo silnie i powołując się na liczne poprzednie orzeczenia Stolicy Apostolskiej, oraz wyraźne brzmienie

prawa kanonicznego, występuje Ojciec Św. przeciwko tak obecnie wszędzie wprowadzonej szkole neutralnej świeckiej. Tu już nie tłumaczenie i rada — tu brzmi rozkaz bezapelacyjny: „Ponawiamy i potwierdzamy te ich orzeczenia (tu załączony spis encyklik Piusa IX i Leona XIII, a między innemi 48-ma propozycja Syllabusu), a zarazem przepisy świętych Kanonów, które zabraniają katolickim dzieciom uczęszczać do szkół akatolickich, albo neutralnych lub mieszanych, t. j. dostępnych dla katolików i niekatolików bez różnicy (wszystkie nasze gimnazja!) i tylko w pewnych okolicznościach czasu i miejsca, jedynie za zdaniem Ordynarjusza, za specjalnemi zastrzeżeniami, pozwalają to tolerować. Nie mogą też katolicy zgodzić się na taką mieszaną szkołę (gorzej, jeśli jest ona jedyną i dla wszystkich obowiązkową), w której, jakkolwiek ubocznie mogą popierać religję, przecież resztę nauczania otrzymują od nauczycieli niekatolików, razem z uczniami niekatolikami“.

Dla katolików, przecież raz musimy wreszcie to zrozumieć, szkoła musi być katolicką! Aż dziwnem się zdaje, że tak prostą i jasną rzecz należy dziś ludziom dowodzić, zaś w krajach t. zw. katolickich jest to podobne dowodzeniu, iż właściciel i gospodarz domu ma prawo w nim przebywać! A jednak pod wpływem liberalnej obumbracji doszliśmy już do tego i Ojciec Św. musi cytować słowa Leona XIII:

„Konieczną jest rzeczą, by nietylko w pewnych godzinach wykładano młodzieży religję, ale aby całe nauczanie tchnęło duchem chrześcijańskiej pobożności“. I dodaje: „Niech nikt nie mówi, że w narodzie, podzielonym na różne wyznania, państwo nie może inaczej zaradzić potrzebom publicznego oświecenia, jak tylko przez szkołę neutralną lub mieszaną, bo bez porównania lepiej i łatwiej może i powinno zaspokoić je, zostawiając swobodę i popierając przez odpowiednie zasiłki inicjatywę i działalność Kościoła i rodziny na tem polu“.

Jeszcze raz pod koniec swej encykliki Papież zwraca uwagę na te rozmaite nowe metody w nauczaniu lub wychowaniu, ostrzega przed ślepym prądem za tak u nas lubianem nowinkarstwem. „I dlatego (wychowawca) w zbieraniu rzeczy nowych będzie się strzegł, by lekkomyślnie nie porzucać starych“ „...zwłaszcza w nauce łaciny, która za dni naszych, coraz niżej upada! Każdy chrześcijański nauczyciel usilnie winien się starać, żeby nietylko stosować odpowiednią i solidną metodę nauczania, lecz jeszcze bardziej, żeby samo nauczanie i literatury i wszystkich innych nauk zgodnem było z katolicką wiarą, najbardziej zaś nauczanie filozofji, od której w znacznej mierze zależy właściwy kierunek gałęzi wiedzy“.

To też głównym warunkiem odpowiedniego wychowania młodzieży — są nauczyciele, którzy „doskonale przygotowani i wykształceni, każdy w swym przedmiocie, jaki ma wykładać, wyposażeni w te przymioty intelektualne i moralne, wymagane przez ich tak ważny urząd, płoną czystą i boską miłością powierzonej im młodzieży właśnie dlatego, że kochają Jezusa Chrystusa i Jego Kościół, którego najukochańszą dziatwą jest młodzież, oraz dlatego, że im szczerze leży na sercu prawdziwe dobro rodzin i swej Ojczyzny“. Zaś państwo i rodzina wciąż czuwać winny, aby poza szkołą młodzież nie była narażoną na zepsucie, „ponieważ znacznie wzrosły okazje moralnego i religijnego rozbicia dla niedoświadczonej młodzieży, zwłaszcza bezbożne i sprośne książki, których wiele się rozrzuca za bezcen, iście po djabelsku“; nadto kina, a obecnie także radjo, które pomnażają i „ułatwiają“ wszelkie przeciwne moralności lub wierze wiadomości. Streszczając sam całość tej jednej z obszerniejszych encyklik, Ojciec Św. stwierdza, iż cel i forma chrześcijańskiego wychowania polega na urabianiu prawdziwych chrześcijan, którzy też jednocześnie są i najlepszymi i najpożyteczniejszymi obywatelami kraju.

Starałem się, własnemi Papieża słowami, streścić encyklikę o wychowaniu, bo dziwnie dobrze one pasują do

wszystkich poprzednio poruszonych bolączek naszego systemu wychowawczego. Encyklika ta bezwzględnie obowiązuje wszystkich katolików, a przez to samo żąda od nich czynów, zgodnych z jej duchem. Dobro i przyszłość kraju, sumienie Ojczyzny, żąda od wszystkich jej synów pomocy w walce o duszę narodu!

Raz nareszcie trzeba się otrząsnąć z więzów niewoli liberalizmu, z przyrodzonej bierności naszych charakterów. Wysiłek musi być olbrzymi, musi się przestać liczyć ze skąpemi kalkulacjami naszych prywatnych budżetów, bo w tej dziedzinie stworzyć lub zmienić musimy wszystko! Lecz, jak powiada arabskie przysłowie: „Stawiając nogę przed nogą, wychodzi się na najwyższe góry", więc ogrom zadania niech nikogo nie zniechęca, ale wszyscy bierzmy się wreszcie do czynu!

Przedewszystkiem więc każdy właściciel majątku ziemskiego powinien starać się wejść w ścisłe stosunki z nauczycielskiemi sferami szkół powszechnych. Trzeba pamiętać, iż nauczyciel, czy nauczycielka tych szkółek, to rodzaj apostoła, niosącego pochodnię światła dla ludu. Nie wolno katolikowi, posiadającemu po temu środki, pozwolić, by ten człowiek wydanym został na pastwę radykalizmu, żerującego wśród drobnej wiejskiej inteligencji. Należy mu dać możność oparcia się, trzeba mu zapewnić pomoc i współpracę!

A równolegle z tem musi taki obywatel ziemski, nie bacząc na „politykę" czy ‚interesa", wejść również w ścisły kontakt z miejscowem duchowieństwem, z organami akcji katolickiej, a wtedy można być pewnym, że takie trójporozumienie wyda natychmiast pożądane owoce!

Rodzice, oddając dzieci swe do szkół, winni natychmiast zacząć brać jak najczynniejszy udział w pracach komitetów rodzicielskich; opierając się na jasnych zasadach wychowania katolickiego, na szeregu wskazówek, zawartych w encyklikach papieskich, Syllabusie i prawie kanonicznem, winni współpracować z dyrekcjami szkół i potrafić

zmusić te dyrekcje do zastosowania się do wymagań naszej wiary!

Ludzie nauki muszą się zabrać natychmiast do przejrzenia i poprawy szkolnych podręczników, prostując błędy i liberalno-materjalistyczne fałsze, nadając im światopogląd katolicki, zgodny ze zdrową filozofją Kościoła; muszą ułożyć odpowiednie i zabezpieczone od pornografji i ateizmu wypisy literatur etc. etc. Sprawa podręczników szkolnych musi być załatwioną w porozumieniu z najbardziej autorytatywnymi czynnikami kościelnymi.

Całe katolickie społeczeństwo winno jak najenergiczniej porzeć rozwój szkół wolnych, wyznaniowych, prywatnych, a przedewszystkiem wszystkie nauczające zakony oraz uniwersystet w Lublinie.

Wreszcie rząd musi zwrócić jak najpilniejszą uwagę na wyszkolenie nauczycielstwa, na kierunek tego wyszkolenia, a przedewszystkiem na ducha, jaki musi panować w seminarjach nauczycielskich!

Zjazd łowicki aż nadto wyraźnie wskazał społeczeństwu i rządowi na rodzaj tego dziś niestety panującego ducha i jeśli nie chcemy upodobnić się z kulturą czerwonego wschodu, musimy radykalnie zmienić dotychczasowe metody, właśnie w kierunku, wskazanym światu przez encyklikę Ojca Św. Piusa XI.

Józef Tyszkiewicz

PROBLEM UKRAINY

Z punktu widzenia realnej polityki państwowej jest rzeczą oczywistą, że odkładanie w nieskończoność rozwiązania sporu polsko-ukraińskiego na terenie Małopolski Wschodniej i pozostawianie tem samem wiecznie jątrzącej się rany na organiźmie Rzeczypospolitej nie jest możliwem. Starodawna nasza zasada „jakoś to będzie", którą Polska w tej kwestji zdaje się dotąd kierować, nie rozwiąże tego zagadnienia, ale je z każdym rokiem coraz bardziej zaogni z wielką dla obu stron szkodą. Zarówno Polacy, jak i Ukraińcy muszą spojrzeć tej prawdzie raz nareszcie w oczy i nie wahać się sprawę tę między sobą szczerze i jasno postawić.

Niepodobna szukać jej rozwiązania ani metodą wymiany jałowych kurtuazji, ani ustawicznej walki, nie mającej nawet jasno określonego, realnego celu w danych konkretnych warunkach. Cel ten należy z chaosu namiętności i haseł demagogicznych wyzwolić i jasno sprecyzować, a opierając się na prawdzie historycznej, prawdzie aktualnej oraz pewnych realnych perspektywach przyszłości, znaleźć w imię tej prawdy jakieś racjonalne rozwiązanie, dla obu stron możliwie korzystne.

Trzeba przedewszystkiem ustalić właściwy punkt wyjścia dla racjonalnego traktowania tego problemu. Najmniejszej bowiem nie może ulegać wątpliwości, że dotychczasowa polityka i taktyka polska w tej sprawie była całkiem błędna. Jedni, nacjonaliści, dążyli do sztucznego, forsownego polonizowania ludności ukraińskiej na terenie Małopolski Wschodniej, utrudniając jej, a częściowo nawet uniemożliwiając należną jej swobodę narodowego, kulturalnego i gospodarczego rozwoju. Drudzy, przedstawiciele polityki umiarkowania, a zwłaszcza polskiej większej wła-

sności ziemskiej, traktując sprawę przeważnie z punktu widzenia swych lokalnych interesów prywatnych, szli na ugodę za wszelką cenę, byle tylko spokój i bezpieczeństwo sobie zapewnić. Inni wreszcie, społeczni radykali, starali się związać sprawę „pracującego ludu“ polskiego i ruskiego w walce przeciw sferom „posiadającym“, niszcząc tem samem wielowiekowy polski dorobek polityczny i kulturalny na kresach.

Wszyscy zaś, tak różni od siebie programem i taktyką, zgodni byli, z wolą czy mimowoli, w jednym kierunku: w ograniczeniu sprawy ukraińskiej do obszaru Małopolski Wschodniej.

Sąd objektywny, na pewnym historycznym i politycznym realiźmie oparty, wykazać musi bez trudności podstawowe błędy wszystkich tych trzech tendencji. Ani bowiem ludność ukraińska b. Rusi Czerwonej nie da się sztucznie spolonizować, a przymus mnoży tylko szeregi bojowych przeciwników i wzmaga irredentę. Ani polityką ugodowości za wszelką cenę, a więc okazywania słabości, obniżania autorytetu państwa polskiego i nagradzania ustępstwami i uniwersytetami za okrucieństwa i jawną akcję antypaństwową nie da się od prymitywnego społeczeństwa ukraińskiego czegokolwiek uzyskać. Rozmiary buntów, ilość krwi przelanej i zgliszcza polskich folwarków będą zawsze wprost proporcjonalne do słabości polskiej polityki ugodowej, zwłaszcza przy współdziałaniu bezkrytycznego nacjonalizmu lub hasła walki klasowej.

Problem ukraiński, jak doświadczenie aż nadto już wykazuje, żadną z trzech metod powyższych — t. j. gnębieniem, głaskaniem lub jątrzeniem — rozwiązać się nie da. Sielanki, czy spory, czy walki, inscenizowane celem czy to wyparcia jednej ze stron walczących z Małopolski Wschodniej, czy osiągnięcia „zgodnego współżycia“ ludności silnie mieszanej na tym obszarze, są równie beznadziejne jako ostateczne cele ukraińskiego problemu.

Całkiem inaczej przedstawi się ten problem, gdy spoj-

rzymy nań z wyższej platformy polskiej i ukraińskiej racji stanu na dalszą metę i sięgając głębiej w przeszłość i przyszłość, wysuniemy śmiało, bez wahania, postulat Wielkiej Ukrainy — licząc się z rzeczywistością historyczną, że z jednej strony b. Ruś Czerwona stanowi od sześciu wieków faktycznie rdzenną część składową państwowości polskiej, nierozerwalnie z nią związaną, mimo ludności mieszanej (co jedno drugiemu wcale nie przeczy, ani nie przeszkadza), z drugiej zaś, że tuszowanie wielkoukraińskiej sprawy, zamykanie oczu na postulat własnej państwowości kilkudziesięciomiljonowego narodu, jest politycznym nonsensem, szkodliwym dla dobrze rozumianej polskiej racji stanu i polskiej misji na wschodzie.

Dlatego też jako punkt wyjścia rozważań niniejszej rozprawy stawiamy odrazu zagadnienia Wielkiej Ukrainy, stwierdzając natomiast, że kwestja t. zw. zgodnego współżycia ludności polskiej z ukraińską na terenie Małopolski Wschodniej nie jest wogóle żadnym problemem. Współżycie to bowiem istnieje tam od wieków i — jeżeli chodzi o szerokie masy ludowe — rozwija się i rozwijało od wieków zawsze zgodnie, rzec można organicznie, bez potrzeby stosowania jakichś sztucznych, specjalnych systemów politycznych. Chodzi tylko o to, aby nie drażnić, aby polski nacjonalizm z jednej, a ukraiński z drugiej strony nie jątrzyły wzajemnie na siebie obu narodowości, przeznaczonych ewolucją sześcio-wiekową na nieuchronną konieczność współżycia i współpracy. Prawdziwy natomiast problem leży we współpracy polsko-ukraińskiej nad racjonalnem, wolnem od wszelkiego charakteru awanturniczości wdrożeniem programu Wielkiej Ukrainy.

Przeciw takiemu postawieniu sprawy podnosi się jednak krótkowzroczna opinja różnych sfer polskich w Małopolsce Wschodniej, zwłaszcza większej własności ziemskiej. Opinja ta twierdzi, że powstanie Wielkiej Ukrainy pociągnęłoby za sobą „oczywiście" stratę dla Polski b. Rusi Czerwonej i to zapewne w bardzo szerokich granicach, z dodat-

kiem Wołynia, Chełmszczyzny i t. d. Opinja zgoła mylna, gdyż rozwój rzeczy idzie w kierunku wprost przeciwnym. Brak własnego państwa w granicach, odpowiadających słusznym postulatom trzydziesto- czy czterdziestomiljonowego narodu, zduszonego pod każdym względem rosyjską niewolą, wzmaga tylko irredentę ukraińską w Małopolsce i na Wołyniu, zwracając całą jej zawiść przeciw Polsce poprostu dlatego, że tylko w Polsce, na stosunkowo szczupłym obszarze, zawiść ta może się jako tako swobodnie manifestować, nawet na oficjalnej arenie parlamentarnej. Manifestuje się też bez istotnej przyczyny i w całkiem niewłaściwym dla sprawy ukraińskiej kierunku — właśnie dlatego, że tylko u nas mogą znaleźć ujście przeczulone narodowe uczucia i postulaty polityczne Ukraińców. W Rosji, gdzie mieści się dziewięć dziesiątych ukraińskiego narodu, ekspansja tych uczuć i postulatów nie jest możliwą.

Dać jej więc ujście w tym kierunku znaczy, z polskiego punktu widzenia, złagodzenie antagonizmu polsko-ukraińskiego i daleko lepsze zabezpieczenie dla Polski ziem lwowskich i Wołynia, niż systemem szowinistycznego nacjonalizmu lub jałowej sielanki ugodowościowej.

Z drugiej strony muszą jednak rządy i społeczeństwo polskie zdobyć sobie odpowiedni autorytet w umysłach ukraińskiej ludności Rzeczypospolitej, muszą postarać się o podniesienie wobec niej prestiżu polskiej idei państwowej. A to nie da się zrobić sielanką, płochliwem tuszowaniem przeszłości, dawnej i niedawnej, oraz małoduszną taktyką słabości wobec zbrodni, w naiwnem przekonaniu, że taka taktyka zjedna nam sympatje prymitywnej, porywczej, na hajdamackich tradycjach wychowanej psychiki ukraińskiego ludu. Muszą paść z polskiej strony wobec Ukraińców raz nareszcie męskie, twarde słowa prawdy, wskazać im rzeczywistość i postawić ultimatum.

Zniszczyć trzeba przedewszystkiem fantoma ukraińskiej „krzywdy“, hasła tak popularnego, a tak przewrotnie kłamliwego w ustach agitatorów i w szerokich sferach

ukraińskiego włościaństwa. Więc okoliczność, że polski ziemianin ma większy kawał ziemi, prawnie odziedziczony lub nabyty, od ukraińskiego włościańskiego sąsiada, albo że dotąd jeszcze niema w polskim Lwowie ukraińskiego uniwersytetu, który stałby się natychmiast generalną kuźnią antypaństwowej i społeczno-wywrotowej propagandy — to mają być ukraińskie krzywdy! Ale nie są krzywdą dla Polaków masowe mordy polskiej inteligencji kresowej, wandalskie zniszczenie olbrzymiego dorobku polskiej pracy i kultury i zbójecki zabór polskiej ziemi prywatnej! Coby powiedzieli Ukraińcy w odwrotnym wypadku?

A polscy zaściankowi ugodowcy chcą te niesłychane zbrodnie — zbrodnie o charakterze wybitnie prywatnym, bez żadnej idei politycznej spełnione — jeszcze nagradzać! Bardziej gołębiej polityki trudno znaleźć w dziejach wszystkich państw i czasów!

Nie, racjonalne i życzliwe wdrożenie sprawy ukraińskiej wymaga przedewszystkiem gruntownego wyjaśnienia sytuacji i postawienia kropek nad i, w imię prawdy i sprawiedliwości dziejowej. Nie trzeba małodusznie tuszować faktu, że — pomijając już dawniejsze czasy kozackie i hajdamacko-rosyjskie — jeszcze kilkanaście lat temu przelało się morze krwi polskiej z tej i z tamtej strony kordonu, a prywatna własność polska poszła z dymem na terenie wielkiej Ukrainy jeszcze znacznie przed opanowaniem jej przez bolszewików. I stało się to bez żadnego powodu czy prowokacji z polskiej strony. Stało się nie pod wpływem wybuchu ukraińskich uczuć narodowych, bo tworzące się samodzielne lub tworzone przez Niemców sztuczne „rządy“ czy „rady“ ukraińskie nie miały u własnego ludu żadnego autorytetu i posłuchu — ale jedynie i wyłącznie wskutek podniecenia apetytów zamożnego chłopstwa ukraińskiego na cudzą własność.

Ale tego wszystkiego etyka przywódców ukraińskich nie nazywa krzywdą, domagając się wzamian za to (bo za cóż innego?) szkół, uniwersytetów, półdarmowego roz-

dawnictwa ziemi, zasilenia polskim kapitałem i moralnego równouprawnienia, ba, nawet szacunku z polskiej strony!! A zgadzają się na to, drżąc ze strachu przed własnym cieniem, polscy „ugodowcy za wszelką cenę“, potwierdzając wyraźnie nawet gadki o „ukraińskiej krzywdzie“.

W takich warunkach mowy być oczywiście nie może o jakiemkolwiek rozwiązaniu kwestji ukraińskiej i napróżno łudzi się tem polska i ruska strona, każda oczywiście na swój sposób. Zagojenie ran i pomyślne wyjście z tej sytuacji musi być poprzedzone zdecydowaną operacją, mianowicie dokładną analizą istoty i podstaw polsko-ruskiego sporu oraz ustaleniem obustronnej trzeźwej racji stanu w miejsce namiętnych lub rzewnych sentymentów.

Od czasu, gdy metternichowska zasada „divide et impera“ wzbudziła sztucznie przed stu laty na terenie zgodnego polsko-ruskiego współżycia w Galicji Wschodniej polakożerczy nacjonalizm w sferach stosunkowo bardzo nielicznej wówczas jeszcze inteligencji ruskiej (przeważnie duchownej), który z biegiem czasu rozbił się na dwa przeciwne kierunki — Ukraińców i moskalofilów — nie brakło ze strony polskiej, a wyjątkowo także i ukraińskiej, pewnych sporadycznych usiłowań zapoczątkowania jakiegoś, choćby tylko geograficzną koniecznością dyktowanego modus vivendi. Jeżeli dotąd próby te nie wydały rezultatów, to winna temu z jednej strony nierealna, bo nie licząca się z rzeczywistością ani środkami bezkompromisowość młodej ideologji ukraińskiej, z drugiej krótkowzroczny szowinizm pewnych odłamów społeczeństwa polskiego, który zaćmił u nich w warunkach rozbiorowych dawną tradycję idei państwowo-twórczej, z trzeciej wreszcie wzajemne błędne pojęcia w zakresie istoty antagonizmu polsko- ruskiego, jak i w zakresie obustronnych widoków i celów.

Utarło się przedewszystkiem mniemanie, jakoby dawne walki polsko-kozackie toczyły się na podstawie narodo-

wo-politycznej. Mniemanie w przeważnej części błędne. Cały bowiem szereg powstań ludności ukraińskiej, w ciągu zwłaszcza XVII-go stulecia, miał podłoże, mimo pewnych przeciwnych pozorów, nietyle polityczne, ile w gruncie rzeczy społeczno-gospodarcze. Wprawdzie Chmielnicki, jako szlachcic polski, więc wykształcony w pewnych pojęciach politycznych, usiłował nadać swym wojnom z Rzecząpospolitą także pewne narodowościowe i wyznaniowe zabarwienie. Ale mimo to była to w istocie przedewszystkiem rewolucja szerokich mas ludowych ruskich, z pewną domieszką polską, przeciw polskiemu i ruskiemu możnowładztwu. Niszczono przecież dobra Wiśniowieckich i Potockich narówni z dobrami Kisielów, a lała się przytem krew szlachty obu narodowości, a nawet mieszczan narodowości ruskiej, przytem i żydów, jako ekonomicznych wyzyskiwaczy. Krzywonos wyciął w pień w Połonnem dziesięć tysięcy ludności ruskiej, a kto nie łączył się ze zbuntowaną czernią, szedł pod nóż, bez względu na narodowość i wyznanie. Główna nienawiść kierowała się przeciw rządcom, ekonomom i dzierżawcom.

Była to więc przedewszystkiem walka klasowa i ekonomiczna niższych sfer tubylczej ludności przeciw wyższym sferom, czemu słabo tylko i przeważnie ex post, jakgdyby dla wytłumaczenia bezprawia, wtórowały pewne akcenty polityczne ze strony przywódców buntu.

W dobie nowoczesnych zmagań elementu ukraińskiego z polskim w Galicji charakter społeczno - gospodarczy, mimo znacznie już wzmożonego charakteru politycznego, także jeszcze silnie się przebija. Możnaby twierdzić nawet, że gdyby nie moment różnic majątkowych i społecznych między ludnością ruską a większą własnością polską, ruch czysto polityczny nie robiłby tak szybkich postępów. Łatwiej było inicjatorom antagonizmu polsko-ruskiego w Galicji podszczuwać lud ruski i wyszłą z niego niedawno szczupłą garstką średniej inteligencji przeciw „polskiemu panu“, niż przeciw ludności polskiej wogóle, z którą chłop ruski od-

dawna był zżyty i nawet nie rozumiał powodów do walki. Pomijając więc pewne niezaprzeczone czysto polityczne tendencje powstającej dopiero w pierwszej połowie ubiegłego stulecia warstewki ukraińskiej inteligencji, istotę zmagań stanowią tu znowu społeczno-ekonomiczne odruchy chłopów ruskich i polskich przeciw większej własności jako takiej. Nowoczesny radykalizm polityczny i doktryna walki klasowej, szczepione w szerokie masy ukraińskiej ludności nietylko przez ukraińskich agitatorów, ale i przez polskie partje postępowe, podniecają jej nastawienie przeciw ziemiaństwu kresowemu i polskiej inteligencji wogóle, przyczem kwestja ekonomiczna użyźnia grunt dla radykalnej ukraińskiej propagandy narodowej. Dopiero w ostatniem dziesięcioleciu przed wybuchem wojny światowej zdołał w społeczeństwie ukraińskiem w Galicji Wschodniej moment narodowo-polityczny wysunąć się stanowczo na pierwszy plan, ponad kwestje społeczno-gospodarcze.

Nie wynika stąd, abyśmy mieli zmaganiom polsko-ukraińskim, zarówno w dawnych czasach, jak zwłaszcza w nowszych, przypisywać wyłącznie społeczno-ekonomiczne podłoże. Konstatujemy tylko, że podłoże to dawniej przeważało, z pewnym tylko dodatkiem charakteru walki narodowej, który dopiero stopniowo zaczął się na wierzch wybijać, aż wreszcie w ostatnich latach przed wojną, a zwłaszcza po rozpadnięciu się monarchji austro-węgierskiej, wziął zdecydowanie górę nad innymi względami.

Przykra to może dla Ukraińców prawda, niemniej jednak prawda. Inaczej też w danych warunkach ewolucji historycznej narodu ukraińskiego być nie mogło. Fałszywe są bowiem wszelakie porównania, wysuwane przez dzisiejszych ukraińskich działaczy, między zmaganiami polsko-ukraińskiemi a walką Polaków o niepodległość czy odrębność narodową w zaborze pruskim i rosyjskim. Tu bowiem całe, narodowo dobrze uświadomione społeczeństwo polskie, reprezentowane we wszystkich warstwach, od magnata ziemskiego i wielkiego przemysłowca, aż do chłopa i ro-

botnika, stanęło do walki z obcym najeźdźcą, oparte o tysiącletnią historję, wysoką kulturę i niedawne tradycje mocarstwowe. Walczyło z bronią w ręku przeciw wojskom zaborczym lub pracą organiczną przeciw zalewowi obcej kultury i kapitału. Nie paliło i niszczyło cudzego mienia, nie mordowało masowo obcej ludności cywilnej, walcząc tylko na własnej ziemi o odbiór tego, co mu wczoraj brutalną przemocą zabrano. Moment społeczno-gospodarczy, doktryna walki klasowej, nie odgrywały u Polaków w zmaganiach z zaborcą żadnej roli, za wyjątkiem oczywiście sielankowych umizgów międzynarodowych polskiego socjalizmu, w którym doktryna Marxa wraz z pewnem patrjotycznem poczuciem dziwny wytworzyły chaos. Poza tem jednak całe polskie społeczeństwo kwestje społeczno-gospodarcze w walce z nieprzyjacielem nietylko nie dzieliły, ale przeciwnie, łączyły, łagodząc przeciwieństwa. Wszak zawsze, aż do ostatnich czasów, walka z Moskalem czy Pruskiem, o ile tylko mogła się gdziekolwiek ujawnić, była tym momentem, który zawieszał w Polsce antagonizmy klasowe i zrzeszał wszystkie warstwy społeczeństwa przynajmniej na chwilę pod jednym sztandarem. Celem walk naszych była zawsze Polska i nic więcej. Nie rozróżnialiśmy warstw społecznych w nieprzyjacielskich szeregach, ale zawsze tylko wrogie nam ich barwy państwowe.

Inaczej społeczeństwo ukraińskie. Tam czysta idea narodowa i niepodległościowa powstaje, a raczej regeneruje się stosunkowo od niedawna, wyłaniając się i kształtując na podłożu walki klasowej i to w społeczeństwie o ustroju kadłubowym, złożonym z nieoświeconych warstw włościańskich (w przeważnej swej części za rosyjskim kordonem wogóle narodowo nieuświadomionych) i z nielicznej, na polskiej kulturze wychowanej inteligencji. To też, o ile społeczeństwo polskie żyło w ciągu swej zaledwie stuletniej niewoli pełnią narodowego uświadomienia i gorącą żądzą odzyskania niedawno utraconej niepodległości, posiadając— oprócz siły zbrojnej — wszystkie warunki do stworzenia

i utrzymania samodzielnego państwa, to narodową ideę ukraińską trzeba było po wielosetletnim, niemal kompletnym zaniku i po dokonanej stopniowo polonizacji czy rusyfikacji niemal wszystkich wyższych sfer ukraińskiego społeczeństwa, z trudem dopiero na nowo regenerować.

Wszak niepodległość państw południowo-ruskich, obejmujących dzisiejszą Ukrainę i Podole, zniszczoną została pod jarzmem tatarskiem już w XIII-ym wieku, a Rusi Czerwonej w XIV-ym przez inkorporację jej do państwa polskiego — a więc w czasach średniowiecza, gdzie nowoczesne pojęcia patrjotyzmu narodowego nie istniały prawie nigdzie jeszcze w Europie. Państwowość ruska, a z nią stopniowo wszelka wyższa ruska kultura, tradycja i inne warunki państwowo-twórcze zaginęły. W paręset lat potem zbudziła się pewna idea ukraińska sui generis, ale bynajmniej nie z łona samego społeczeństwa, zamieszkującego ziemie podolsko-ukraińskie, lecz rozniecona buntem kozaczyzny, wymierzonym w pierwszym rzędzie przeciw magnackim latyfundjom i rządom podstarościch. Że zaś kozaczyzna nie była tworem wyłącznie narodowo-ruskim, ale w znacznym stopniu międzynarodowym, bez żadnej wyższej idei, dlatego skierowała dążenia mas ludowych podolsko-ukraińskich w najfałszywszym kierunku z punktu widzenia ukraińskiej racji stanu, mianowicie buntując je z pomocą tatarską, potem turecką, przeciw jedynemu państwu, które we własnym interesie mogło stać się podstawą od odbudowy ruskiej kultury i państwowości — to jest przeciw Polsce.

Był to pierwszy, zasadniczy, głęboko sięgający błąd przywódców kozackich XVII-go wieku, który pomścił się na społeczeństwie ukraińskiem przez oddanie go w ostatecznym rezultacie w długoletnią rosyjską niewolę, w której olbrzymia większość ludu ukraińskiego dotąd cierpi i to coraz dotkliwiej, przyczyniając się żyzną swą ziemią i jej przyrodzonemi bogactwami do wzmagania potęgi zachłannego rosyjskiego kolosa. A w interesie rosyjskiej racji stanu,

w przeciwieństwie do polskiej, leży oczywiście całkowite zniszczenie i wchłonięcie ukraińskiej odrębności, nie wyłączając obszaru Małopolski Wschodniej i bezwzględna tych ziem rusyfikacja, która pod rosyjskim zaborem, mimo wszelkich nowoczesnych przeciwnych pozorów, wywołanych raczej różnicą temperamentu mieszkańców północnej a południowej Rosji, ogromne zrobiła potsępy.

Trudno zaiste zrozumieć psychikę i politykę hetmanów ukraińskich, którzy w dziwnem jakiemś zaślepieniu wykopali sztucznie przepaść między swym ludem o zdemokratyzowaną od XVII-go wieku Rzecząpospolitą polską, oddając się natomiast na usługi zaborczego, dzikiego imperjalizmu muzułmańskiego, a w końcu na łaskę i niełaskę moskiewskiego caratu!

Błąd ten kardynalny przesądził wówczas sprawę kształtowania się jakiejkolwiek państwowości ukraińskiej. Żaden Rusin czy Ukrainiec twierdzić chyba nie może na serjo, żeby przez rozpływanie się w eurazjatyckim kolosie, pod ciężkiem jarzmem carskiem czy bolszewickiem, sprawa rusko-ukraińska doznawała pożądanego poparcia.

Szczęściem było dla losów sprawy ukraińskiej, że chociaż drobna cząstka Podola, z ludnością coprawda od wieków już mieszaną, polsko-ruską, dostała się przy rozbiorach Polski pod berło austrjackie, a po wojnie światowej znalazła się w obrębie granic wskrzeszonego państwa polskiego. Gdyby bowiem i Galicja Wschodnia weszła była swego czasu pod jarzmo caratu, który nie uznawał wcale nietylko Ukraińców, ale nawet Rusinów, uważając Galicję Wschodnią po San, czy nawet aż po Dunajec, za ziemię odwiecznie rosyjską, to sprawa ukraińska wogóleby dzisiaj już nie istniała. Należy to stwierdzić w imię prawdy i objektywizmu z całym naciskiem. Bo przecież pewne anemiczne „małorosyjskie“ tendencje czy literackie wysiłki szczupłego grona jednostek w Kijowszczyźnie, które starały się odświeżać zamarłe tradycje, nie byłyby wywarły żadnego skutku, gdyby nie silne podniety narodowo-ukraiń-

skie, promieniejące — dziwną ironją losu — z polskiego Lwowa, tego Lwowa, który w czasie wojen kozackich oparł się tak mężnie kozacko-ukraińskiej nawale, dokumentując tem samem już przed trzystu laty swą integralną przynależność ideową i faktyczną do Rzeczypospolitej.

Powinno to było stanowić wyraźną wskazówkę dla twórców nowego ukraińskiego ruchu pod zaborem austrjackim. Powinno było otworzyć im oczy, gdzie w swych dążeniach narodowych mają szukać jedynie możliwego oparcia. Niestety, w bezkrytycznej swej zawziętości przeciw wszystkiemu, co polskie, odziedziczonej widocznie po niefortunnej polityce hetmańskiej, przeoczyli znowu wszelką rozumną rację stanu sprawy ukraińskiej i, denerwując się drobiazgowymi sporami z polską miejscową administracją czy większą własnością ziemską, czy wreszcie z niefortunnym nacjonalizmem polskiej narodowej demokracji, która w tym czasie zaczęła chorować właśnie na zboczenie moskalofilskie, wydali walkę polskości, roznosząc nadto antypolską propagandę po całym świecie w sposób niesłychanie przejaskrawiony i to przy stwierdzonej pomocy finansowej i dyplomatycznej Niemiec. Bardziej lekkomyślnego samobójstwa narodowego w danych warunkach trudno sobie wyobrazić!

Niejednokrotne wyciągnięcie ręki w tym czasie z poważnej polskiej strony, między innemi tak zdecydowane i wyraźne ze strony namiestnika Bobrzyńskiego, który dla sprawy ukraińskiej najbardziej endeckiemu szowinizmowi się naraził, żadnego niestety nie odniosło skutku. Jedyną odpowiedzią ze strony ukraińskiej było bezwględne hasło: Lacha za San! — hasło nierealne, nieziszczalne, a podcinające z miejsca wszelkie szczere usiłowania posunięcia naprzód sprawy ukraińskiej.

Błędna ta z punktu widzenia ukraińskiej racji stanu polityka wzmocniona została jeszcze po wskrzeszeniu Polski.

Przedewszystkiem w okresie, gdy Naczelnik państwa

Piłsudski, kierując się daleko sięgającą myślą polityczną, tworzył z wielkim wysiłkiem armję Rzeczypospolitej, walcząc z krótkowzrocznym nacjonalizmem narodowej demokracji i przygotowując wyprawę kijowską, która miała stworzyć wogóle jakiekolwiek pierwsze podstawy do zapoczątkowania na serjo sprawy państwowości ukraińskiej — w tym właśnie okresie bezkrytyczny szowinizm małopolskich Ukraińców, podżegany przez resztki austrjackiego A. O. K. w rozkładzie, oraz przez tajne wpływy niemieckie, rozpalił walkę o Lwów, prowadzoną nie bez okrucieństw ze strony ukraińskiej. Temsamem sparaliżowane zostały w znacznym stopniu wysiłki polskie, zmierzające do wyzwolenia rosyjskiej Ukrainy z pod bolszewickiego panowania i położenia w niej pierwszych zrębów państwowości ukraińskiej daleko szczerzej i uczciwiej od rabunkowych tendencji niedawnej okupacji niemieckiej, skoro powstanie złączonego z Polską jakąś unją czy federacją państwa ukraińskiego, z Kijowem, Charkowem i Odessą, leżało i leży w najżywotniejszym interesie Rzeczypospolitej. W tem więc zamierzeniu, mającem naprawić dawne historyczne błędy polskie i ukraińskie, Ukraińcy małopolscy nietylko nie poparli swej własnej, najoczywistszej racji stanu, ale kontynuując i pogłębiając porozumienie z perfidnym Prusakiem, tworząc oficjalne ambasady i placówki propagandy antypolskiej w Berlinie, Pradze, Genewie, Ameryce i gdzieindziej i występując wszędzie zajadle przeciw państwu polskiemu, dowiedli, że nie pragną na serjo wskrzeszenia swej państwowości, tylko czegoś innego, czego nie może zrozumieć dotąd ani polskie społeczeństwo, ani świat cały. Bo przecież oczywistym jest absurdem i fikcją tworzenie niepodległej Ukrainy przez równoczesne oderwanie od Rosji jej głównego śpichrza zbożowego na południu, z dostępem do morza Czarnego, czego Rosja, siłą nie pokonana, nigdy nie dopuści, a od Polski Małopolski Wschodniej, stanowiącej od sześciuset lat jej integralną część składową, na co Polska także nigdy się nie zgodzi.

Obecnie sprawa ukraińska przegraną została na całej linji i na całym świecie. Liga Narodów i wszystkie państwa zachodnie doskonale są poinformowane o stosunkach w Małopolsce Wschodniej. Nie pomoże już żadna agitacja antypolska, bo na podstawie własnych informacji wiedzą wszyscy na zachodzie, że ogół ludności polskiej kresowej, nie wyłączając większej własności i administracji państwowej, nie odczuwa, ani nie kieruje się żadną nienawiścią do ludności ukraińskiej i że posiada ona w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu tak szerokie swobody i możności narodowego rozwoju, jakich nie posiada z pewnością żadna mniejszość narodowa w żadnem innem państwie na świecie. Wiadomo również dobrze zagranicą, że, ogółem biorąc i pomijając wypadki chwilowego sztucznego podniecenia przez agitatorów, szerokie masy włościaństwa ukraińskiego nie bardzo reagują na propagandę antypolską, nie pragnąc w gruncie rzeczy niczego innego, jak spokojnego stosunku z dworem i starostwem i oczywiście polepszenia warunków gospodarczych, na co zresztą cierpi cała Polska i nietylko Polska. Wiadomo również, że agitacja ukraińska prowadzona jest dzisiaj jeszcze w znacznej części moralnem i materjalnem poparciem z Berlina, że w różnych kooperatywach i bankach ukraińskich czynny jest kapitał niemiecki. I dlatego skarg ukraińskich zagranicą nikt już na serjo nie traktuje. Natomiast takie nieprzejednane stanowisko Ukraińców wywołuje w naturalnej konsekwencji zbliżenie między Warszawą a Moskwą.

W takich warunkach przyzna każdy objektywny sędzia, że o jakiemkolwiek rozumnem postawieniu sprawy ukraińskiej mowy być nie może. Nastawienie polityczne i psychologiczne inteligencji ukraińskiej musi zmienić się do gruntu i stanąć na platformie rozumnej racji stanu, która napotka niewątpliwie szczerą dłoń polskiej racji stanu, mimo chwilowego krzyku i protestu nacjonalistów czy socjalnych radykałów z jednej i drugiej strony.

Przedewszystkiem więc zniknąć musi doszczętnie an-

typolska zagraniczna propaganda, która drażni uczucia Polaków i podnieca kontrakcję wewnętrzno-państwową polskiego nacjonalizmu. Zwłaszcza zaś zerwać muszą Ukraińcy wszelki stosunek z Niemcami, bo takiej, za pruskie pieniądze budowanej Ukrainie stanie oporem cała Polska bez różnicy przekonań politycznych, a nawet i wśród zakordonowych sympatyków idei ukraińskiej taki sposób rozwiązania sprawy à la Skoropadski z całą pewnością nie dozna powodzenia.

To jedno — i na tym punkcie niemasz i nie może być kompromisu. Powtóre musi inteligencja ukraińska otworzyć oczy na rzeczywistość, iż tylko przy pomocy niepodległej Polski może kiedyś doprowadzić do stworzenia wielkiej, niepodległej Ukrainy, oczywiście pod tym jedynym warunkiem, że rozbudowa tej Ukrainy złączona będzie od samego początku, integralnie, z ideą jakiejś bardzo ścisłej unji czy federacji z Polską. Jak bowiem ongiś unja Polski z Litwą, spodowana — mimo poprzednich walk zaciętych — obustronną rozumną racją stanu, umożliwiła pokonanie imperjalizmu krzyżackiego, tak obecnie podobna unja polsko-ukraińska niezbędną jest dla obu narodów celem skutecznego oparcia się imperjalizmowi eurazjatyckiego kolosu. Dlatego też żaden trzeźwo myślący polski polityk nie może przeciwstawiać się idei państwa wielko-ukraińskiego, ale przeciwnie, uważać musi jego realizację za postulat polskiej racji stanu. Ale strona ukraińska powinna stanąć na tem samem stanowisku, przekreślając swą bezkrytyczną, samobójczą taktykę antypolskiego nastawienia.

Przypuściwszy, że te podstawowe warunki, wyżej wymienione, już się spełniły, co zależy wyłącznie od strony ukraińskiej, zastanówmy się objektywnie, jaką drogą mogą wytworzyć się realne podstawy państwowości ukraińskiej i jaką w tem Polska może przynieść pomoc? Bo stwierdzić należy, że narazie, pomijając już położenie polityczne, naród ukraiński realnych warunków do stworzenia własnej państwowości jeszcze nie posiada.

Nowoczesne warunki państwowego bytu odmienne są zupełnie w samej swej istocie od tych, które dawniej wystarczały mniejwięcej na założenie i utrzymanie — przynajmniej przez czas pewien — samodzielnego państwa. Wystarczało dawniej pewne poczucie wspólnoty szczepowej i możność wsadzenia na koń tylu a tylu tysięcy zbrojnego ludu pod energicznem dowództwem. Istnienie zaś państwa dzisiaj wymaga już kompletnego organizmu społecznego, wykształconego w całokształtcie różnych sfer społecznych i zawodowych, których kolaboracja jest niezbędną dla zadośćuczynienia kulturalnym, ustrojowym i gospodarczym warunkom niezależnego politycznego bytu. Wymaga następnie dostatecznej rozbudowy podstaw materjalnych państwa, a więc stworzenia odpowiednich gałęzi przemysłu, handlu, rolnictwa i finansów. Wymaga wreszcie pewnych zrębów administracyjnego aparatu i odpowiedniego w tym zakresie doświadczenia. Bez tego, samą dobrą wolą i patrjotycznem uczuciem, a nawet dostarczeniem pewnej ilości armat i karabinów maszynowych, nie stworzy się państwa w XX-ym wieku, a w żadnym razie niepodobna byłoby go utrzymać.

Wszak nawet Polska, bardzo znacznie górująca nad społeczeństwem ukraińskiem w tych wszystkich dziedzinach, mogła zmartwychwstać jedynie tylko przez jakiś cudowny zbieg okoliczności, który chwilowo osłabił i rozbił jej zaborców, a mimo to wielkie miała i ma po dziś dzień jeszcze kłopoty z należytem ugruntowaniem i wzmocnieniem swego organizmu państwowego. A cóż dopiero wielce niekompletny naród ukraiński, złożony w olbrzymiej większości z mas włościańskich o niskiej kulturze oraz z bardzo stosunkowo młodej i szczupłej warstwy inteligencji, która z natury rzeczy bardzo jeszcze słabo reprezentuje całokształt kulturalnych i materjalnych warunków, niezbędnych dla stworzenia silnego państwowego organizmu. Brak społeczeństwu ukraińskiemu nawet jakiejś trwalszej tradycji i historycznych wzorów, na których oprzećby się mogło, bo przecież nie przydadzą mu się na nic prastare reminiscencje bizantyń-

skie, ani wpomnienia buntów kozackich, które wiele zburzyły, ale niczego chyba nie stworzyły.

Dlatego niemasz narazie w społeczeństwie ukraińskiem realnych podstaw dla kształcenia nowoczesnych sił państwo-wo-twórczych, a te resztki walorów narodowych, które mu jeszcze pozostały, giną pod obuchem moskiewskim, mimo wszelkich pozorów t. zw. Sowieckiej Ukrainy, a z tej strony Zbrucza marnują się na samobjczą, jałową walkę z wielekroć silniejszem pod każdym względem społeczeństwem polskiem, idąc nadto na lep czy to krzyżackiej perfidji, czy destrukcyjnej demagogji polskich partji radykalnych.

Gdyby jednak w poważnych sferach inteligencji ukraińskiej nastąpił stanowczy a szczery zwrot w kierunku do Polski, to stępiałoby najpierw ostrze nacjonalizmu polskiego, skierowane dzisiaj niecałkiem bez powodu przeciw Ukraińcom, a natomiast społeczeństwo polskie dopomogłoby im niewątpliwie w pracy nad tworzeniem czegoś w rodzaju Piemontu ukraińskiego, jako wszechstronnie zorganizowanego zalążku przyszłej Wielkiej Ukrainy. Ale kardynalnym warunkiem takiej współpracy musi być oczywiście możność zapoczątkowania jej wogóle, a więc stworzenie momentu wzajemnego zaufania między Polakiem a Ukraińcem i szczerego porozumienia. **Muszą najpierw Ukraińcy stać się w Polsce elementem twórczym na rzecz państwowości polskiej, aby mogli kiedyś później stać się nim na rzecz państwowości własnej.** Muszą następnie zrozumieć, że nie mogą liczyć na serjo na żadną pomoc zagraniczną, ani na zachodzie, ani oczywiście tem mniej na wschodzie i że jedyną perspektywą ich marzeń i dążeń narodowych może być tylko cierpliwa, organiczna praca w kierunku wskrzeszenia niepodległej Rusi południowej, związanej silnymi a serdecznymi węzłami z Polską dla wspólnej, odwiecznej, a tak źle przez żywioł ukraiński zrozumianej misji dziejowej.

Jedna jeszcze ogólna uwaga. Głębszą racją powstania niepodległej Ukrainy byłoby przesunięcie na wschód granic

cywilizowanej Europy, która dzisiaj kończy się na linji, traktatem ryskim sztucznie pociągniętej. Musi więc społeczeństwo ukraińskie wejść w orbitę cywilizacji zachodniej. Jest to również niezbędny warunek jego już nietylko państwowego, ale choćby narodowego bytu. Inaczej, trzymając się uparcie dawnych form bizantyńskich czy starosłowiańskich w religji, pisowni i kulturze, będzie zawsze skazane na łup moskiewskiego imperjalizmu i jego wschodniej, rozkładowej kultury. Myli się społeczeństwo ukraińskie w przekonaniu, że tkwienie w starodawnych grecko-słowiańskich formach zabezpiecza jego odrębność narodową. Wprost przeciwnie, owe kopułki bizantyńskie oraz alfabet, utrudniający Ukraińcom wymianę kulturalną z cywilizowanym światem, przyczyniają się w wysokim stopniu do tego wrażenia inteligencji ukraińskiej, że jest „protekcjonalnie" traktowana przez Polaków.

Podkreślam wyraźnie, że nie mam tu bynajmniej na myśli kwestji wyznaniowych, ale jedynie pewne dla podniesienia ukraińskiej kultury niezbędne zbliżenie się do zachodniej kultury pod groźbą w przeciwnym razie pozostania ukraińskiego narodu zawsze pod wpływem cywilizacji wschodniej, a więc mimowoli na niższym szczeblu cywilizacji.

Reasumując, stwierdzić mogę, że wszelkie pozytywne dążenia narodu ukraińskiego w kierunku stworzenia własnej państwowości, nawet w szerokim zakresie, spotkają się ze szczerem zrozumieniem i życzliwą współpracą całego rozumnie myślącego społeczeństwa polskiego, o ile stworzony zostanie przez Ukraińców moment zaufania, a idea niepodległej państwowości ukraińskiej kształcić się będzie bez zastrzeżeń na platformie ścisłej unji z Polską i dążenia do wspólnych historycznych celów. Szukanie zaś z ukraińskiej strony rozwiązania tej kwestji na froncie antypolskim i przy pomocy bezkrytycznego społecznego radykalizmu, na który pionierzy nowej państwowości w żadnym razie pozwolić sobie nie mogą, niszczy zgóry wszelką możliwość realizacji

marzeń o Wielkiej Ukrainie, skoro zamiast zjednywać szczerze dla tej myśli Polskę, jedynie dla niej z natury rzeczy zainteresowaną, jednoczy przeciw niej wszystkie, zajmujące ziemie ukraińskie lub graniczące z niemi państwa, zaniepokojone w równej mierze koncepcją idei ukraińskiej, wszystkim dotąd wrogiej.

Decyzja więc i wybór drogi zależą obecnie wyłącznie od Ukraińców. Życzyć należy, aby nie dali powodować się polityce nerwów i pustym hasłom t. zw. „krzywdy", ale żeby przeważyła w rozsądnych umysłach naszego bratniego narodu szczera, nowoczesna racja stanu. Nietyle zagadnienie zgodnego współżycia społeczeństwa polskiego z ukraińskiem na terenie Małopolski Wschodniej czy Wołynia powinno być głównym przedmiotem koordynacji polsko-ruskiej współpracy. To zgodne współżycie już bowiem oddawna istnieje, mącone tylko niestety destrukcyjną agitacją ukraińskich nacjonalistów i wywrotowców oraz polskich radykałów socjalnych. Dlatego więc współżycie to, jak już wspominaliśmy, nie stanowi żadnego istotnego problemu i to tembardziej, że cel wspomnianej agitacji jest dla Ukraińców całkiem nierealny. Oderwanie bowiem jakichś dwuch czy trzech południowo - wschodnich województw od Rzeczypospolitej i stworzenie z nich jakiejś maleńkiej republiki ukraińsko-radykalnej, równałoby się skazaniu resztek ukrainizmu na zagładę. Takie państewko nie długoby się utrzymało i albo wróciłoby do polskiej macierzy, albo dostało się prędzej czy później pod obcy reżim, stokroć gorszy w każdym razie od tego, na który się obecnie przywódcy ukraińscy skarżą przed całym światem.

Muszą wreszcie realni politycy ukraińscy w swoich planach i marzeniach przyszłości uwzględnić bez zastrzeżeń pewne rezultaty ewolucji historycznej i nie rozciągać z uporem swych pretensji do pewnych obszarów, które ongiś wprawdzie stanowiły dziedzictwo ukraińskiego narodu, ale dawno już być niem przestały. Żadnemu z Polaków nie przyjdzie dzisiaj na myśl pożądać niemieckiego Wrocławia,

chociaż był on za piastowskich czasów stolicą jednej z najrdzenniejszych polskich prowincji. Liczymy się z faktem oczywistym, historją sześciu wieków przypieczętowanym, że Śląsk dzisiejszy, za wyjątkiem małego południowego skrawka, jest ziemią rdzennie niemiecką. Podobnie winni rozumni Ukraińcy zdać sobie sprawę, że Lwów i w znacznym stopniu dawna Ruś Czerwona, są od sześciu wieków, mimo ludności częściowo mieszanej, integralną częścią składową ziem polskich i nieodłączną zdobyczą polskiej państwowości i kultury. Dlatego także kwestję ustalenia granic między polskim a ukraińskim zasięgiem władania odsunąć musimy stanowczo do chwili realizacji Wielkiej Ukrainy. Pociągnięcie ich już dzisiaj przez ziemie Małopolski Wschodniej, a więc wytworzenie jakiegoś federacyjnego państewka w państwie, byłoby dla sprawy ukraińskiej nieistotnem, a dla Polski wielce szkodliwem.

Na tych podstawach możemy szczerze i uczciwie współdziałać. Na innych nie i — zdaniem naszem — inne kierunki idei ukraińskiej nie mają żadnych widoków powodzenia.

J. B.

KWESTJA WYZNANIOWA W POLSCE

Kwestja wyznaniowa w Polsce stoi w rzędzie najważniejszych problemów państwowych. Posiada ona niezwykle doniosłe znaczenie właśnie w Polsce, a to z tego powodu, iż łączą się z nią ściśle pierwszorzędne zagadnienia narodowościowe, od których rozwiązania, — a dotyczy to całkiem szczególnie Kresów Wschodnich — zależeć będzie w znacznej mierze przyszły rozwój mocarstwowy Polski. Na problemy wyznaniowe patrzeć należy u nas w Polsce z szerokiej perspektywy historycznej. Podczas, gdy potężny rozmach w tym względzie cechował politykę dawnej Rzeczypospolitej, znajduje się państwowa polityka wyznaniowa w odrodzonej Polsce, śmiało to rzec można, dopiero w powijakach; a o ile chodzi o społeczeństwo, to dyskusja na ten temat nie posiada dotąd odpowiedniego poziomu. Przyznać trzeba, że doniosłość spraw wyznaniowych nie jest u nas należycie doceniana w obecnych czasach. Powinniśmy tutaj czerpać z doświadczeń minionych wieków, a za przestrogę mieć niezwykle szkodliwe skutki tego niedoceniania znaczenia sprawy wyznaniowej, które niejdnokrotnie znajdowały wyraz w interwencji państw sąsiednich.

Trudnem zadaniem będzie przedstawienie, choćby tylko w najogólniejszych zarysach, kwestji wyznaniowej w niniejszej szczupłej rozprawie. Dla scharakteryzowania całokształtu tego zagadnienia należałoby napisać nie krótką rozprawę, ale obszerną pracę. Mamy nawet już dwie książki w tej dziedzinie. Jedna, mniejsza, d-ra Stanisława Piekarskiego, b. dyrektora departamentu Wyznań Religijnych Min. W. R. i O. P., p. t. „Wyznania religijne w Polsce“, a druga, obszerniejsza, Wiktora Piotrowicza, kierownika oddziału Wyznań w Wileńskim Urzędzie Wojewódzkim,

p. t. „Z zagadnień wyznaniowych w Polsce“. Pierwsza, jakkolwiek nie pozbawiona pewnych walorów, daje nam tylko pobieżny rzut oka na położenie prawne poszczególnych wyznań w Polsce. Druga, posiadająca wysoki poziom i stanowiąca wcale obszerną rozprawę na temat zagadnień wyznaniowych, jest jednak napisana fragmentarycznie, a raczej niejednolicie. Autor bowiem, który np. daje wyczerpującą charakterystykę — oczywiście ze swego punktu widzenia — Cerkwi prawosławnej, nader szczupłe miejsce poświęca w pracy swojej Kościołowi katolickiemu.

O ile chodzi o niniejszą krótką rozprawę, to zadaniem jej jest uwypuklenie najważniejszych momentów kwestji wyznaniowej w Polsce oraz wskazanie na najpilniejsze potrzeby w tej dziedzinie, o ile chodzi o nasz pogląd na racjonalną politykę wyznaniową państwa.

Tempo państwowej polityki wyznaniowej, jak to już powyżej wspomnieliśmy, nie odznacza się, jak dotychczas przynajmniej, żywością i aktywnością. Polityka ta nie jest właściwie skonkretyzowana. Cechuje ją powolność, o ile chodzi o wykonywanie postanowień, zawartych w Konkordacie, normującym położenie prawne Kościoła katolickiego w państwie, a toż samo przy regulowaniu stosunków prawnych innych wyznań. W ciągu jedenastu lat zdołano zaledwie unormować prawnie stosunki z Kościołem katolickim przez zawarcie w 1925 r. Konkordatu ze Stolicą Apostolską, wydać tymczasowe przepisy o stosunku rządu do Kościoła prawosławnego, uregulować prawne położenie gmin wyznaniowych żydowskich na Ziemiach Wschodnich, a wreszcie wydać statut dla staroobrzędowców.

Tymczasem życie wysuwa szereg pilnych zagadnień wyznaniowych na pierwszy plan.

O ile chodzi o Kościół katolicki, którego prawne położenie w państwie na zasadzie Konstytucji i Konkordatu powszechnie jest znane, to obok szeregu spraw pierwszorzędnej wagi, jak samego wykonania Konkordatu, albo rewindykacji świątyń niegdyś katolickich i unickich, zagrabionych

przez rządy rosyjskie, wyłania się nadzwyczaj ważne zagadnienie obrządku wschodniego i prac unjonistycznych Kościoła, oraz wiele innych spraw, posiadających zarówno dla Kościoła, jak i dla państwa wielkie znaczenie.

Konkordat przewiduje w art. 24-tym, na zasadzie którego uznane zostaje przez państwo prawo osób prawnych kościelnych i zakonnych do wszelkiego majątku, jakie posiadają te osoby prawne na obszarze Rzeczypospolitej, wpisanie prawa własności do ksiąg hipotecznych na imię posiadających te prawa osób prawnych, a więc biskupstw, kongregacji, zakonów, seminarjów duchownych, oraz beneficjów proboszczowskich i innych. Chodzi więc o objekty, które Kościół ma już w posiadaniu i które nie stanowią kwestji spornych, a pomimo to nie jest dotychczas prawo własności Kościoła hipotecznie zapisane. Tak przedstawia się sprawa z wszystkiemi probostwami w byłym zaborze rosyjskim, tak samo ma się rzecz z t. zw. funduszem religijnym w byłym zaborze austrjackim. Intabulacja dóbr kościelnych odbywa się w powolnem tempie, tak, że do chwili obecnej tylko nieliczne objekty zostały zaintabulowane.

Sprawa dóbr, których Kościół został pozbawiony przez byłe rządy zaborcze, a które obecnie znajdują się w posiadaniu państwa polskiego, ma być na zasadzie Konkordatu, jak wiadomo, załatwiona przez późniejszy układ. Otóż prace komisji mieszanej, powołanej w tym celu do życia, złożonej z przedstawicieli rządu i episkopatu, a mającej za zadanie wydawanie opinji co do poszczególnych objektów, nie posuwają się naprzód.

Sprawa wykonania Konkordatu należy do rzędu najpilniejszych spraw, o ile chodzi o Kościół katolicki. Od rychłego, zgodnego z zaciągniętemi przez państwo wobec Stolicy Apostolskiej zobowiązaniami wykonania, zależeć będzie w znacznej mierze przyszłe kształtowanie się stosunku państwa i narodu polskiego do Kościoła i Stolicy Apostolskiej, co nie pozostanie bez głębokiego wpływu także na rozwój naszych stosunków politycznych i socjalnych. A odnosi się

to przedewszystkiem do losów rozgrywającej się obecnie w umysłach szerokich warstw naszego społeczeństwa walnej rozprawy między światopoglądem chrześcijańskim a doktryną Marxa.

Wielkie znaczenie dla stosunków pomiędzy Kościołem a najliczniejszem w Polsce po niem wyznaniem, czyli prawosławiem, posiada sprawa rewindykacji dawnych świątyń i klasztorów katolickich i unickich. Jak wiadomo, wytoczył episkopat Cerkwi prawosławnej cały szereg procesów o zwrot tych objektów, kierując się przytem wielkim umiarem, gdyż wystąpił tylko o zwrot zaledwie jednej ich części, jak np. w djecezji wileńskiej o 113 świątyń na ogólną liczbę zagrabionych 464. Episkopat znajduje się bowiem w tym wypadku z jednej strony wobec faktu, że wierni muszą niekiedy odbywać dziesiątki kilometrów drogi do kościoła, podczas gdy po drodze mają świątynie katolickie, zabrane przez rząd rosyjski i oddane Cerkwi prawosławnej, a z drugiej strony groziło Kościołowi przedawnienie praw do swoich niegdyś świątyń i klasztorów.

Sprawa ta wywołała burzę protestów ze strony Cerkwi prawosławnej. Jakkolwiek słusznem być może ze stanowiska Cerkwi, że protestuje przeciwko tej swojej, rzec można, subjektywnej krzywdzie w obliczu niebezpieczeństwa utraty swoich świątyń, które od dziesiątków lat posiadała, to jednak argumentacja strony prawosławnej nie wytrzymuje krytyki. Tak np. twierdzi się, że świątynie niegdyś unickie należą prawnie do Cerkwi prawosławnej, gdyż zostały przez prawosławnych zbudowane. A więc prawosławni rozumują w ten sposób, że unickie świątynie, po przystąpieniu unji do prawosławia dzięki czynowi Siemaszki i jego wspólników, stały się tem samem prawosławnemi. Ale więcej jeszcze, twierdzi się, że biskupi katoliccy sięgają po świątynie, które prawosławni zbudowali i wymienia się np. sobory w Łucku, Krzemieńcu i Pińsku, które jednak w rzeczywistości zostały zbudowane jako katolickie i łacińskie.

Że taki podział na dwie kategorje spornych objektów, czyli na po-łacińskie i po-unickie, mógłby przy ewentualnym przyszłym kompromisie być wzięty pod uwagę przez Kościół katolicki, nie jest wcale wykluczone, tem niemniej argumentacja strony prawosławnej, o której była mowa powyżej, wcale nie trafia do przekonania.

Co się tyczy możliwości oddania Kościołowi w drodze administracyjnej, czyli przez przekazanie ich przez rząd, objektów spornych, o które zmuszony był Kościół w końcu wystąpić do sądów, to, jak wiadomo, rząd uznał sposób ten za niemożliwy do zastosowania. Nadmienić tu należy dla ścisłości, że były jednak wypadki oddania świątyń Kościołowi w drodze administracyjnej, jak np. w Murowance, w województwie Nowogródzkiem i w Kostomłotach, w woj. Lubelskiem.

O ile chodzi o kwestję akcji unijnej Kościoła, to zaznaczyć przedewszystkiem należy, że spotyka się ona z dość różną oceną w łonie społeczeństwa polskiego. Przedewszystkiem podkreślić trzeba, że pewne braki, jakie ona wykazuje, nie mogą jeszcze dawać podstawy do dyskwalifikowania, że się tak wyrazimy, całej tej akcji, tak niezmiernie ważnej zarówno dla Kościoła, jak i państwa. Chętnie zarzuca się akcji unijnej cele polityczne. Nietaktowne jakoby propagowanie unji pogłębiać ma rozdział pomiędzy katolicyzmem i prawosławiem, oraz powiększać nieufność ludności prawosławnej do państwa. Jakkolwiek wiele słuszności może w tem być, że element, który ma stanowić ostoję akcji unijnej, czyli księża obrządku wschodniego, nawróceni duchowni prawosławni, w wielu wypadkach dużo pozostawiają do życzenia, to jednak nie stanowi to jeszcze czynnika decydującego w powodzeniu całej akcji. Zresztą akcja unijna znajduje się w Polsce odrodzonej zaledwie w początkach.

Na tem miejscu podkreślić należy tę niezwykle ważną rolę Polski w akcji unjonistycznej Rzymu. Na ziemie bowiem, położone na wschodniej rubieży Polski, posiadające dla niej pierwszorzędne znaczenie tak pod względem poli-

tycznym, jak ekonomicznym, zwrócona jest jednocześnie szczególna uwaga papieskiego Rzymu. Naturalnym kierunkiem ekspansji kulturalnej i gospodarczej Polski jest, od najdawniejszych czasów po dzień dzisiejszy, przedewszystkiem Wschód. Na tymże samym odcinku świata skupia się również szczególna uwaga Kościoła, w którego programie stanęła w ostatnich czasach na jednem z naczelnych miejsc kwestja unji Kościołów. Już sam fakt jednoczesności tych dążeń musi zwrócić uwagę każdego. Historja potwierdza, że Polska od najdawniejszych czasów stanowi jedyny w Europie kraj, o który trwale i pewnie oprzeć się może Rzym w swej akcji unijnej. Chwila, gdy runął w Rosji carat i związany z nim cezaropapizm, stała się zarówno dla Polski, jak i dla Rzymu wydarzeniem niezwykłej doniosłości. Żelazna obręcz, jaką opasana była Rosja, pękła. Przeszkoda polityczna, jaką był dla wpływów rzymskich cezaropapizm, jednoczący w sobie najwyższą władzę państwową i kościelną, dzisiaj już nie istnieje. Bezpośrednia atoli penetracja Rzymu do prawosławnej Rosji utrudniona była zarówno w okresie, kiedy to cezaropapizm w swej podwójnej roli, politycznej i religijnej, zamykał hermetycznie granice przed wpływami Rzymu, jak również trudną jest po jego upadku. I tu na pierwszy plan wysuwa się katolicka Polska. „Unja możliwą jest tylko przy pomocy Polski", oto zdanie w tej sprawie od najdawniejszych czasów.

Gdy nawet pominiemy wielkie zadania, jakie wyższem zrządzeniem nałożone zostały na Polskę, o ile chodzi o jej dziejową rolę w pozyskaniu prawosławnego Wschodu dla jedności Kościoła, a pod uwagę weźmiemy tylko chociażby moment polityczny, to przekonamy się, że problem unji Kościołów posiada pierwszorzędne znaczenie dla mocarstwowego rozwoju Polski. Rozumieli to aż nazbyt dobrze wielcy polscy królowie i mężowie stanu, jak Zygmunt III i wielki kanclerz Jan Zamoyski. Wspólność bowiem wiary Rusinów z prawosławną Rosją była zawsze przyczyną grawitacji Rusi do Moskwy. Gdy więc dzisiaj prawosławie w Pol-

sce stanowić może naturalną zaporę przed przenikaniem do niej bolszewizmu, to po zmianie ustroju w Rosji sowieckiej i powrocie dawnych tendencji politycznych, stanie się ono, w braku odpowiedniej polityki z polskiej strony, znowu naturalnym czynnikiem ciążenia naszych prawosławnych ziem wschodnich do Rosji.

Również uniezależnienie od Rosji Ukrainy i Białorusi możliwe jest tylko w oparciu o Zachód, a więc o Polskę w pierwszej linji. Gdy więc wspólność wiary tych narodów z Rosją łączy je w normalnych stosunkach naturalnym węzłem z Moskwą, to potęgują się jeszcze bardziej te tendencje wobec roli, jaką odgrywała i niewątpliwie odgrywać będzie w przyszłości Cerkiew prawosławna w Rosji, stanowiąc z natury swej potężny czynnik, wspierający państwo. Unja Kościołów stałaby się tem samem jednym z ważnych czynników, któreby wytwarzały ciążenie naszych ziem wschodnich do państwa polskiego, a o ile chodzi o Ukrainę i Białoruś, ciążenie ich do Polski i Zachodu.

Tak samo powinna Polska baczyć pilnie, by zażegnywać niebezpieczeństwa, jakie ze strony prawosławnej Ukrainy zakordonowej zagrażają naszym unitom.

Wreszcie należy nadmienić jeszcze o jednem, nader ważnem dla Kościoła i państwa zagadnieniu. A mianowicie odbywają się, jak wiadomo, prace nad kodyfikacją prawa polskiego. Dochodzą społeczeństwo katolickie niepokojące głosy o mającem jakoby nastąpić zaprowadzeniu ślubów cywilnych i rozwodów. Otóż ogół katolicki jest gotów przeciwstawić się z całą stanowczością ewentualnym podobnym próbom ze strony miarodajnych czynników i stać będzie zawsze nas straży nierozerwalności związku małżeńskiego, będącego fundamentem rodziny oraz rękojmią jej trwałości i zwartości.

I tu staje przed miarodajnymi czynnikami państwowymi zadanie o pierwszorzędnej doniosłości. Nie powinny one bowiem dopuścić przez laicyzację ślubów do podkopywania fundamentów rodziny, która jest podstawą narodu.

Odstraszające przykłady innych narodów i państw — skutki znacznego spadku urodzeń w wielkich miastach, jak np. ostatnio w Berlinie, oraz „przewagi trumien nad kołyskami“, jak np. we Francji, a częściowo nawet we Włoszech — niechaj im służą za przestrogę, jeśliby nie miały wystarczyć czynniki wyższe, natury moralnej.

Również kwestja państwowego wychowania młodzieży w duchu chrześcijańskim zajmuje pierwszorzędne miejsce w całokształcie spraw, interesujących żywo Kościół, a również i inne chrześcijańskie wyznania. Jakkolwiek bowiem sprawa nauki religji w szkole uregulowana została Konkordatem w sposób należyty, to jednak chybiony byłby cel, gdyby np. nauczyciele, wykładający inne przedmioty, mieli nauczać czegoś, co zaprzeczałoby wykładom religji.

I tu znowu wyłania się zadanie o kapitalnem znaczeniu przed kompetentnemi czynnikami władzy państwowej.

Przechodząc do Cerkwi prawosławnej, na wstępie zaznaczyć należy, że ogólne położenie prawosławia w świecie cechuje rozbicie jego na cały szereg odłamów. Istnieje bowiem aż kilkanaście samodzielnych, niezależnych od siebie, różniących się swą nauką, oraz zwalczających się Cerkwi prawosławnych. Brak im wszelkiej spójni, tak zewnętrznej, jak i wewnętrznej. Brak im przedewszystkiem jedności władzy, gdyż władza patrjarchy konstantynopolitańskiego jest iluzoryczną i istnieje tylko nominalnie. Od 1054 r. bowiem, od odpadnięcia Kościoła wschodniego od jedności, nie zebrał się ani jeden sobór powszechny. Taki stan rzeczy ma swoje głębokie przyczyny, albowiem odbycie takiego powszechnego soboru pociągnąć musiałoby za sobą wielki rozłam, a prawosławiu groziłoby rozpadnięcie się na sekty.

Również w łonie polskiego prawosławia ścierają się różne prądy, które osłabiają Cerkiew na wewnątrz i zewnątrz. Wyższy zarząd cerkiewny pogrążony jest całkowicie w marazmie. Poczynania biskupów, wyznających dawną zasadę cerkiewno-synodalnego ustroju, spotykają się

z silną opozycją zwolenników soborowości, którzy dążą do tego, by element świecki jak najsilniej był reprezentowany w rządach Cerkwią. Jednocześnie skierowują się prądy emancypacyjne wśród Ukraińców i Białorusinów przeciwko duchowieństwu, szczególnie wyższemu, które jest w przeważającej swej części pochodzenia rosyjskiego. Ruch narodowy ukraiński odznacza się wyraźnem antyrosyjskiem nastawieniem, tak pod względem politycznym, jak i kościelnym. Znamionuje go zakrojona na szeroką skalę akcja ukrainizacji Cerkwi. Ruch narodowy białoruski posiada program raczej kompromisowy, znajdujący wyraz w postulatach Białorusinów wprowadzenia kazań białorusińskich, z pozostawieniem języka słowiańskiego w nabożeństwie. Jakkolwiek ruch białoruski propaguje zupełną niezależność Cerkwi od patrjarchatu moskiewskiego, to jednak występuje on wyraźnie przeciwko autokefalji Cerkwi prawosławnej w Polsce.

Tarcia narodowościowe w łonie Cerkwi prawosławnej w Polsce wywołały w niej ferment i komplikują jeszcze więcej i tak już bardzo trudne położenie Cerkwi.

Kwestja zwołania ogólno-krajowego soboru Cerkwi prawosławnej w Polsce, który miałby ład w niej zaprowadzić, stała się więc jednym z naczelnych problemów Cerkwi w chwili obecnej. I znowu wielkie, dotychczas nieprzezwyciężone trudności! Jaki ma być skład soboru? W jakim stopniu ma w nim być reprezentowany element świecki? Otóż metropolita Dionizy zarządził wybory do soboru, które się nawet już odbyły w niektórych okręgach. Zgodnie z obowiązującym dzisiaj w Cerkwi ustrojem synodalnym, nie dopuszczającym znaczniejszej ingerencji w hierarchji Cerkwi elementu świeckiego, odnośna ordynacja dopuszczała tylko nieznaczny udział w soborze tego czynnika. Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego sprzeciwił się temu zarządzeniu metropolity Dionizego, ponieważ ordynacja wyborcza i regulamin nie dawały mu dostatecznej rękojmi, że sobór, zwołany w wyniku wyborów na takiej

podstawie, umożliwi uzdrowienie wewnętrznych stosunków w Cerkwi. Ordynacja bowiem, oparta na zasadzie rządów synodalnych, dawała znaczną przewagę elementowi rosyjskiemu w łonie Cerkwi.

I oto właśnie jedna z ważnych kwestji, o ile chodzi o stosunek państwa do prawosławia w Polsce. Rząd stoi na stanowisku, iż należy dać Cerkwi prawosławnej w Polsce silne podstawy. Oparcie Cerkwi na silnych, zdrowych fundamentach leży nietylko w interesie państwa i Cerkwi, ale również i Kościoła katolickiego. Rozbicie bowiem Cerkwi na cząstki, na sekty, oddalałoby tylko wielki cel: „ut unum sint", czyli przywrócenie Cerkwi do jedności z Kościołem. Jednakowoż wyłania się pytanie, czy program państwa polskiego w tym względzie oparty jest na słusznych założeniach. Otóż polityka, która zmierzałaby do nadania przewagi czynnikowi świeckiemu w rządach Cerkwią, nasuwać musiałaby poważne wątpliwości. Reminiscencje z dalszej przeszłości powinny nam tu być przestrogą. Znana jest w dziejach Cerkwi działalność t. zw. bractw cerkiewnych, która była wielce szkodliwą zarówno dla Cerkwi, jak i dla państwa. Bractwa te, które miały znaczny wpływ na bieg spraw Cerkwi, a czasami posiadały prawa Stauropigji, czyli zupełną niezależność od biskupów, były narzędziem polityki carogrodzkiego patrjarchatu i sprzyjały poczynaniom wichrzycielskim na Rusi.

Dzisiejsza sytuacja Cerkwi, ścierające się w łonie jej prądy narodowościowe, dążenie czynnika świeckiego do współudziału w rządach Cerkwią, brak autorytetu hierarchji cerkiewnej w szerokich masach wiernych i t. d. i t. d., żywo przypominają okresy z minionych wieków naszych dziejów, kiedy to Cerkiew prawosławna znajdowała się w stanie rozkładu.

I oto stoi ważne zadanie przed państwem polskiem. Rozbicie prawosławia, pozostawienie go na łaskę nurtujących w nim zgubnych tarć narodowościowych, nie leży w interesie państwa, jak to już podkreśliliśmy. Zresztą by-

łoby to sprzeczne z dotychczasowem. daleko idącem popieraniem u nas prawosławia. Wielkie subwencje rządowe na cele Cerkwi prawosławnej, budowa wspaniałego internatu dla teologów prawosławnych w Warszawie i t. d. chyba dostatecznie świadczą o tem, że Cerkiew cieszy się poparciem, a nie, że jest prześladowana, jak to czasem zarzuca się naszym władzom państwowym.

Również jest jeszcze otwartą kwestja unormowania prawnego położenia Cerkwi prawosławnej w Polsce. Jak wiadomo, zostały na razie wydane tylko t. zw. Tymczasowe przepisy o stosunku rządu do Cerkwi prawosławnej w Polsce.

Bliska już może przyszłość wykaże, czy państwo polskie zrozumiało właściwie istotny swój interes, o ile chodzi o problem Cerkwi prawosławnej.

Gdy mowa jest o naszem prawosławiu, należy wspomnieć, że istnieje w Polsce również t. zw. Polski Narodowy Kościół Prawosławny. Posiada on dwie parafje (w Warszawie i Dąbrowie Górniczej), a pozostaje pod jurysdykcją prawosławnego metropolity Dionizego.

Po Kościele katolickim, zajmującym pośród wyznań w Polsce naczelne stanowisko i będącym wyznaniem dwóch trzecich ogólnej liczby ludności, oraz po drugiem liczebnie najsilniejszem wyznaniu, czyli prawosławiu, liczącem w Polsce zgórą 3 i pół miljona wyznawców, przychodzi wyznanie żydowskie z trzema zgórą miljonami wyznawców.

Kwestja wyznaniowa żydowska, łącząca się ściśle z problemami narodowościowymi, posiada również niemałe znaczenie dla państwa polskiego. Jakkolwiek nie jesteśmy w możności poświęcić tej sprawie więcej uwagi na tem miejscu, to pragnęlibyśmy jednak scharakteryzować pewne zajmujące momenty, jakie się w zagadnieniu tem na pierwszy plan wysuwają.

Nader ciekawy i charakterystyczny proces odbywa się w społeczeństwie żydowskiem na tle walki o charakter gmi-

ny wyznaniowej żydowskiej. Jaką ma być ta gmina — narodowa, świecka, czy wyznaniowa?

Doskonałą charakterystykę tej walki daje zjazd w Wilnie w 1926 r., który miał na celu umożliwienie ogółowi żydowskiemu na ziemiach wschodnich zajęcia stanowiska wobec zapowiedzi władz państwowych o bliskich wyborach do gmin wyznaniowych żydowskich. Zjazd stanął na stanowisku rozszerzenia kompetencji projektowanej dekretem Naczelnika państwa gminy żydowskiej, której granice nie mogą się zamykać w ramach gminy wyznaniowej. Konserwatyści żydowscy i wogóle umiarkowani, z rabinami na czele, zbojkotowali powyższy zjazd, dając w ten sposób wyraz swemu stanowisku, polegającemu na zachowaniu wyłącznie wyznaniowego charakteru gminy żydowskiej. Walka ta o charakter gminy wyznaniowej trwa nadal.

Polityka państwowa, o ile chodzi o wyznanie żydowskie, ściśle się łączy z całokształtem polityki tej w stosunku do mniejszości żydowskiej, która podyktowana jest postanowieniami Traktatu mniejszościowego. Jednem z ważniejszych poczynań rządu polskiego w tym zakresie jest prawne uregulowanie kwestji gmin wyznaniowych żydowskich.

Zaznaczyć jednak należy na tem miejscu, że warunki, podyktowane państwu polskiemu w Traktacie mniejszościowym przez obce państwa pod naciskiem przemożnych wpływów żydowskich zagranicą, a nakładające na Polskę niezmiernie trudne obowiązki, krępują ją w wysokim stopniu. To też stworzył Traktat mniejszościowy niepotrzebnie rysę pomiędzy społeczeństwem polskiem i żydowskiem, co przy każdej okoliczności wyraźnie występuje i utrudnia faktyczną konsolidację stosunków między społeczeństwem polskiem i żydowskiem.

Co zaś do polskiej polityki państwowej wobec dwuch głównych, a przeciwnych sobie kierunków w łonie społeczeństwa żydowskiego, t. j. sjonistów i ortodoksów, to zdaniem naszem polska racja stanu nakazuje sprzyjanie rozwojowi ruchu sjonistycznego tylko z punktu widzenia popiera-

nia realizacji istotnego programu sjonizmu, mianowicie emigracji Żydów do ich oficjalnej siedziby narodowej w Palestynie. O ile zaś chodzi o ludność żydowską, stale w Polsce osiadłą i nie mającą zamiaru emigrować, to polska polityka państwowa popierać winna stanowczo ortodoksów, gdyż lokalny rozwój sjonizmu (żydowskiego nacjonalizmu) w Polsce prowadzić musi niezawodnie do tworzenia jakgdyby państwa w państwie, na co instynkt samozachowawczy narodu i państwa polskiego zgodzić się nie może.

Barwny obraz przedstawiają liczne odłamy protestantyzmu w Polsce. Mamy ich aż sześć. Najliczniejszem jest wyznanie augsburskie, liczące zgórą pół miljona wyznawców, a posiadające większość swych wyznawców na obszarze b. Królestwa Kongresowego i na Wołyniu. W byłym zaborze niemieckim znajduje się około 350.000 wyznawców ewangelickiego unijnego wyznania, tworu powstałego przez połączenie w Prusiech wyznań luterańskiego i kalwińskiego, czyli t. zw. unję. Następnie znajduje się na terenie b. Małopolski około 40.000 protestantów augsburskiego i helweckiego wyznania, a na terenie b. Królestwa Kongresowego około 10.000 wyznawców reformowanego Kościoła, czyli kalwinów. Wreszcie nieliczny odłam ewangelików reformowanego wyznania znajduje się na Wileńszczyźnie i drobna grupka staroluterańskiego wolnego kościoła w b. zaborze pruskim, która do narzuconej ewangelikom przez króla pruskiego unji nie przystąpiła.

O ile chodzi o politykę państwa wobec tych poszczególnych odłamów protestantyzmu, to, za wyjątkiem wyznania unijnego w b. zaborze pruskim, otrzymuje duchowieństwo dotację personalną, a na potrzeby tych wyznań daje państwo subwencje. Co się tyczy prawnego położenia tych wyznań w państwie, to nie zostało ono jeszcze dotychczas dla żadnego z nich unormowane. Na zasadzie rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej zwołany został w 1929 r. do Poznania nadzwyczajny synod unijnego Kościoła, który wyłonił reprezentację do rokowań z rządem w sprawie

prawnego uregulowania stosunku tego wyznania do państwa. Narazie zostały tylko rozpoczęte wstępne rozmowy na ten temat. Również przeprowadza obecnie Minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego wstępne pertraktacje z superintendentem generalnym ewangelickiego kościoła augsburskiego, mające na celu unormowanie prawne położenia tego wyznania w państwie.

Z innych, drobniejszych wyznań w Polsce, wymienić należy przedewszystkiem staroobrzędowe, muzułmańskie i karaimskie.

T. zw. Wschodni Kościół staroobrzędowy, nie posiadający hierarchji duchownej, który powstał na przełomie XVII i XVIII wieku po rozłamie Cerkwi prawosławnej w Rosji, gdzie był następnie prześladowany, znalazł schronienie w znanej z tolerancji Polsce. Staroobrzędowcy posiadają na ziemiach wschodnich, wchodzących obecnie w skład Rzeczypospolitej, zgórą 50 parafji, rozrzuconych w województwach wileńskiem, białostockiem, nowogródzkiem i poleskiem, przyczem liczba wyznawców wynosi około 50.000. Stosunek państwa polskiego do tego wyznania jest jak najprzychylniejszy, co też znalazło wyraz w rozporządzeniu Prezydenta Rzeczypospolitej z 1928 r., regulującem prawne położenie tego wyznania w państwie.

Również położenie wyznawców Allaha jest w Polsce wcale dobre. Są to Tatarzy, których liczymy u nas około 6.000. Wyznanie to posiada w Polsce autokefalję, na której czele stoi mufti. Gminy wyznaniowe muzułmańskie, w liczbie 19, rozsiane są na obszarze województw wileńskiego, nowogródzkiego i białostockiego. Polityka państwa polskiego wobec muzułmanów odznacza się przychylnością, co też znajduje wyraz w udzielaniu subwencyj przez państwo.

Karaimi przebywają już pół tysiąca lat na ziemiach polskich. Posługują się oni dwoma językami, a mianowicie hebrajskim, jako liturgicznym, oraz karaimskim w potocznej rozmowie i literaturze. Karaimi wyznają pięcioksiąg Mojżesza w jego pierwotnej postaci, bez talmudu, czem się też

zasadniczo różnią od Żydów, do których nie żywią przyjaznych uczuć, gdyż byli przez nich srogo prześladowani. Karaimów polskich jest około 800. Posiadają oni 4 gminy wyznaniowe, przyczem Wilno i Troki są ich głównymi ośrodkami. Karaimi cieszą się również opieką i wydatną pomocą państwa.

Mozaikę wyznaniową Polski uzupełnia jeszcze niemniej niż 47 różnych sekt. Sekciarstwo krzewi się u nas w ostatnich czasach w niezwykły sposób. Jak wiadomo, istnieją sekty, które w poszczególnych dzielnicach państwa były za rządów zaborczych uznane lub tolerowane. Zachowały one w odrodzonej Polsce nadal wszystkie prawa, bez najmniejszego uszczerbku.

Na pierwszem miejscu wymienić tu należy sektę Marjawitów, przez b. rząd rosyjski zalegalizowaną i protegowaną, która miała służyć do rozsadzania katolicyzmu. Jak powszechnie wiadomo, żąda opinja publiczna jednogłośnie rozwiązania tej sekty wobec potwornych wybryków na tle seksualnem jej najwyższego przedstawiciela, Kowalskiego. Należy się spodziewać, że po uprawomocnieniu się wyroku, skazującego Kowalskiego, sekta zostanie rozwiązana, a przemawiają za tem liczne ważne względy, szczególnie natury moralnej.

Wogóle podkreślić należy, że nawet najdalej posunięta tolerancja religijna musi jednak mieć pewne granice, poza które w państwie silnem i praworządnem nikomu wykroczyć nie powinno być wolno. Demokratyzacja stosunków w dziedzinie wolności wyznania nie może dopuszczać organizacji religijnych, jaskrawo sprzecznych z powszechnem poczuciem moralności i z żywotnymi interesami państwa. Wykroczenia przeciwko tym fundamentalnym zasadom nie powinny znajdować jakgdyby ochrony w skomplikowanej formalistyce prawnej, jest natomiast obowiązkiem władzy państwowej wyrwać takie rzeczy z korzeniem w każdym wypadku.

Do kategorji uznanych, względnie tolerowanych sekt

należą dalej Ewangeliczni Chrześcijanie i Baptyści, Bracia Morawscy, Adwentyści dnia siódmego, Badacze pisma św., Kościół Boży, Starokatolicy, Mennonici, Zielonoświątkowcy, Sztundyści, Darbiści, Metodyści, Gminy Nowoapostolskie, Wolne Gminy, Irwingjanie, Pierwotni Chrześcijanie lub Bracia Polscy, Anglikanie lub Towarzystwa misyjne szerzenia chrześcijaństwa wśród żydów, Kwakierzy, Niemcy-Katolicy, Greko-niemieccy lub Orjentalni, Reformowani lub wyznanie holenderskie.

Nieuznane sekty są: t. zw. „Polski Narodowy Kościół Katolicki", Adwentyści, Malowańcy, Pierwszy Kościół Polski Baptystów, zwolenników zasad pierwszych chrześcijan, Dyssydenci, Wolnomyśliciele, Sabatyści, Misja Chrześcijan Ewangelicznych, Stow. Wiernych Chrześcijan „Betanja", Cerkiew Stara (senatora Bohdanowicza), Wolnoreformowani, Chrystjańska Hromada, Bezwyznaniowcy, Pfingstgemeinschaft i szereg innych.

Wiele czytało się i słuchało w ostatnich czasach o t. zw. Polskim Narodowym Kościele Katolickim. Ta sekta, założona w Polsce przez Hodura, znalazła zwolenników głównie dlatego, że zdawało się, iż będzie „fabrykować" rozwody. Tymczasem sekta nie uzyskała prawnego uznania, a piękne nadzieje jej zwolenników tem samem zostały zawiedzione. Dzisiaj sekta Hodurowców znajduje się w rozkładzie.

Jak wiadomo, rozwija wiele z pośród powyżej wymienionych sekt działalność wybitnie szkodliwą dla państwa. Charakteryzuje ją niejednokrotnie przewaga pierwiastków politycznych i społecznych. Działalność sekciarska stwarza podatny grunt dla haseł antypaństwowych i wywrotowych. Posiada ona również często podłoże seksualne. Jakkolwiek lud polski przywiązany jest do wiary swych przodków, jednak wskazana jest jak największa czujność, by nauka, głoszona przez sekciarzy, nie przenikała do niego.

Należy nadmienić jeszcze na tem miejscu o t. zw. bezwyznaniowości. Otóż nienależenie do żadnego wyznania

jest dopuszczalne wedle prawodawstw b. zaborów pruskiego i austrjackiego, natomiast nie jest znane prawodawstwu b. zaboru rosyjskiego. Naszem zdaniem, dla względów zarówno ogólnej moralności, jak i społecznego ładu, bezwyznaniowość nie powinna znaleźć ustawodawczego poparcia przy unifikacji prawa polskiego.

Powyższy krótki szkic, dający w najogólniejszych zarysach obraz kwestji wyznaniowej w Polsce, wykazuje przedewszystkiem, że kwestja ta posiada szczególnie w państwie polskiem, narodowościowo i wyznaniowo tak bardzo mieszanem, integralne znaczenie pod każdym względem. Ponadto wynika z niego, że istnieje w tej dziedzinie cały szereg palących potrzeb, których państwo lekceważyć nie może i nie powinno.

Racjonalne traktowanie przez państwo kwestji wyznaniowej stanie się niewątpliwie czynnikiem, cementującym podwaliny Polski jako mocarstwa.

Rewera.

KRONIKA.

Kronika nasza omawiać będzie różne ciekawsze i donioślejsze wypadki, zaszłe w okresie między terminami druku poszczególnych numerów „Naszej Przyszłości“, ale w pierwszym rzędzie — wypadki specjalne. Chodzi nam mianowicie o stwierdzenie, czy, gdzie i jakie postępy, bezpośrednie czy pośrednie, robi myśl zachowawcza i wogóle realizm polityczny czy gospodarczy, w przeciwieństwie do nieokiełznanej „tryumfującej po wojnie światowej demokracji“.

Obserwacja i synteza takich faktów, o ile istotnie zachodzą, ułatwia niezmiernie i pobudza pracę w kierunku zdrowej myśli państwowo-twórczej — już przez samo uczucie, że idąc w tym kierunku, nie jest się izolowanym, że nie płynie się przeciw prądowi, że zwolenników idei zachowawczej w Polsce nie czeka los beznadziejnych obrońców jakiegoś przestarzałego światopoglądu, ale że wysiłki ich, mimo różnych przygodnych, nawet wielkich trudności, zgodne są z ogólnym pulsem cywilizowanego świata, a więc nie pójdą na marne.

I dlatego niniejsza kronika faktów, zestawionych w krótkim zarysie przez jednego z naszych współpracowników, otrzymała słusznie nagłówek:

EWOLUCJA PRZECIWREWOLUCYJNA.

Wielka wojna stała się w rezultacie czynnikiem, w najwyższem tego słowa znaczeniu rewolucyjnym, ponieważ z jednej strony spowodowała nolens volens w szeregu państw obalenie legalnej władzy drogą buntu (Rosja, Niemcy, Austrja, Węgry, Turcja, Grecja), z drugiej dopomogła

czynnie do realizacji szeregu niepodległościowych programów narodowych i socjalnych, będących w okresie przedwojennym objawami ruchu całkowicie rewolucyjnego. Po upadku carskiej Rosji państwa koalicji przeciwniemieckiej wypisały wyraźnie na swoich sztandarach hasła integralnej demokracji, przeciwstawiane autokratycznemu monarchizmowi cesarstw niemieckiego i austro-węgierskiego. To zwycięstwo liberalizmu zachodniego nad tradycyjnym konserwatyzmem germańskim zdążyło jednak, jeszcze przed własną realizacją, nietylko spowodować upadek caratu w Rosji (dawno przed „importem" bolszewików w zaplombowanym wagonie niemieckim), podminowanego wywrotowemi z natury rzeczy na gruncie rosyjskim hasłami tegoż właśnie zachodniego liberalizmu, lecz również rykoszetem wywołać pochód bolszewizmu na zachód. Pochód ten, nieomal zwycięski, zatamowany w swojej ofenzywie militarnej jedynie dzięki bohaterstwu żołnierza polskiego i cudowi nad Wisłą, natomiast w swojej ofenzywie moralnej opanowywany jest dopiero przez elementy narodowe i praworządne powoli i stopniowo we wszystkich państwach europejskich, w których wszędzie prawie większe lub mniejsze tryumfy przejściowe udawało mu się osiągnąć. Ten właśnie okres reakcji przeciwko absurdalnym skutkom teorji Marxa i doktryn ludowładczych przechodzimy właśnie obecnie. Po fizycznej walce z czerwonym przyszła kolej na walkę polityczno-społeczno-gospodarczą z „białym" bolszewizmem.

NA WĘGRZECH najgwałtowniej dokonał się przeskok ustrojowy, bo wprost od suwerenności monarszej do dyktatury proletarjatu. To też tam najszybciej, najgwałtowniej nastąpiła reakcja. Na miejsce republiki komunistycznej przyszła z powrotem monarchja, coprawda w postaci regencji, o daleko idących prerogatywach Korony. Węgry są dzisiaj państwem o najbardziej zachowawczym ustroju w Europie, tak ze względu na bezwzględne obowiązywanie

kanonów gospodarczych (prawo własności!), jak i wobec rozumnej ordynacji wyborczej i silnej władzy.

BUŁGARJA wyzwoliła się z pod komunizującej ochlokracji powojennej niewiele później, zastępując radykalną demokrację parlamentarną rządami, opartymi z jednej strony o monarchę, a z drugiej o szeroką koncentrację narodową. Przewrót taki nie mógł się obejść bez krwi rozlewu, to też od chwili awantur komunistycznych i zamachu na katedrę Sofijską wiele jeszcze przecierpieć musiał ten biedny naród, aż do obecnego opanowania sytuacji.

W TURCJI wyłonił się ustrój najbardziej samowładczy, jaki tylko można sobie wyobrażać, właśnie z chaosu powojennego. Miejsce słabej monarchji zajęła, pod formą „republiki", faktyczna, konstytucyjnie utrwalona dyktatura Prezydenta, będącego nietylko symbolem, lecz i uosobieniem dosłownem „woli narodu", niezależnego od parlamentu, jako instytucji wyłącznie ustawodawczej.

W GRECJI, gdzie po przegranej wojnie z Turcją rewolucja krwawa zmiotła monarchję i ustanowiła skrajną demokrację, reakcja przeciwrewolucyjna stopniowo i powoli, wśród wielu wstrząsów i przewrotów, kierowana przez jednego z najznakomitszych mężów stanu Europy, toruje drogę do zwycięstwa państwowej racji stanu nad bezmyślnie pojmowaną suwerennością ludu. Reforma parlamentu w kierunku umiarkowanym i daleko idące wzmocnienie władzy Prezydenta wzmocniły praworządność.

WE WŁOSZECH, jak wiadomo, genjalny Mussolini na czele faszystów położył kres rozszalałej anarchji demokratycznej, która doprowadziła państwo nad skraj przepaści, a na gruzach ludowładztwa i suwerenności narodu ustanowił nowy ustrój, niemal autokratyczny, acz usankcjonowany plebiscytem, oparty o zorganizowane bojowe kadry organizacji faszystowskiej z jednej, a o specjalną organi-

zację zawodową społeczeństwa z drugiej strony — ustrój, zrywający śmiało i radykalnie z pseudo-dogmatami demokratycznymi, stanowiącymi dotychczas nienaruszalne tabu myśli politycznej postępowego świata, bo zapewniający rządowi najdalej idący wpływ na wybory parlamentarne.

W HISZPANJI reakcja przeciwko wybujałościom demokracji parlamentarnej nastąpiła w postaci zamachu wojskowego, niestety jednak sześcioletnie rządy generalskie, przy wielu zasługach, nie zrozumiały tej prostej prawdy, że dyktatura może być w walce o reformę ustroju tylko środkiem do celu i to bardzo przejściowym i czasowo ograniczonym, że życie państw cywilizowanych nie znosi próżni ustrojowej i stanu ex lex, że więc następstwem obalenia jednego ustroju może być tylko nadanie krajowi nowego ustroju. Tak uczy nas historja, ta najbardziej doświadczona nauczycielka polityki. Niemniej jednak zdaje się, że odradzające się obecnie rządy demokratyczne i parlamentaryzm w Hiszpanji nauczyły się czegoś pod kilkoletnią dyktaturą i straciły wiele ze swego dawnego radykalizmu.

AUSTRJA przebyła już bardzo poważną ewolucję od stosunkowo najskrajniejszego ze wszystkich państw zachodnich socjalistycznego reżimu, do obecnej reformy ustrojowej, względnie umiarkowanej. Zwłaszcza w samym Wiedniu socjalizacja stosunków utrwaliła się była niedawno już tak dalece, że przeciążona świadczeniami i ograniczeniami socjalnemi prywatna własność nieruchoma utraciła niemal swą wartość. Obecna reakcja polityczno - społeczna przeciw temu stanowi rzeczy przyjęła jednak tak zdecydowany charakter, że wszechwładny do niedawna socjalizm ustąpić musiał przed groźbą „kontrrewolucji“ zbrojnej i przed naciskiem opinji publicznej.

KRÓLESTWO JUGOSŁAWJI weszło od niedawna na tory realizacji nurtujących całą Europę odruchowych haseł reakcji przeciwko zatamowaniu normalnego rozwoju życia

publicznego przez przerost demokracji parlamentarnej, zrzuciwszy męską decyzją królewską jarzmo doktrynerskiego „ludowładztwa“. Jugosławja jest dzisiaj klasycznym krajem z jednej strony zupełnego bankructwa idei integralnej demokracji wobec konieczności rozwiązania daleko realniejszych zagadnień wewnętrznych i zewnętrznych, z drugiej zaś krajem nieograniczonej na razie perspektywy dobroczynnych reform i rozwiązywania najdrażliwszych problematów przez rząd, kierujący się wyłącznie nakazami państwowej racji stanu i niezależny od ślepego terroru bezmyślnej demagogji. Dorobek roczny dyktatury jugosłowiańskiej, dyktatury, pojętej od samego początku jako okres przejściowy do nowego ustroju, poświęcony przeprowadzeniu najkonieczniejszych reform, warunkujących możliwość powrotu do norm konstytucyjnych, jest rzeczywiście imponujący. Niebywały entuzjazm, manifestowany żywiołowo przez kraj cały w dniu urodzin królewskich, najlepiej dowodzi powszechengo uznania, jakiem się cieszą rozwiązanie sporu serbsko-chorwackiego, w parlamencie nigdy nawet nie łagodzonego, lecz doprowadzanego do krwawych ekscesów, dalej reforma administracji, poprawa sytuacji gospodarczej, szczególnie przez wydatne podniesienie rolnictwa, unifikacja praw i t. d. W Jugosławji też okiełznanie demokracji parlamentarnej stało się równocześnie świetnym egzaminem dla ustroju monarchicznego, którego niewątpliwa wyższość nad republikanizmem tem szczególniej się uwydatniła, że autorytet korony sam przez się w krytycznych chwilach może otoczyć nimbem legalności to, co gdzieindziej tylko przez jaskrawe złamanie, bądź co bądź ryzykowne, obowiązującego prawa byłoby do przeprowadzenia.

W NIEMCZECH obalenie cesarstwa na rzecz demokratycznej republiki nastąpiło jako naturalny rezultat załamania się, wskutek poniesionej klęski wojennej, pruskiego militaryzmu, na którym opierała się dynastja Hohenzollernów. Niemniej przez dwa lata prawie były Niemcy tere-

nem zażartych walk domowych, wywoływanych zamachami komunistycznymi, które, jak wiadomo, doprowadziły w Bawarji i w Saksonji przejściowo do rządów dyktatury proletarjatu, po części jednak również sprowokowanych usiłowaniem poszczególnych przywódców militarno-monarchistycznych (Ludendorff, Kapp, Lüttwitz, Hittler i t. d.) do obalenia siłą republiki na rzecz powrotu do dawnego ustroju. Pomimo jednak tych walk utrzymała się dotychczas w Niemczech integralna demokracja parlamentarna, która jednak, pomimo ogromnej dojrzałości i karności społeczeństwa, również nie zdała egzaminu, uniemożliwiając nieomal rządowi w najtrudniejszych dla państwa chwilach prowadzenie racjonalnej, od demagogji wyborczej i nastrojów emocjonalnych niezależnej polityki zagranicznej. Przeżywane obecnie przez Niemcy trudności są jednym dowodem więcej, że **ustrój wewnętrzny państwa winien być przedewszystkiem dostosowany do jego potrzeb zewnętrznych, do naturalnych wymogów racji stanu,** których bezkarnie ignorować nie wolno. To też widzimy obecnie w Niemczech usiłowanie w kierunku ograniczenia zbyt demokratycznej struktury Rzeszy na rzecz wzmocnienia władz centralnych i przedewszystkiem głowy państwa. Niemniej, korzystając właśnie ze słabości ustroju demokratyczno-parlamentarnego, elementy skrajne, na najniższych instynktach mas operujące, najbardziej dają się współczesnym Niemcom we znaki, narażając spokojnego obywatela na ustawiczne niebezpieczeństwo stania się żywym parawanem pomiędzy czyhającymi wzajemnie na siebie, uzbrojonymi od stóp do głowy bojowcami czerwonej komuny z jednej a sfastyki odwetowo-nacjonalistycznej z drugiej strony. Wybór zaś na prezydenta republiki b. wodza armji niemieckiej, marszałka polnego Hindenburga, wskazuje niewątpliwie, w jakim kierunku orjentuje się instynktownie przeciętny obywatel w chwili szukania uosobienia władzy.

Najcharakterystyczniejszym jednak przejawem nawrotu na prawo, otrzeźwienia ze skutków doktryn socjali-

zmu i etatyzmu pod naciskiem twardego realizmu życiowego, jest niewątpliwie wniesienie przez socjalistycznego kanclerza Müllera projektu reformy podatkowej do parlamentu, redukującej nieco ciężar różnych świadczeń na rzecz ulżenia gospodarce prywatnej.

WE FRANCJI ewolucja ustrojowa powojennej Europy na pozór najmniej się objawia. Trzeba pamiętać, że tryumf wojenny Francji był równocześnie tryumfem jej rządu, a co za tem idzie, oczywiście tryumfem jej radykalno-demokratycznego ustroju. W rzeczywistości jednak reakcja społeczna przeciwko demokracji, a raczej demagogji parlamentarnej, tak powszechna wszędzie po wojnie, nietylko nie ominęła Francji, lecz właśnie w niej wzięła swój początek. Wszak we Francji właśnie absurd rządów parlamentarnych ujawnił się już w czasie wojny, stwarzając niesłychane komplikacje dla naczelnego dowództwa, zmuszonego do uzgadniania rozkazów strategicznych z komisją parlamentarną. Trzeba było dopiero całej energji i bezwzględności p. Clemenceau, by okiełznać suwerenne zapędy posłujących „obrońców ojczyzny“ i zapewnić marszałkowi Fochowi potrzebną swobodę działania. Rozprzężenie, będące wszędzie naturalnym odruchem przeciw żelaznym karbom dyscypliny wojennej, stało się i we Francji w następstwie przyczyną tryumfu wyborczego skrajnej demagogji i tępego doktrynerstwa radykalnego, które, dorwawszy się do władzy pod firmą kartelu lewicy, doprowadziły zwycięskie w wojnie mocarstwo nad skraj ruiny gospodarczej oraz do poniżającej zależności od b. sojuszników. Gdyby nie opamiętanie się w ostatniej niemal chwili bardziej umiarkowanych żywiołów i powierzenie władzy żelaznej i nieugiętej ręce p. Poincare, pod przymusem strachu przed katastrofą gospodarczą, groził Francji niechybnie zamach stanu zrozpaczonych państwowców, zorganizowanych już na wzór faszystowski i liczących na przychylność armji ze względu na ogromną popularność swojego wodza, zasłużonego gene-

rała de Castelnau. Niedaleka przyszłość pokaże, czy uda się ludziom szkoły Poincarego zabezpieczyć demokrację parlamentarną drogą narzucania jej moralnej dyktatury autorytetu, czy też może powrót do rządów socjalizujących i doktrynerskich ponownie postawi przed Francją w całej pełni palące zagadnienie uzgodnienia ustroju z racją stanu.

Zastanawiając się nad dziejami współczesnej ewolucji ustrojowej, ewolucji, którą nazwaliśmy przeciwrewolucyjną, bo skierowującą nawy państwowe z chaosu wybujałego ludowładztwa i utopji marksowskiej na twarde szlaki objektywnych nakazów realizmu życiowego i wymagań racji stanu, nie należy dać się w błąd wprowadzić szukaniem wszędzie analogji i szablonu. A więc np. niepodobna użyć jako szczególnego argumentu przeciwko naszemu twierdzeniu — że świat znajduje się w okresie reakcji od demagogji socjalizującej do objektywizmu zachowawczego — przykładu współczesnej ANGLJI, w której tradycyjny parlamentaryzm społeczeństwa o niezwykle wysokiej kulturze od kilku już wieków wciąż powierza rządy państwa jednej z dwu wielkich partji (liberałowie wobec pojawienia się labourzystów coraz bardziej stają się przeżytkiem), przyczem jednak żadne teorje i doktryny, chociażby najbardziej nadużywane dla jednania sobie wyborców, nie mogą przełamać poszanowania dla podstawowych kanonów gospodarczych i społecznych, równie świętych dla opinji publicznej, jak całość niepisanej konstytucji. Najlepszym tego dowodem może służyć oburzenie powszechne, jakie wywołał wniosek jednego z posłów, by upoważnić samorządy do prowadzenia przedsiębiorstw handlowych, komunikacyjnych i t. p., a więc do polityki, powszechnie już praktykowanej na kontynencie, jednak w Anglji uważanej za podważenie elementarnego obowiązku państwa i samorządu popierania tylko inicjatywy prywatnej i rentowności warsztatów pracy, a wykluczającego oczywiście samą myśl o przeciwstawianiu im konkurencji za pieniądze publiczne. Tak to zdrowo w Anglji pojmują ca-

łą grozę trapiącej Europę zmory powojennego etatyzmu! W Anglji też najlepiej rozumieją, że socjalizm i etatyzm, praktykowane w państwach kontynentalnych obok i wewnątrz przyrodzonych ustrojów gospodarczych, w razie dalszego ich rozwoju konsekwentnego musiałyby doprowadzić do takiej samej ruiny gospodarczo-społecznej, jaka nastąpiła skutkiem wprowadzenia integralnej doktryny Marxa w ustrój współczesnej Rosji. Najilepszym wyrazem stosowania się tam nawet rządu socjalistycznego do nakazów rozsądku i objektywizmu gospodarczego jest powołanie do życia ponadpartyjnego komitetu ekonomicznego dla kierowania polityką gospdarczą państwa. Takiegoż ducha dowodem jest też zgoda pracodawców i pracowników w przemyśle na wspólne regulowanie wzajemnych stosunków przez obowiązujące obie strony rozstrzygnięcia Rady przemysłowej, utworzonej z udziałem stron obu, miarodajne też dla polityki rządu.

POLSKA znajduje się obecnie w najkrytyczniejszej właśnie fazie ewolucji — od integralnej demokracji parlamentarnej do nowych, duchowi czasu i powszechnemu postępowi cywilizacji bardziej odpowiadających form ustrojowych, uzgadniających się, wśród nawrotu z bezdroży demagogji, z racją stanu i z objektywizmem gospodarczym. Ten nawrót od bezmyślnej doktryny do wskazań zdrowego rozsądku nie mógł i nie może się rzeczywiście odbywać bez wstrząsów. Z tego też punktu widzenia zamach majowy należy uznać za nieunikniony w danych warunkach odruch, mający właśnie utorować drogę zdrowej reakcji. Znajdujemy się jednak po trzech i pół latach dopiero na początku drogi. Dyktatura nie zdała jeszcze ostatecznego egzaminu, dlatego też trudno o wyrażenie zdecydowanego o niej sądu. Uczyniono niewątpliwie wiele w kierunku okiełznania sejmowładztwa, wskazano, mniej lub więcej trafnie, formy przyszłego zbawczego ustroju, nie uczyniono jednak prawie nic dla wyzwolenia ży-

cia gospodarczego z krępujących go więzów socjalizującego ustawodawstwa i etatystycznej gospodarki państwowej. Bez względu jednak na to, czy dotychczasowy dorobek polskiej półdyktatury uważać będziemy za dodatni czy ujemny, za realizację, czy też za zawód pokładanych w niej nadziei, jedno wydaje się pewnem: **obecna ewolucja ustrojowa w Polsce jest częścią składową powszechnej ewolucji ustrojowej powojennej Europy, idącej zdecydowanie „na prawo", dążącej coraz wyraźniej do wytworzenia międzynarodowej solidarności cywilizowanych społeczeństw w walce z destrukcyjną doktryną Marxa,** uosobioną w państwie czerwonej komuny, że zatem prędzej lub później zasadniczy cel w większym lub mniejszym stopniu zostanie osiągnięty, chociażby państwo musiało jeszcze przechodzić przez różne fazy „przejściowe". Przemawia za tem również powszechne zjawisko organizowania się społeczeństw na zdrowej, trzeźwej platformie gospodarczej i zawodowej wogóle, przy usuwaniu jakgdyby na drugi plan dotychczasowych walk klasowych i partyjno-politycznych. Dlatego też ani czas, ani miejsce obecnie na objawy „pesymizmu", tak często przytrafiającego się oczekującym cudów od chwilowej konjunktury oportunistom. Wszystko natomiast przemawia za uzasadnieniem zdrowego optymizmu, umiejącego patrzeć w dalszą przyszłość, obliczać działania na dłuższą metę, w przekonaniu o logicznym rozwoju i zwycięstwie tych kierunków, których zwycięstwo zapewnione jest nieuniknioną koniecznością dziejową.

Najwymowniejszym jednak objawem „nawrotu na prawo" ostatniej doby są wrażenie i skutek, jakie wywarło **Orędzie Papieża** w sprawie prześladowania religijnego w Rosji. Nastąpił niebywały od wieków fakt, że za odezwą Namiestnika Chrystusowego stanął — rzec można — cały wierzący świat cywilizowany, bez różnicy narodowości i wyznań. Opowiedzieli się za nią nawet Żydzi.

Okazuje się z tego, po pierwsze, że mogą zaistnieć

w historji momenty, w których świat wierzący, a wśród niego nawet żywioły Kościołowi Rzymskiemu wogóle nieprzyjazne, zmuszone zostają uznać autorytet Papieża i kupić się koło niego, jakgdyby szukając u niego pomocy przeciw zbytniemu rozpanoszeniu się złego na świecie. A powtóre, że zło to, uosobione nietylko w okrucieństwach bolszewickich, ale i w ekspansji destrukcyjnych doktryn materjalizmu i ateizmu wogóle, musiało widocznie srodze już dokuczyć ludzkości cywilizowanej, skoro garnie się ona świadomie lub mimowoli tam, gdzie uznaje lub wyczuwa żywe źródło wyższej idei i wyższego autorytetu.

Oby ważny ten moment dziejowy został należycie zrozumiany i wykorzystany przez tych wszystkich, których powołaniem i obowiązkiem jest w pierwszym rzędzie, nietylko słowem i piórem, ale i propagandowym czynem intencje Stolicy Apostolskiej realizować! My z naszej strony uważamy go w każdym razie jako jeden z ważnych, podstawowych dowodów wyżej naszkicowanej w szeregu przykładów tezy nawrotu, a conajmniej chęci nawrotu społeczeństw z dotychczasowych manowców nazbyt rozbujałej ideologji materjalistycznego, demagogicznego doktrynerstwa ku trzeźwiejszym, objektywniejszym, a zarazem i moralnie wznioślejszym zasadom.
